

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVIII

ROK X.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N 23.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Maja 1885 r.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

Wstęp.

W ogromnéj, wysokiéj sali, aparat sądowy roztoczył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstrociznę twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonéj dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, z boku, pod jedną ze ścian, na dwu wysokich i ozdobnych ławach, miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien, oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę praw, przy drugim sekretarz sądu, przerzucał stosy papierów. Urzędnik przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobném w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie. Wśród wielkiéj ciszy, niezmąconej nawet powstrzymanemi na chwilę oddechami kilkuset piersi, przewodniczący sądowi, głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnię, o którą podsądni oskarżonymi zostali. Nie było to przestępstwo, ale była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych która niekiedy, jak sny złośliwe i ponure przesuwają się przed udręczonemi oczami ludzkości. Kim byli, do jakiéj społecznéj warstwy należeli, jak wyglądali ci nieszczęsni i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu, jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki, ołówkiem kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim, nad wysoką poręczą ławy, podniosły się i w pełném świetle

stanęły, cztery męzkie postacie, w więziennych długich szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez nizkie drzwi, z za których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze, bocznéj jakiejś sieni. Zdawać się mogło, że wychodzili z otchłani. Nizkie drzwi zamknęły się wnet za czterma uzbrojonymi żołnierzami, którzy stanąwszy z obu stron ławy zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety, w olśniewającém świetle lamp. Pomiędzy lśniącemi ostrzami bagnetów, twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła, uwydatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czteréj podsądni stojąc w nieruchomych i oczekujących postawach, odpowiadali na zwracane ku nim pytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męzkie głosy dość wyraźnie, głośno, odpowiedziały z kolei.

— Piotr Dziurdzia.

— Stefan Dziurdzia.

— Szymon Dziurdzia.

— Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnéj jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzia, który nietylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swéj wiosce ważny w społecznèm życiu chłopów, urząd starosty.

Teraz, pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinionymi zostali.

Znowu cztery głosy, z kolei, ciszéj lub donośniéj lecz zawsze wyraźnie, odpowiedziały.

— Przyznaję się.

Przyznają się. Niema więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnię. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletaryatu, żyjącego w trującéj atmosferze palących zawiści i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry Boże niosą rzeźwość i zdrowie:.. posiadacze, którym ziemia własna, rodzi bujne kłosy... pracownicy, których uznojone czoła, równać się mogą w powadze i czystości czołom uwieńczonym wawrzynem... Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy, kiedy jeszcze w kolebkach byli, geniusz zbrodni napoił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca, ani sumienia, ani w piersiach swych żadnéj z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mozołem ludzkość wypracowała w swém łonie? Byliż to może szaleńcy, idyoci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach, zgodności pomiędzy nimi a tém co popełnili dostrzedz nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idyotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzią, był wysokim, dość szczupłym i już nie młodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe, siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierz więziennéj opończy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu, twarz jego, bladawa nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego, pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wąsem drżały trochę, na wązkim czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek a siwe, zamyślone oczy, z pod brwi wypukłych i gęstych, wodziły dokoła powolném, poważném i bardzo smutném wejrzeniem. W chwili gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzedz zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania, splecione ręce złożył na poręczy ławy i oczy wzniósł w górę. Wówczas w twarzy jego zjawiło się coś marzycielskiego, coś co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła i tak już ze splecionemi rękami, poważny, łagodny, bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra, był stryjeczny brat jego Stefan. Wysoki także ale barczysty i bardzo wyprostowany, brunet z czarnemi jak noc włosami i czarnym bujnym wąsem byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopa, gdyby nie szczególne i uderzające, przedwczesne zestarzenie twarzy. Nie miał jeszcze lat 40-stu a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobnaby na nich znaleść najmniejszego gładkiego miejsca. Przytém, mogło się zdawać że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlekł ją ciemną, prawie bronzową cerą. Widocznėm téż było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz że zmięły ją i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgryzoty. Była to twarz ponura i zrozpaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana, posępnie lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energja, któréj zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionéj, gwałtownéj popędliwości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Nizki, chudy, z wełnistym splątanym włosem, który mu czoło całkiem prawie zakrywał, z otwartemi nieco usty i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, bardzo widocznem nadużyciem alkoholu ogłupiony i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego, z blado błękitną źrenicą, pływały w chorobliwéj wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie, z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, ogłupiały, niewiedział co począć z rękami, które splatał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przytém ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdzi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnemi jak niebo oczami, wydawał się makiem polnym, bujnie śród pola wyrosłym i tu w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przenikniętą światłem sztucznem i grozą ważących się przeznaczeń, gwałtownie przesadzonym. Panującém uczuciem, które malowało się na młodzieńczéj i jak zorza świeżéj jego twarzy— był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku niemu spójrzenia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu wymawiając wyraz: przyznaję się! i rumienił się potém za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyślał się i daleko, daleko kędyś patrzał. Wtedy, do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu, młoda ciekawość przezwyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy, z pod powiek, nieśmiało ale chciwie przypatrywał się wszystkiemu co go otaczało, a o czem pod strzechą swoją, ani nawet śnił kiedy, Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosa otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata, takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesoły festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sądzić mają. Jak osądzą? Bóg że to jeden wie. Za temi ścianami wiatry boże wieją, ku jego wiosce rodzinnéj lecą, ku téj chacie lecą, gdzie stara matka z załamanemi rękami została, ku temu polu lecą, które on orał już od lat paru, kiedy słonko świeciło jasno, zioła pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak jak teraz gdy kołacze w piersi ze wstydu i trwogi, niby na pogrzebie bijący dzwon...

Więc to ci czteréj ludzie popełnili tę zbrodnię przerażającą i ponurą, jak sen zimowéj, burzliwéj nocy? Była to też wtedy zi-

mowa, burzliwa noc.... Ależ dla czego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i poszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych później, a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego, odsłaniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historya następująca.

I.

W Suchéj Dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosięgający. O co tak bardzo szło mieszkańcom téj wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów, dość malowniczo rozciągniętéj, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów. Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy niemi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakowało i takich, które świeciły białemi kominami, sporemi oknami i porządnemi ganeczkami, opartemi na słupkach i zaopatrzonemi w wązkie ławeczki do siedzenia. Te pola, falujące i gajami zwieńczone miały pozór żyzności i niezłéj uprawy, za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk, w ogrodach, gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba kiedy niekiedy i tylko do najuboższych chat. Najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nietylko chleba, ale nawet mleka i miodu a może i groszy nie brakowało. Jakiż więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami téj wioski. O czém gromada bab przed jednym z najdostatniéj wyglądających domóstw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niéj zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych. Dziewczynki od lat 7-miu do 14-stu, w sinych spódniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytemi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasno-płowych włosów, stanęły pod płotem długim szeregiem i splótłszy na spódniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napełnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach, zachodzące słońce rozżarzało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykulowały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płotem. Bosi także, jasno - włosi, w szare płótno odziani, wciskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili

ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za fartuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy; jeden z młodszych, pięcioletni może, w długiéj do stóp koszuli, z wypukłym brzuchem i opuchłemi żółtemi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnemi błękitnemi źrenicami patrzał nieruchomo w twarz swojéj matki, a płaczliwym, przeciągłym głosem od chwili do chwili wołał: Ta... ta!

Na wąskim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniéj i ciszéj od niewiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przyklęknąwszy, siekierą rozszczepiał kloc drzewa na drobne drewienka, a tak bardzo pogrążonym był w téj robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgiętemi plecami, chłop ten niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był to jeden z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchéj Doliny, właściciel téj chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, daléj stryjeczny brat Piotra, ale wcale doń niepodobny Stefan, w wymowie chłopów Stepan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałéj, zmiętéj i jakby spalonéj twarzy; daléj jeszcze stał także Dziurdzia, imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdém odetchnięciem, wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczów krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki, ona téż może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube ale dostatnie aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcéj i mniéj ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tém co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechami na ustach i wyrazem żywéj ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyńcze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z ferworu wielkiego aż przysiadała czasem ku ziemi, albo rękami uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które odwracając się śpiesznie je odpychały i daléj swoje prawić zaczynały, aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższym i najprzeraźliwszym dźwiękom ludzkiéj krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich ku dziedzińcowi chaty zwracając się, zawołała:

— Pietruk! hej Pietruk! skończysz ty kiedy czy nie? A to słońce zajdzie i psy nie ludzie po polach chodzić będą!

— Pora *idźci* (iść) dalibóg pora! — chórem powtórzyło kilka piskliwych, kobiecych głosów.

Inne dodały.

— Czy wam nie wstyd, Pietruk, tak marudzić? Oj! *muszczyna* (mężczyzna), niby-to silny! A baba prędzéj-by tych trzasek naszczepiła jak on... gospodarz wielki!

Piotr Dziurdzia wykrzykników tych, ku niemu zwróconych, jakby nie słyszał, ani głowy podniósł, ani ustami poruszył. Rozszczepiał wciąż i odszczepiał polana, na cienkie drewienka z taką powagą i uroczystością, iż zdawać się mogło, że tuż, tuż przeżegna się i robotę swą przeżegna, tak była dlań ona ważną i niemal świętą. Dwaj w pobliżu niego stojący chłopi, jednocześnie stryjecznego brata jego, Stepana Dziurdzię, zapytali:

— Nie ma! no, i ani troszeczkę nie ma?

Zmarszczony, zgryziony Stepan odpowiedział:

— Tak jak nic nie ma! Kropelkę z siebie puści i żeby ją zabić więcéj już nie da! Dziecku, jak rozkrzyczy się, nie ma czego w gębę wlać.....

— A-a-a-a-a! — głośno i przeciągle dziwili się pytający.

— A wprzódy jak było?—Zapytał ktoś z boku.

— Wprzódy — odpowiedział chłop, bywało i więcéj jak garniec dadzą....

— Dwie?

— A dwie.

— To tak jak i u mnie! — Zauważył mizerny Szymon, jedna tylko, a bywało z garniec da... Chłopi trącili się łokciami i wejrzeniami, ukazali sobie wzajem ponurą twarz Stepana.

Przytém, ozwał się żartobliwy głos jakiś:

— Oj! biedaż tobie, Stepanie! Toż to tam teraz u ciebie piekło gorące.....

Inny z grubym śmiechem dodał:

— Jaż wczoraj słyszał jak *taja* (ta) wrzeszczała w swojéj chacie jak *oczyniona* (opętana)...

— Kto? — zapytał ktoś z boku.

— A Rozalka, Stepanowa żonka...

— Oj zła baba, to zła... jak ogień... dodał jeden z rozmawiających.

Stefan niżéj jeszcze pochylił głowę i milczał.

Z za wrót doleciał jeszcze znowu ten sam co wprzódy głos niewieści, tylko jeszcze piskliwszy i więcéj rozgniewany niż wprzódy.

— Pietruk! oj Pietruk! skończysz ty kiedy, czy nie?

Kilku z pomiędzy mężczyzn zaśmiało się chórem.

— Ot jak Stepanowa żonka *hołasić*, pilno jéj wiedźmę łapać! Hej Pietruk, *chutko* (prędko) *idzi*! bo baba jak po swojemu rozgniewa się, to bieda będzie... już ty jéj nie poradzisz... wybije!..

Piotr Dziurdzia siekierę oddał jednemu z synów, aby ją do chaty zaniósł, a sam z klęczek powstawał, nie dla tego zapewne aby przeląkł się gniewu Stepanowej żonki, ale dla tego, że już robotę swoję ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewienek. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki poodrywały się od płota i podchodziły doń zwolna, chłopcy, jak źrebięta, skakali dokoła niego, wierzgając i wrzeszcząc.

— Won! poszli!—krzyknął Dziurdzia na dzieci, które téż rozbiegły się na wsze strony, ale w pobliżu stanąwszy, przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedna z bab, ta, która właśnie rej pomiędzy wszystkiemi innemi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarném, pałającém okiem, Rozalka, Stefanowa żona, wyskakując naprzód i rękami za biodra swe chwytając, z niezmiernym zapałem do Piotra zawołała:

— A osinowe drzewo!

— Nu, a jakież?—pogardliwie odrzucił poważny chłop.

— Czy pewno osinowe?

I zaczęła daléj prędko i z zawziętością trzepać językiem.

— Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe... *Prysiahnij* Pietruk, że osinowego drzewa narąbał, *prysiahnij*, tutże zaraz palce na krzyż złóż i *prysiahnij*, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia, targała rękaw i poły samodziałowéj kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyszki, które chwytając ją za ramiona i koszulę, zapalczywość jéj powściągać probowały. Sprobował uczynić to i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się; ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i byłaby upadła, gdyby nie płot, o który oparła się ręką. Wnet przecież, szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i w najmniejszym stopniu nie zajmując się nim daléj, biegła znowu za Piotrem, drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając.

— A osinowe drzewo? Pewno osinowe?... *Prysiahnij* Pietruk, że osinowe...

W gromadzie, postępującéj za Piotrem, wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Do policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonością, ani się dotknął, ale ciemna i gruba skóra jego twarzy zfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobna-by wynaleść na niéj najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzone oczy wlepiał w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydził się może i wrzał cały.

— *Wstydno*!—rzekła głośno niemłoda i widocznie schorowana, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdostatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniéj krzycząca. Ja z moim wiek przeżyłam, synów pohodowałam, że wyrośli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

— Wstydno!—powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

— *Takij* z niego *mużyk*? Babie przywodzić pozwala! ja by ją...

Nad tym gwarem słów i śmiechów, wzbił się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jéj nóż do gardła przykładano.

— A osinowe drzewo? pewno osinowe? *prisiahnij* Pietruk, że osinowe...

Stary, nizki, chudy chłop, którego zwano Jakóbem Szyszką, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwość co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości wprawiała i z powagą przemówił:

— Nie *duryś*, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nieszczęście.... i ja chcę téj wiedźmie przeklętéj w oczy zajrzéć... czy ja by zgodził się, żeby drzewo insze było jak osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i cofnąwszy się nieco od Piotra, śpiesznym i nierównym krokiem, zwykłym istotom gwałtownym i niespokojnym, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu, gromada malała. Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy, tylko co z pastwiska przygnane, drżącym, jękliwym głosem odzywały się owce, niewyprzężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich, pośpiechem i ciekawością znać pobudzani, opuścili. Tu i ówdzie, ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małemi oknami złote jego blaski, na wieczerzę zapraszając, głód przypominały. Mężczyzni tedy i kobiety, odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców, albo we wnętrzach domóstw znikali. Przedtém jednak

zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanemi, a całą myśl ich mającemi streścić wyrażeniami.

— *Kamedya*! — Wzruszając ramionami mówili jedni.

— Niech *tuju kamedyu* licho porwie! — sierdziście odpowiadały kobiety. *Heto* bieda jest, *zhryzota*, *utrata* wielka a nie *kamedya*...

— Ciekawość! nu ciekawość, kto *heta* wiedźma!

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne męzkie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzień, u których dziewczęta przy skrzypie żórawi, wodę czerpały. Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie? — Najstarsi odpowiadali.

— Czemu przyjść nie ma! Za *dzidów*, *pradzidów* naszych przychodziła, to i teraz przyjść musi...

Tymczasem Piotr Dziurdzia szedł wciąż naprzód krokiem powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojéj chaty, włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy, starą czapkę, zniszczoném futrem baraniem oszytą. W długiéj kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w téj czapce, któréj strzępy zwisały mu nad gęstemi brwiami, z grubą więzią drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściągłéj, krótkim zarostem otoczonéj, nie był wcale ponurym, ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślonym, prawie uroczystym. Milczał jak grób, patrzał wprost przed siebie, siwemi oczami, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Można-by przypuścić, że w głębi duszy swéj odmawiał on w téj chwili żarliwe pacierze. Tuż za nim, szli dwaj jego synowie, rośli, jasnowłosi, z otwartemi i wesołemi twarzami parobcy; daléj, nizko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stepan, obok którego wlókł się w obdartém odzieniu swém i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia i bardzo poważnie stąpał stary, nizki, siwy Jakób Szyszko. Z kobiet, pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna, z wesołą miną, wciąż na młodego Klemensa Dziurdzię zerkająca i na niéj kończył się już ten pochód. Dzieci wszystkie, tak dziewczynki jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono i jeden ów tylko czteroletni chłopczyna w koszuli, z wydętym brzuchem i nabrzmiałemi policzkami odpędzić się nie dał. W kilka kroków za idącemi, prędko, prędko, swemi małemi, bosemi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i bruzdach wiejskiéj ulicy i od czasu do czasu płaczliwie, przeciągle wołał: — Ta, to! Ludzie jednak składający po-

chód, na to dziecęce wołanie żadnéj nie zwracali uwagi. Tu i ówdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkiém gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych, albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tententem licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siadały na płotach; przez wrota pootwierane, wybiegały żółte, czarne i pstre kundle, a poznawszy swoich ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami, słońce już wnet zajść miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie, nietrwałe, różowe łuny. Rubinowo zaognione przed chwilą szyby okien bladły i gasły, natomiast coraz gęściéj złocił je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami wprzódy rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót, cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami, ciemne gęste chmury półkolem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialném. W pobliżu ostatnich lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie liliowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie, wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywaną zmrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ściernisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piasczysta białość dróg, przerzynających pola. Mniéj niż o wiorstę od ostatnich domóstw wioski, cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu, w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga, falując, wraz z falującym gruntem przepadała kędyś w niedoścignionéj dla oka oddali; trzecia prosta i gładka końcem długiéj swéj taśmy znikała w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i ówdzie wierzbami i dzikiemi bzami osadzona, kończyła się u płotu otaczającego chatę, w pewnéj odległości od wioski zbudowaną, samotną, ocienioną kilku staremi drzewami. W pobliżu téj chaty widać było budowę niewielką, nizką, bez okien, w któréj od razu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznał-by kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się one, w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole, wystrzeliwał stary, wysoki krzyż. Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wązkim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia, Piotr Dziurdzia stanął i ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczém wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spójrzał i z kieszeni kapoty hupkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało też pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się oni wszyscy w ściśniętą gro-

madkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkiém, co nie było tą szczególną czynnością, dla której tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wązkie usta, żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wlecieć by w nie mogło; Jakób Szyszko wyprostował się i tak uroczystą przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym niż zazwyczaj; wnuczka jego, hoża ta dziewczyna, która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdzię zerkała, teraz ze zmieszaniem ciekawości i przerażenia na twarzy ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła. Ładny parobek najmniéj z pomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, wpół z przyjemnością, wpół z urąganiem. Zdawało się, że i hożéj France i temu co się przed oczami jego działo i dziać miało, trochę urągał. W tém, Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewienek, buchnęła ogniem. Cztery kobiety, jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły. — O Jezu!

Dla czego ogień tak bardzo przeląkł je czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącem jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież, wyglądały tak jak gdyby były nigdy w życiu swém ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu.— O Jezu. A potém Stefanowa zawiodła daléj jeszcze.— O Jezuż mój, Jezu najmiłosierniejszy! Piotrowa wzdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wzdychała, Franka zaś, w obie garście pochwyciwszy ramię Klemensa, tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciem rzucił i wzgardliwie ją oburknął:—*Otczepiś*! Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz! Kleszczem nazwana dziewka nie odczepiała się jednak i przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniéj, w same ucho półgłosem mu jęczała. Oj Klemens, Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens! Mężczyzni milczeli, wkrótce téż umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i oddechy w piersi powstrzymując czekały. Czekali wszyscy. Na co? Na skutek ognia, który żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nizko przy ziemi, potém płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżéj.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem i tylko jeszcze wypływająca z za niéj blada złota łuna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i w dali umilkły; od wioski dochodziły poszczekiwania psów

i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnéj z dróg w cztery strony rozchodzących się od krzyża żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednéj z nich drzwi kuźni rozpaliły się czerwono i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potém, przez długie kilka minut, nie odezwał się już i młot kowalski; w nizkich wierzbach za to, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę razy płaczliwie zaskomlił lelak. W gromadce ludzkiéj, tłoczącéj się u ognia, przy omszałym kamieniu i na przeciw krzyża roznieconego, męzki, świeży głos, głośno i wyraźnie wymówił:

— Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrzeli się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

— Co takiego? co takiego? co ty gadasz? — zaterkotała Stefanowa.

— Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie? z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zajęczała. — Oj, Klemens, Klemens!—Ale siwy, chudy, nizki Jakób Szyszko uroczystym głosem rzekł:

— Za *dzidów, pradzidów* naszych przychodziła, to czemuż-by i teraz nie miała przyjść?

— A - le! — powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniéj trochę śmiało niż przedtém zauważył:

— Może jéj ze wszystkiém na świecie nie ma?

— Kogo? — Wrzasnęła Stefanowa.

— A wiedźmy... wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem, przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom, wybuchnęła burza. Stefanowa porwała się obu rękami za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

— Wiedźmy nie ma?—krzyknęła,—a dla czegóż mleko u krów przepadło? ha? dla czego przepadło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, to spytajcie się rodzonéj matki, czy nie przepadło?.... I u Szymona spytajcie się i u Jakóba i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeleczki nie ma... dziecku w gębę wlać czego nie ma... a on mówi, że wiedźmy nie ma... Oj dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, *haratyku* taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewieścich, Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcéj, zda się dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

— Wiadomo! susza taka, że niech Pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi, sam celebrujący w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął.

— *Hodzi*, Klemens, kiedy nasze *dzidy*, *pradzidy* w *heto* wierzyli, musić *heto prauda*. Nie *breszy* (szczekaj) darmo i czekaj. Może cud boski okaże się nam niegodnym, a *taja*, co nam *takuju kryudu* zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad któremi wzbił się jękliwy, donośny, zapalczywy głos Stefanowéj:

— A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakób Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym gestem i znowu w gromadce i dokoła niéj zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelak, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi, dziecięcy, słaby, zmęczony głos, zapłakał: — Ta - to! Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi, oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchem, swarliwém sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wydętym brzuchem, nabrzmiałemi policzkami, palcem pogrążonym w ustach i błękitnemi oczami, pełnemi łez. Był to syn jego i Rozalki, jedyny. Ze swarliwém sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bose stopy jego mokre od wieczornéj rosy, połą kapoty swojéj osłonił. Dziecko blade i obrzękłe, głowę na ramiona ojca pochyliło i wnet oczy przymknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego, dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzéwa się stuk młota; echo powtarza je w najbliższym gaju; w ciszy powietrza ogień pali się zwolna, lecz coraz wyżéj. Piotr rzucił weń jeszcze sporą wiąź drzewa (Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: czy osinowe drzewo? czy pewno osinowe? lecz lęka się trochę Piotra i starego Szyszki, więc milczy i tylko niecierpliwie obu rękami fartuch swój targa.), płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący na przeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżéj. aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrzawszy krzyż nagle w złocie stojący, wszyscy obecni bez wyjątku pochylili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W tejże chwili, za paru wzgórzami, na drodze, która falując po wzgórzach przepadała w dalekich przestworzach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłośne śpiewanie. Po uciszonych przestrzeniach, po pustych polach, po drzemiącym świecie, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecym był, silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłośne słowa pieśni.

— Czerez reczeńku, czerez bystruju,
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czerez bałoto, czerez zródeńko,
Chadzi do mienie, moje serdeńko,

Na twarzach gromadki, stojącéj przed ogniem i naprzeciw ozłoconego krzyża, odmalowały się zmięszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nadewszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek Klemens szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

— Idzie! *uże* idzie! Szepnęły kobiety.

Franka, ze strachu przed wiedźmą, na ziemi przysiadła, z całéj siły przytém trzymając się obu rękami kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka zbliżając się coraz śpiewała daléj:

— Hdzie ty dziewczyno myślami błudzisz?
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?
Oj, znaju, znaju, kaho kachaju,
Tylko nie znaju z kim się zwieńczaju!

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzały.

— Kowalicha, (kowalowa) czy co? szepnęła żona Piotra.

— Ale! odszepnęła żona Szymona, nikt *hetak* nie *spiewaje*, tylko ona!

Stefanowę od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzekła nic, tylko prędko, z urągliwym wyrazem w oczach które jak żużle zapłonęły, obejrzała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał po przez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, któréj głos tylko uszu jego dolatywał. Przyczem, od wyprężenia muskułów wygładziła się całkiem ciemna skóra jego twarzy i tylko czoło zmarszczone, zmięte rzucało na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła postać kobieca, któréj rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, daléj pieśń swą śpiewała.

— Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozćwietajuć drobne listoczki,
Tam ja chadzila i hawaryła,
Sudzi mnie Boże...

Nagle głos śpiewającéj urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i jak w ziemię wryta stanęła. Teraz przy ostatnich światłach dnia i mięszających się z niemi blaskach płomienia postać i twarz jéj uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształtną. Z pod wysoko podniesionéj sinéj spódnicy, widać było silne i nagie jéj nogi, bosemi stopami tonące w gęstéj trawie. Oprócz sinéj spódnicy, miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takiem mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się zeń one na jéj spódnicę i czepiając się wzajem aż ku ziemi spływały. Były to liljowe czombry i brunelki, koniczyny różowe i białe, gwiazdziste rumianki, błękitne cykorye polne. Oprócz tego, w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtéj dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jéj okrywał i że nad nim widać było tylko głowę jéj, wpółosłonioną czerwonawą chustką, z pod któréj, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzałą szyję i wązkie gładkie czoło, wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez połysku. W półosłonięta kwiatami i włosami twarz jéj wydawała się grubą i pospolitą; ogorzała, rumiana, z wiśniowemi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Tak z nagiemi nogami, zaróżowionemi odblaskiem ognia, z mnóztwem kwiatów wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconemi włosy i błyszczącém, śmiałem, śmiejącém się spojrzeniem, stanęła ona tuż pod krzyżem, który teraz, stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jéj wyszedł, brzmiał gapiowatem trochę zadziwieniem.

— Aaaa! rzekła, co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała.

— Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potém, skinęła głową i z zupełną już świadomością dokończyła.

— Aha! mleko u krów przepadło.

I kołysząc głową w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu. Aaaa! umum! dziwy, to dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w téj chwili w jedną duszę, która całą siłę swego myślenia, czucia, wzroku i słuchu, niby ostre żądło, w tę kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niéj szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok Stefanowéj rozpalony i pełen zjadliwych uśmiechów szybko przenosił się z twarzy kobiety stojącéj pod rozpłomienionym krzyżem, na twarz męża, która szczególny przybrała wyraz; mętny uśmiech wewnętrznego niby lubowania się rozlał się po niéj całéj i starł z niéj całkiem zwykłą ponurość, zastępując ją głupowato wyglądającém lecz na wskróś przenikającém go zachwyceniem. Patrzał tak jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć napatrzéć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu.—Cóż? czy już przechodziła?

— Nikt nie odpowiedział, W błyszczących i śmiejących się jéj źrenicach, mignął niepokój.

— Cóż? powtórzyła; widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem, z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi.

— *Abo nie wiedajecie*, że która pierwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.

— Nu, tonem głębokiego przekonania odparła kobieta, żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męzkie z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki odpowiedziały.

— Ty.

A w mgnieniu oka potém, niby raca z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos, wszystkiemi tonami namiętności doprowadzonéj do furyi i żalu jakiegoś, graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz.—Ty, ty, ty, ty!

Nic nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsła się od stóp do głowy a z pałających jéj oczu, toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i tupiąc nogami, wygrażając pięściami krzyczała.—Ty! ty! ty! ty!

— Ja? wymówiła kobieta stojąca pod rozpłomienionym krzyżem i opuściła ramiona tak, że żółte dziewanny i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jéj bose stopy.

— Ja! powtórzyła i załamała na spódnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jéj wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło

uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jéj policzkach, po czole wązkiem i ustach rozwartych, drgać poczęło mnóztwo figlarnych, wesołych uśmiechów, aż zwyciężywszy zdumienie i przerażenie, śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jéj piersi. Jak przedtém pieśń, tak teraz śmiech jéj, rozlegał się po drodze i polu szeroko, dźwięcznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakształt naiwności dziecka i niezmąconéj wesołości ptaka.

— Ja! ja! wołała śród śmiechu, ja pierwsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy *zdureli*! (zgłupieli) czy wam pomięszało się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

— Pfu! zawołała, taką *brzydką* rzecz na chrześcijańską duszę powiedziéć! Czy wam nie wstyd.

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potém wyprostowała się i tuż koło gromadki przechodząc rzekła jeszcze.

— Stójcież tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie okazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tém co ją od nich spotkało całkiem już zapomniała, żwawym krokiem poszła drogą wiodącą ku samotnéj chacie i czerwono błyszczącéj obok niéj kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi, na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pieśni wiejskich.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku,
O, jak zwiażuć biale ruczki,
Nie rozwiażuć do wiekui...

Ludzie pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami, w milczeniu, które pierwszy przerwał Piotr Dziurdzia.

— Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą...

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa poskoczyła i przed mężem, trzymającym w objęciu dziecko, stanęła. Obu rękami trzymając się za biodra, naprzód pochylona, z wlepionemi weń oczami, przez zaciśnięte zęby wymówiła.

— Wiedźma, kowalicha! wiedźma miła twoja! Wiedźma twoje serdeńko najmilsze!

Zdawało się że trzy te wykrzykniki, niby trzy policzki w twarz mu rzucała. On, głowę swą ku głowie uśpionego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniéj ani więcéj niż zwykle. Żony jakby nie widział i popędliwych gwiżdżących słów jéj jakby nie słyszał. Sam do siebie z cicha mruknął.

— To ja już dawno wiedział, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i zwrócona w stronę, w ktorą poszła kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad czemś rozmyślała. Ogień nie podsycany przygasał i blaski jego spełzły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie którzy niby motyla na świecę, złapali wiedźmę na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak, dumali i słuchali jak przy drodze wiodącéj do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach, coraz częściéj jęczały i łkały lelaki. Para goniących się nietoperzy, krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko upadła. Na drodze wiodącéj do kuźni, rozległ się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiecy, wyśpiewujący drugą strofę skocznéj pieśni.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok,
Pacierała lata młode,
I swoj tonki hałasok.

Śpiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młota, a przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń coraz gęstsze roje czerwonych iskier. Śpiewająca kobieta przyśpieszała kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od samotnéj chaty, z napełnionego jaskrawem światłem wnętrza kuźni, ozwał się męzki, basowy głos, który przy nieustającém stukaniu młota, połączył się z głosem niewieścim i donośnie wesoło zawtórował trzeciéj strofie pieśni.

— Hili, hili szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacieła idźci za muż,
Ciepier siedzi i dumaj!

(*c. d. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

Z WYCIECZKI PO GALICYI.

WYCIECZKA DRUGA.

Odwiedziny w Borysławiu i uwagi ogólne o przemyśle galicyjskim.

I.

W połowie drogi między Stryjem a Samborem, na równinie bogatéj i uroczéj, ciągnącéj się wzdłuż sinych i fantastycznie postrzępionych Karpat, które w terasach wznoszą się coraz wyżéj, jak olbrzymie stopnie do nieba wiodące, leży miasto Drohobycz. Chociaż w przeszłości nie jaśniało ono nadzwyczajnemi zdarzeniami, cała bowiem sława historyczna tych okolic spada na pobliski Sambor, na którego rynku, przy odgłosie trąb i bębnów, dumny wojewoda Mniszech zaciągał ongi ochotników, by ci, jego zięciowi i córce Marynie, torowali drogę do tronu moskiewskiego,—mimo to w rocznikach galicyjskich Drohobycz zajmie miejsce poczesne, gdyż z dawien dawna rządzi się doskonale, zamiast długów, ma kapitały w kasie gminnéj, i pod tym względem między miastami galicyjskiemi należy do rzadkich wyjątków, a prócz tego położył on także nie małe zasługi około publicznego wychowania, ponieważ przed ćwierć wiekiem, tj. w epoce, kiedy Galicya pod względem umysłowym była krajem bardzo jeszcze zacofanym, ufundował u siebie ośmioklasowe gimnazyum, przeznaczając na ten cel znaczne kapitały. Cały zaś majątek Drohobycza, powstał z cebuli, która na doskonałéj ziemi tamtejszéj rodzi się jak nigdzie indziéj w Galicyi.

Gdy lat temu dwadzieścia, jako uczeń gimnazyalny bawiłem w tém mieście, nikt tam jeszcze wtedy nie wiedział, że w Borysła-

wiu, wiosce leżącéj o milę od Drohobycza, u samego podnóża Karpat, znajdują się skarby milionowe, które za lat kilka w formie oleju skalnego (petroleum, nafta) wypłyną na powierzchnię ziemi. Skarby w rzeczy saméj wypłynęły, roznosząc po całym świecie nazwę Borysławia, ale równocześnie zmieniły one także do niepoznania fizyognomię Drohobycza. Z miasteczka przeważnie chrześciańskiego, w którém życie każdemu cicho płynęło, bo i taniość była tu wielka, zrobiło się gniazdo na wskroś żydowskie; siedlisko galicyjskich cybularzy, zamieniło się w niezmiernie drogą stolicę bogaczów naftowych, przeważnie żydów, którzy powystawiali tu okazałe domy, nawet pałace. Autochtoni, wyparci na przedmieścia, sadzą wprawdzie cybulę jak dawniéj, ale majątki ich coraz mniejsze, a fizyonomie coraz smutniejsze, otoczeni bowiem ze wszystkich stron nowemi przybyszami, nie mają dawnéj swobody ruchów, i większą część swoich dochodów muszą oddawać tym, którzy umieją wyzyskiwać ich zręcznie. Nowocześni ci zdobywcy, rozsiedli się w śródmieściu i w głównych ulicach Drohobycza, a chociaż mają już miliony i co rok nowe robią, mimo to nie poczuwają się jeszcze do żadnych obowiązków względem kraju, który ich przytulił w latach ucisku, a dziś wzbogaca ich krwawą swoją pracą. Takimi, niestety, są dotąd żydzi galicyjscy, i mimo starań szlachetniéj myślących jednostek, nie możemy nawet przewidzieć, dokąd zajdziemy z tą masą, liczącą 700.000 głów, która obsiadłszy nasze wsie, miasteczka i miasta, karmi się sokami miejscowéj ludności.

Przykre te myśli trapiły mnie przed kilku dniami, gdy jadąc przez Drohobycz, w którym przenocowano mnie bardzo źle, za bardzo drogie pieniądze, dążyłem do małéj stacyi kolei żelaznéj, znajdującéj się tuż pod miastem, zkąd codzień kilka pociągów osobowych do Borysławia odchodzi.

Wzdłuż całych Karpat, ciągnie się dziś kolej żelazna, zwana Transwersalną. Przed laty jeszcze dziesięciu była gotowa tylko część jéj nie długa, między Stryjem a Chyzowem, i ta nazywała się wtedy Dniestrzańską, gdyż prowadzi przez równinę, którą Dniester przepływa. Na téj linii leży Drohobycz. Od tego miasta puszczono odnogę do Borysławia, a chociaż ma ona tylko 8 kilometrów długości, mimo to tak wielki ruch od początku na niéj panował, że dochód z niéj pokrywał zawsze połowę wydatków kolei Dniestrzańskiéj, mającéj 112 kilometrów długości. Samych robotników, pracujących w kopalniach, przyjeżdża do Borysławia i z powrotem

(1) Według ostatniego spisu ludności z r. 1880, Galicya liczy 5.958.907 mieszkańców. W téj liczbie żydów 686.593.

rocznie około pół miliona. Prócz tego co dzień odchodzi kilka pociągów z naftą i woskiem ziemnym.

Była godzina siódma rano, gdym bilet kupiwszy wyszedł na peron, by wsiąść do wagonu. Dzień był wilgotny, w nocy bowiem deszcz padał, jednak przyjemny, choć na niebie był dopiero początek marca. Słońce wschodziło duże, zaczerwienione, ale jeszcze zimne. Promienie jego oblały równinę, szeroką ledwie na pół mili, którą z trzech stron otaczają wyskoki Karpat. Tylko strona czwarta, ku wschodowi zwrócona, jest odkryta, i jeżeli tamtędy pojedziesz, to nie spotykając nigdzie gór a jeno małe pagórki, dostaniesz się w głąb' Galicyi, potém na Podole, do Rosyi południowéj, w końcu do morza Czarnego.

Do pociągu, w którym był tylko jeden przedział drugiéj klasy, a ani jednego pierwszéj, cisnęli się sami żydzi. W długich halatach, z pejsami, brudni, obdarci, ci niosąc poduszki w rękach, tamci kosze na głowach, biegli, po niemiecku szwargocąc, kłócąc się i przeklinając. Między nimi były jednak i inne typy. Wśród tłumu wyróżniałem fizyognomie mniéj brutalne, za to bardziéj chytre; widziałem głowy przyzwoicie ostrzyżone, twarze z małemi brodami, figury, bądź w krótkich kożuszkach i butach wysokich, bądź nawet w paletotach i kaloszach. Byli to żydzi obcy, pruscy lub wiedeńscy, którzy pospołu z czernią jechali do Borysławia. Więcéj oni cywilizowani od żydów galicyjskich, ale téż i straszniejsi od nich. Do Borysławia wszystkim im śpieszno, tam bowiem leży ich ziemia obiecana, płynąca zamiast biblijnego mleka i miodu, doskonałym olejem skalnym i jeszcze droższym od niego woskiem ziemnym. Biegli więc wszyscy, krzycząc i przeklinając, bo każdy bał się, aby pociąg nie odszedł i jego nie zostawił. Pomieścili się jednak wszyscy, pociąg ruszył szczęśliwie, i za minut dwadzieścia, minąwszy fabrykę świec Gartenberga, stojącą na połowie drogi, przyjechaliśmy do Borysławia.

Chociaż ze stacyi do wsi, lub raczéj do miasteczka, jest przeszło ćwierć mili i do tego bardzo złéj drogi, mimo to przed dworcem kolejowym było pusto, jakby wymiótł. Nigdzie dorożki. Chcesz czy nie chcesz, musisz tedy iść pieszo, chyba żeś uprzedził jakiego nafciarza, by ten swój ekwipaż po ciebie wysłał. W takim razie poczekaj chwilę, ale jeśli do pięciu minut nikt nie przyjdzie, to powiédz sobie w duchu, tak jak ja to uczyniłem, że poczta zawiniła i razem z czernią żydowską maszeruj *per pedes apostolorum*. Wiedząc, jak jeszcze dzikim jest Borysław, byłem przezornym i naprzód uwiadomiłem znajomych o moim tamże przyjeździe; dzięki jednak nie zbyt wielkiéj skrupulatności poczty, list na dwa dni przedemną wy-

słany, odbył podróż tym samym co ja pociągiem, i na miejsce przyszedł równocześnie ze mną. Tak więc, złożywszy pakunki na stacyi, szedłem pieszo, brnąc w błocie po kostki. Ale mimo to, nie gniewałem się; przeciwnie, przymusowa ta przechadzka zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie.

Przedemną, w półkolu, stały góry, szpilkowemi lasami porośnięte, wśród których gdzie niegdzie widać było duże płaty śniegu. U ich podnóża, także w półkolu, leżał na terasie Borysław, cały ukryty w mgle sinawéj, którą tworzy dym, wylatujący z licznych kominów parowych. Dla każdego mieszkańca Galicyi, którego oko patrzy ciągle tylko na łany zbożem zasiane, a rzadko gdzie ujrzy jaką gorzelnię, browar lub młyn amerykański, obraz miejscowości przypominającéj, acz w miniaturze, Szląsk fabryczny, musi być miłem zjawiskiem. Gdy idziesz tą drogą, zapominasz o błocie, nie myślisz nawet o żydach, którzy w rękach swoich mają większą połowę Borysławia i w duszy rodzi ci się gorące pragnienie, aby biedna nasza prowincya miała jak najwięcéj takich miejscowości, sam bowiem instynkt, jeźli już nie znajomość ekonomii, mówi ci w téj chwili, że bez fabryk kraj nasz materyalnie nigdy się nie odrodzi, przeciwnie, uprawiając samo tylko zboże, którego zresztą bez przemysłu rolniczego z każdym rokiem mniéj będzie, musi z dniem każdym zapadać w nędzę coraz większą.

W pół godziny stanęłem w Borysławiu.

Dzięki uprzejmości dyrekcyi Banku Kredytowego we Lwowie, który od lat czterech prowadzi w Borysławiu eksploatacyą na wielką skalę, zwiedziłem kopalnie, magazyny, laboratorya; patrzyłem na robotników, spuszczających się w głąb' ziemi na 150 metrów, czasem jeszcze głębiéj, oglądałem wosk ziemny, wydobywany z tych studzien i dokładną mapę geologiczną, przedstawiającą bogactwa Borysławia, widziałem jak puszczano w ruch maszyny parowe, pompujące wodę z głębi ziemi i ułatwiające całą pracę, nareszcie wyszedłem na wyżynkę, zwaną „pagórkiem cesarskim", skąd w r. 1880, monarcha austryacki, Franciszek Józef, oglądał Borysław.

Stąd miasteczko całe przedstawia się jak jedno wielkie obozowisko, na którem zamiast namiotów płóciennych, stoją domki drewniane, z dachami ostro do góry sterczącemi. Między niemi widać uliczki wąskie, błotniste, bez trotoarów. Ilekroć w życiu przechodziłem przez Mercato Vecchio we Florencyi, zawsze sobie powtarzałem, że nigdzie indziéj tylko tam, nieśmiertelny Alighieri musiał układać swoje „Piekło". Dziś jednak sądzę, że gdyby Dante widział był Borysław, jego „Piekło" miało by jeszcze jeden krąg więcéj, a z wszystkich najstraszniejszy. Całe terytoryum, liczące kilkaset

morgów, jest literalnie podziurawione, jak drzewo, które kornik stoczył. Znaczna liczba studzień jest czynna, i z tych przedsiębiorcy wydobywają bądź naftę, bądź wosk ziemny, ale kilkaset innych, może nawet kilka tysięcy, dla tego, że się nie opłacały, lub były źle założone, są dziś zasypane. Tylko niewielkie wklęśnięcia, albo pale nad ziemią sterczące, świadczą o miejscach gdzie się znajdowały. Ponieważ każda studnia, od góry do dołu musi być ocembrzona, przeto w ziemi borysławskiéj zniknęły już całe lasy. Jeżli kiedyś, za lat tysiące, potomkowie nasi odkryją tu kopalnie węgla, to ich geologowie nie jedną noc bezsenną strawią, nim rozwiążą zagadkę, czemu węgielnia leży tu nie w warstwach, lecz długiemi kolumnami zapuszcza się w głąb ziemi.

Na jednym końcu Borysławia ma swoje kopalnie żyd Liebermann, nazywany także „królem naftowym", na drugim Towarzystwo francuskie. Między nimi w środku pracuje Bank Kredytowy. Niegdyś czerpanie nafty było tu bardzo łatwe. Studnie były oddalone jedna od drugiéj o 7 do 8 metrów, a najgłębsze miały najwyżéj 37 metrów. Mimo to niektóre z nich dawały dziennie po 24 hektolitry oleju. Dziś zmieniły się stosunki. Kto chce mieć naftę, musi teraz bardzo głęboko kopać, a to się już nie opłaca; co było u góry już wyczerpano. Bank Kredytowy uznał tedy za rzecz korzystniejszą, zająć się tylko eksploatacyą wosku ziemnego. Co to jest wosk ziemny?

Wosk ziemny (ozokrit) jest to masa, bardzo podobna do wosku pszczelnego, zwykle brunatna, czasem zielonawa, niekiedy także żółta jak pomarańcza, i wtedy na oko od prawdziwego wosku prawie się nie różni. Tylko jéj ciężar jest znacznie mniejszy od tamtego. Gdy wosk ziemny rozdzierasz, dzieli się na części włókniste i odór ma oleju skalnego. Na wodę rzucony pływa, w gorącu topi się, a zamieniony na świecę, pali się doskonale, lecz kopci jak nafta. Znajduje on się między pokładami soli lub węgla, i jak dotąd, w większéj ilości odkryto go dopiero w trzech miejscowościach. W Newcastel w Anglii, w Slanice w Rumunii i w Borysławiu. W ostatnich czasach zaczęto go także kopać w Truskawcu. Piękne to miejsce kąpielowe znane jest powszechnie, a od Borysławia leży o sześć kilometrów. Dawniéj nie wiedziano, co z woskiem ziemnym począć, odkąd jednak zaczęto z niego wyrabiać doskonałe świece (cerezynę), wartość jego urosła, i teraz w Borysławiu płacą za centnar 32 guldeny. Co do pochodzenia téj substancyi, zdania geologów są podzielone. Jedni utrzymują, że wosk ziemny jest pozostałością oleju skalnego, którego części więcéj lotne w ziemię wsiąknęły; drudzy przeciwnie mniemają, że nafta tworzy się dopiero z wosku. Druga

ta hypoteza, nie trafiająca do przekonania nawet profanom, nie ma między uczonymi wielu obrońców.

Jak dotąd, wydobywano w Borysławiu wosk sposobem rozbójniczym, to jest wiercono studnie gdzie bądź i brano co się dało. O posuwaniu się powolném a roztropném, o budowaniu galeryi, zwłaszcza że wosk leży w kilku warstwach, oddzielonych od siebie dość znaczną przestrzenią, nie było dotąd mowy. Chociaż Bank Kredytowy eksploatuje teraz kopalnie według przepisów górniczych, mimo to złe, które już zrobiono, nie tak prędko da się usunąć, znana to bowiem prawda, że łatwiéj człowieka od dziecka dobrze wychować, niż dorosłego a znarowionego naprawić, i łatwiéj dom nowy postawić, niż walący się tak wyrestaurować, by jak nowy był trwały.

Cały Borysław zrobił na mnie wrażenie wielkiego bankruta. Co miał najlepszego roztrwonił, a dziś goni już ostatkami. Wprawdzie ludzie roją się tu jeszcze jak w mrowisku, z kilkudziesięciu kominów bucha czarny dym, który lokomobile wyrzucają, ale mimo to na twarzach widać niezadowolenie. Nafta zaskórna wyczerpała się, a chociaż ostatniemi czasy w kilku innych miejscowościach w Galicyi zrobiono już odkrycie, że główne rezerwoary nafty znajdują się na 200 metrów w ziemi, gdzie niegdzie jeszcze głębiéj, mimo to borysławscy przemysłowcy nie zapuszczają się tak głęboko, bo albo nie wierzą w powodzenie, bądź téż nie mają na to odpowiednich kapitałów. Nie wiercą oni także studzień sposobem kanadyjskim, przy pomocy maszyny parowéj, bo to drogo kosztuje. Ale chociaż widać tu wszędzie zacofanie, Borysław ma jeszcze wielkie skarby, gdyż dotąd rok rocznie produkcya jego reprezentuje 4.000.000 guldenów.

Ludność w Borysławiu jest przeważnie żydowska. Na 16.000 mieszkańców jest ledwie 5.000 chrześcian. Są to prawie sami robotnicy. Bank Kredytowy daje w swoich kopalniach zajęcie 1.500 ludziom, między którymi jest tylko 400 izraelitów. Żyd nie lubi pracować na 100 metrów w głębi ziemi i oddychać wpompowywaném powietrzem. On woli Mazura lub Rusina spuszczać do studni na drucianéj linewce, sam zaś chętnie stoi na górze, przy korbie, jeszcze chętniéj pośredniczy w sprzedaży nafty lub wosku, z przyjemnością także jeździ po wsiach okolicznych i szuka robotników, ale najchętniéj eksploatuje chrześciańskiego robotnika. Jeźli gdzie, to w Borysławiu można przekonać się naocznie, jaki wpływ wywiera czerń żydowska, ilekroć w przeważnéj sile rzuci się na autochtonów. Dawni mieszkańcy Borysławia, ruscy włościanie, którzy niegdyś mieli na swoich gruntach bogate kopalnie, tak się gdzieś rozpierzchli, że w biały dzień trzeba ich z latarnią szukać. Jedni rozpili się i po-

marli, drudzy zmienili się w robotników, rzadko zaś który utrzymał się przy ojcowiźnie. Takich zaś, którzy-by majątki porobili, jest ledwie pięciu. Czteréj pokupowali wioski w okolicy, piąty ma domy w Drohobyczu i w Samborze. Ale podczas gdy dawni panowie tych skarbów noszą dziś żydom wodę, za to ci, którzy przed dziesięciu laty przyszli tu z kilkoma guldenami, mają dziś krociowe fortuny i każdemu zuchwale urągają. Choćbyś był największym zwolennikiem równouprawnienia żydów, jednakowoż gdy po Borysławiu chodzisz, musisz sobie w duchu powiedziéć, że ci ludzie dopiero wtedy powinni-by mówić o równych prawach, gdyby wpierw przyjęli na swoje barki odpowiednią część obowiązków, ciążących dziś wyłącznie na rodziméj ludności. Ale oni ani chcą o tém słyszéć w Galicyi. Tu, w Borysławiu, gdzie są w przewadze liczebnéj, ich zuchwałość nie ma granic. Żyd gdzie indziéj potulny, nawet bojaźliwy, tu zapytany o co przez chrześcianina na ulicy, często gęsto nie raczy mu nawet odpowiedziéć. Krwawe sceny z roku ubiegłego, są najlepszą ilustracyą tutejszych stosunków. Wspomniałem wyżéj, że we wschodniéj części Borysławia, Towarzystwo francuskie ma wielkie kopalnie. Prowadzi ono eksploatacyę dobrze, i dba o swoich robotników. Zdawien dawna wystawiło ono dla nich baraki, założyło porządne kantyny, a wypłaty tygodniowe urządza tak sumiennie, że nikt nie może uskarżać się na jego kierowników. Rzecz łatwa do zrozumienia, że nafciarzom jak Liebermann, taki porządek był solą w oku. Żydzi borysławscy starają się wszelkiemi sposobami, a głównie lichwą, trzymać przy sobie robotnika, na końcu zaś tygodnia, zamiast gotówki, dają mu kwity, za które on tylko w kantynach żydowskich może otrzymać artykuły spożywcze. Że te są tam droższe i w najgorszym gatunku, tego nie potrzebuję nawet dodawać. Czyż można się dziwić, jeźli robotnik tak wyzyskiwany, marzył zawsze o Towarzystwie francuskiém jak o raju, do którego chciałby się dostać? Żydzi radzi byli pozbyć się współzawodników. W roku ubiegłym, pewnego dnia sierpniowego, tłum żydowski, liczący głów kilka tysięcy, rzucił się na baraki Towarzystwa i zniszczył je, przyczém kilku robotników ciężko zranił. Kilku z nich umarło. I podczas gdy czerń podmówiona, dopuszczała się gwałtów w Borysławiu, ich kierownicy, siedząc bezpiecznie w Drohobyczu, zatelegrafowali do Wiednia, co tamtejsze dzienniki w lot ogłosiły, że w Borysławiu wszczął się ruch antisemicki, że chrześcianie żydów mordują. W kilka godzin, na miejsce krwawych zamieszek, przyszedł z Drohobycza oddział wojska, a nie długo potém zjechała komisya sądowa. Uspokojono umysły, chrześcianie bowiem przysięgali krwawy odwet, kilkudziesięciu żydów poszło pod klucz i rozpoczęło się śledztwo. Ale

chociaż kilkunastu zamknięto do więzienia (obżałowani zostali razem na 16 lat zasadzeni) mimo to stosunki nie poprawiły się na lepsze, gdyż istotni przewódzcy potrafili uniknąć surowéj ręki sprawiedliwości i pod osłoną prawa, które umieją zręcznie obchodzić, prowadzą daléj niecne swoje rzemiosło.

Po zwiedzeniu kopalń, oglądałem przedmioty, wyrabiane z wosku ziemnego. Są to same świeczki, stoczki i świece, różnéj wielkości, począwszy od malutkich, które palą się na choinkach w wigilję Bożego Narodzenia, a skończywszy na olbrzymich stojących w kościołach przed wielkiemi ołtarzami. Kolor tych wyrobów jest także rozmaity. Widziałem między niemi białe jak śnieg i téj saméj barwy co świece z wosku pszczelnego.

— Gdzie te przedmioty bywają wyrabiane?—zapytałem pewnego przemysłowca, który ze stosunkami fabrycznemi dobrze jest obznajomiony.

— W rozmaitych miejscowościach—odrzekł, a jeżeli rzecz ta interesuje pana, to proszę spojrzéć na ten oto wykaz.

To powiedziawszy, podał mi papier, na którym czytałem:

„Jednoroczna produkcya wosku ziemnego w Borysławiu wynosi 260,000 zwykłych centnarów, czyli 130,000 centnarów metrycznych. Fabryki przerabiające wosk ziemny potrzebują tygodniowo: 1) Ujhelly w Stockerau pod Wiedniem 500 cnt. metr. 2) Himmelbauer w Ostrowie na Morawie 200 cnt. metr. 3) Wagemann w Wiedniu 100 cnt. metr. 4) Kochstetter w Florisdorf pod Wiedniem 100 cnt. metr. 5) Pilz w Aussig w Czechach 50 cntr. metr. 6) Ott w Frankfurcie 50 cnt. metr. 7) Gartenberg w Sosnowicach w Królestwie Polskiem 700 cent. metr. 8) Kernbaum, także w Sosnowicach 500 cent. metr. 9) Landsberg we Lwowie 100 cent. metr. 10) Filth w Anglii 50 cent. metr. 11) Sarg w Wiedniu 100 cent. metr. 12) Biermann w Rosyi 100 cent. metr. 13) Gartenberg w Drohobyczu 150 cent. metr.“

— Okazuje się z tego, odrzekłem, że w saméj Galicyi przerabiamy ledwie dziesiątą część produkcyi, reszta zaś wychodzi po za nasze granice. Proszę mi teraz łaskawie powiedzieć, czy fabryki galicyjskie zaspakajają potrzeby naszéj prowincyi?

— Bynajmniéj! Część wyrobów, głównie ze Stockerau pod Wiedniem, wraca nazad do Galicyi.

— Jeżli tak, to fabryk przerabiających wosk ziemny należałoby więcéj u nas założyć. Wszak już to samo, co kosztuje transport wosku do Stockerau, a ztamtąd przywóz świec do Galicyi mogłoby stanowić piękny zysk dla fabryki. Prócz tego moglibyśmy wyrabiać także świece na eksport.

Na tę uwagę mój przemysłowiec uśmiechnął się na pół ironicznie, na pół z politowaniem.

— Mój panie, tylko na oko tak to się wydaje—odrzekł, w rzeczywistości inaczéj przedstawia się ta sprawa. Byśmy kiedykolwiek na eksport produkowali, o tém nawet marzyć nie możemy, a co do kosztów transportu, o których pan wspomniałeś, to te są niczém w porównaniu z tém, co każda fabryka w Galicyi musi wpierw pochłonąć i stracić, nim zacznie się opłacać. I wielkie jeszcze pytanie, czy fabryki będą się u nas kiedykolwiek opłacały. O ile wiem, nawet fabryka Gartenberga w Drohobyczu nie robi dobrych interesów. Ubiegłego roku bardzo się już chwiała, i gdyby nie to, że Gartenberg ma drugą taką fabrykę w Sosnowicach, w Kr. Polskiem, która świetnie idzie, to kto wie na czem by się już było skończyło.

— Zkąd jednak pochodzi, że w Sosnowicach zarabia?—zapytałem.

— Zaraz to panu wytłumaczę. Rząd rosyjski ustanowił od jednego wagonu świec (100 centnarów metrycznych) cło w wysokości 1200 rubli w złocie. Równocześnie jednak, aby wyrób tego artykułu umożliwić u siebie, pozwala wosk ziemny bez cła wprowadzać. Gartenberg tedy wozi do Królestwa sam wosk, i tam z niego świece wyrabia. Gdyby więc nie zyskiwał nic więcéj, krom cła, którego nie płaci, to już i tak musiałby tam robić świetne interesa.

Krótka ta rozmowa w Borysławiu, obudziła we mnie tyle myśli i tyle wspomnień, że postanowiłem spisać je jak najprędzéj, by rodacy moi, w innych częściach dawnéj Rzeczypospolitéj dowiedzieli się nareszcie, dla czego Galicya jest taka biedna, i czemu na własny przemysł nie może się zdobyć.

II.

Rok temu bawiłem na Ukrainie, u pewnego obywatela, który ma własną cukrownię, własną kolej żelazną i rok rocznie sadzi w swoim majątku 1500 morgów buraków. Gdym dnia pewnego wyjechał z nim w pole, by posiadłość jego oglądnać, zwracając się do mnie, zapytał:

— A w Galicyi kwitnie cukrownictwo?

— My go prawie nie mamy. Przed dwoma laty były u nas w ruchu dwie cukrownie, teraz jest już tylko jedna, a i ta ledwie dysze.

— Czy tam może ziemia zła, i buraki się nie rodzą?

— Tego nie mogą powiedzieć. Nasze Podole ma ziemię taką samą jak tutejsza, a w innych okolicach, jak w Przemyślskiem, Belz-

kiem i na Pokuciu, rola jest także doskonała. W ogólności cała Galicya ma urodzajniejszą ziemię niż Wielkopolska, a mimo to księztwo produkuje buraków co nie miara, gdy przeciwnie u nas nikt o nich nie myśli, bo nie ma ich dla kogo sadzić.

— Kto jednak temu winien?

— Trochę my sami, choć stosunkowo jeszcze najmniéj. Główne złe wypływa z nieszczęsnego stosunku naszéj prowincyi do monarchii austryackiéj, która swoim niemcom wydała nas na pastwę.

Widząc że szlachcic spojrzał na mnie okiem zdziwioném, starałem się, bodaj wogólnych zarysach, obznajomić go z naszemi stosunkami, lecz mimo wielkiego z méj strony wysiłku, nie udało mi się usprawiedliwić przed nim Galicyi. Wysłuchał, ręką machnął i rzekł:

— Źle, moi panowie, bierzecie się do rzeczy i basta! Kto ma taką, jak wy, wolność, ten powinien umieć wszystko zrobić. W waszych rękach leży wasze materyalne odrodzenie. Jeżeli ziemia z pod nóg wam się usuwa, samiście sobie winni.

Takie mniéj więcéj wyobrażenie mają o nas wszyscy: Kongresowiacy, Wielkopolanie, Litwini, Rusini. Każdy z nich jest głęboko przekonany, że właściciele ziemscy w Galicyi są niezmiernie zacofani, i że miasta nasze, nie mają należytego wyobrażenia ani o potrzebach kraju, ani o własnym interesie. Nie myślę ja bezwarunkowo bronić Galicyi; przeciwnie, sam przyznaję, że może w żadnéj innéj części mojéj ojczyzny, nie ma tyle co tu, błędów, śmieszności, nawet grzechów; z drugiéj jednak strony nie mogę Galicyi robić za to odpowiedzialną, że u niéj nie ma przemysłu, skoro nieszczęsne stosunki, których zmiana nie leżała w jéj mocy, przez wiek cały zmuszały ją do życia biernego. Kto inaczéj sądzi, ten niech zechce chwilę mnie posłuchać.

Cały świat godzi się już na to, że rola sama nie jest wstanie utrzymać państwa nowoczesnego, które jeżli ma żyć i rozwijać się prawidłowo, musi mieć wielkie dochody, a tych z saméj ziemi nie można wyciągnąć. Prostą tę prawdę zrozumiały najpierw Anglia i Francya, po nich poszły Niemcy i inne kraje, dla tego téż zdawien dawna widzimy na zachodzie gorliwe krzątanie się około rozwoju przemysłu i handlu, aby dochody z tych dwóch gałęzi pracy ludzkiéj płynące, mogły pokryć wszystkie potrzeby nowoczesnych państw i społeczeństw. W jaki jednak sposób rozwinął się przemysł tak na Zachodzie, jak w środkowéj Europie, w Królestwie Polskiém i w Rosyi? Bardzo wielu sądzi, że powołała go do życia zbiorowa praca jednostek, bez żadnego przyczynienia się rządów. Jakkolwiek to przekonanie jest błędne, mimo to nie dziwimy się, że tak się roz-

powszechniło, ludzie bowiem mają krótką pamięć, a że w ostatniém pięćdziesięcioleciu słyszeli ciągle hymny na część wolności handlu i przemysłu, która miała cuda zdziałać, przeto rzecz naturalna, że jeszcze dziś nie jednemu może się zdawać, iż opieka rządów szkodziła zawsze i wszędzie prawidłowemu rozwojowi pracy ludzkiéj. Że zapatrywanie to jest mylne, o tém przekonały nas wypadki kilku lat ostatnich. Zasada *laissez faire*, *laissez passer*, korzystna dla mocnych, lecz zabójcza dla słabych, zbankrutowała nierównie prędzéj, niż się tego spodziewali sami jéj przeciwnicy, i teraz rządy europejskie starają się znów rozmaitemi sposobami ograniczać wolność tak handlu jak przemysłu. Czynią to zaś nie dla dogodzenia swojéj fantazyi, lecz w dobrze zrozumianym interesie społeczeństw ich pieczy powierzonych, ponieważ teorya Smitha, mimo iż dla niéj nie miał dość słów pochwały nawet tak gienialny człowiek jak Buckle, okazała się dotąd korzystną w Europie tylko dla jednéj Anglii, która dzięki dawniejszéj opiece rządu, postawiła swój przemysł na najwyższym szczeblu, i mając prócz tego cały handel w swym ręku, mogła zarzucić własnemi wyrobami rynki całego świata. W warunkach mniéj korzystnych znajduje się już jéj sąsiadka, Francya, i dla tego w chwili gdy to piszemy, ustanawia ona u siebie cła od zboża i bydła, aby zasłonić swoje rolnictwo przed niebezpieczną konkurencyą. Gdzie się więc podziała do niedawna jeszcze tak sławiona zasada *laissez faire*, *laissez passer*? W teoryi została mrzonką, w rzeczywistości okazała się zgubném hasłem. Im spokojniéj zaczynamy teraz przeszłość badać, tém dobitniéj występuje ta prawda, że niemal wszędzie przemysł zawdzięcza swoje istnienie opiece rządów. Wolność, głoszona przez angielskich samolubów, przyczyniła się gdzie niegdzie do jego rozwoju, lecz do życia nigdzie go sama nie powołała. Gdybyśmy chcieli dać wierny obraz tego, co dla zaszczepienia i utrzymania przemysłu, uczyniły rządy na zachodzie, w środkowéj Europie, nareszcie w Królestwie Polskiem i w Rosyi, to musielibyśmy znacznie przekroczyć ramy naszéj rozprawki. Aby więc uniknąć rozwlekości, przytoczymy tylko kilka szczegółów z dzieła d-ra Tadeusza Rutowskiego (1) który tę sprawę badał sumiennie. Dziwimy się, mówi tenże, iż Francya wywozi dziś rocznie za 1,600 miljonów franków samych wyrobów przemysłu artystycznego, a w tém wyrobów garncarstwa (Ceramiki) za 60 miljonów franków. Ależ to olbrzymie źródło narodowego bogactwa, przemysł artystyczny, artykuły galanteryjne, zbytku, mody, (Colbert powiedział, że mody więcéj znaczą dla Francyi niż złoto Peru dla Hiszpanji), zostało otwarte znacznym nie-

(1) W sprawie przemysłu krajowego.—Kraków 1883.

gdyś nakładem, wielkiemi ofiarami. Za czasów Franciszka I, a nawet dawniéj jeszcze, zwłaszcza za Henryka IV i Ludwika XIV, wydawano olbrzymie sumy na ugruntowanie importowanego z Włoch przemysłu jedwabniczego. Dziś ten przemysł dominuje na wszystkich targach świata, ale on nie spadł z nieba, ani go społeczeństwo własnemi siłami do życia powołało, lecz zostaje w ścisłym związku z temi subwencyami, o których historya francuzkiego przemysłu na każdéj karcie mówi. Za Henryka IV dawano ze skarbu 2.000 liwrów za każden warstat tkacki jedwabniczy w ruch puszczony. Podobnież subwencyonował Colbert holenderskich tkaczy wełnianych, którzy byli założycielami późniejszéj olbrzymiéj sukienniczéj produkcyi Francyi. Któż nie wie, ile kosztowała ta akademia smaku, wysoka szkoła, z któréj wywodzi się artystyczny przemysł dekoracyjny Francyi, słowem fabryki kobierców, obić meblowych, mebli i tapet, Savonnerie, Beauvais i Gobelins, zaszczepione miljonami skarbu francuzkiego, założone przez brabanckich i flamanckich majstrów-artystów? Koronki francuzkie, wydają się „naturalnym“ produktem francuzkiego smaku. A przecież wiążą się one w prostéj linji z ową panią Gilbert, która w zamku Colberta Louvay pod Alençon, z trzydziestu wenecyankami otworzyła pierwsze atelier, otrzymawszy ze skarbu 150.000 liwrów subwencyi, na owe czasy kolosalną sumę. Takie to subwencye i przywileje zagwarantowane edyktem z r. 1665, stworzyły przemysł miljonowy koronek, *Points de France*. Wenecyanki i Flamandki uczyły, a powstał z tego wnet rodzimy przemysł francuzki. Już we 20 lat było w saméj okolicy Havru 22,000 koronczarek. Tak samo powstała industrya zwierciadeł kryształowych, garncarstwo, owa przesławna *Poterie de France*, niezrównane artystyczne brązownictwo itp. Francuską politykę przemysłową odznaczało zawsze używanie całych środków. Napoleon dał miljon franków na nagrody i zachęty dla stworzenia przemysłu cukrowniczego z buraka, drugi zaś miljon na wynalezienie mechanicznego warstatu do przędzenia lnu. W Anglii wydawano krocie i miljony na ściągnięcie obcych przemysłowców, na wprowadzenie nowych industryj, na kupno maszyn, narzędzi, wynalazków. Miljony wydawano w formie premij eksportowych. Na przyjęcie wypędzonych z Francyi Hugenotów, którzy kilkadziesiąt gałęzi przemysłu w Anglii zaszczepili, złożono 200,000 funtów sterlingów. Na zaszczepienie i rozwój przemysłu lnianego, na wspieranie kultury lnu i doskonalenie procesu przędzenia i tkania, uchwalał angielski parlament od r. 1711 do 1828 bez przerwy od 6 do 20 tysięcy funtów sterlingów rocznie. Premie eksportowe, ażeby zdobyć dla płóciennictwa angielskiego, a zwłaszcza sławnego irlandzkiego, targi świata, trwały do r. 1830, a w roku

1829 wyniosły one 300,000 funtów sterlingów. To samo działo się w Belgii, Holandyi, w Prusiech, Saksonii, Wirtembergii, Bawaryi. W Saksonii i Wirtembergii, do dziś dnia wydatki na cele przemysłowe stanowią znacznie wyższy procent budżetu państw, niż w Austryi. Kiedy mianowicie według budżetu 1882/3 wypada w Austryi na cele przemysłowe 0.21 procent całego budżetu, to w tymże roku w Wirtembergji wypada 0.79 proc. a w Saksonji 1.18 proc. Jaskrawiéj występuje różnica, jeźli kwotę na cele przemysłowe rozliczy się na głowę mieszkańca. W Austryi wypada na głowę 9.43 feniki, gdy w Wirtembergii 20.63 feni. a w Saksonii 21.06 feni. Królestwo Polskie, przez lat dziesiątek wydawało z funduszu przemysłowego po 127.000 rs. rocznie, co biorąc wartość ówczesną pieniędzy, znaczy śmiało pół miliona guldenów austryackich. Obowiązek bezpośredniego popierania przemysłu, przejął potém Bank polski i spełniał przez lat trzydzieści. Na górnictwo wydawano jeszcze więcéj. W Rosyi subwencye dla przedsiębiorstw fabrycznych są ciągle na porządku dziennym, dawniéj zaś były regułą. Tak np. szambelan W. Pełczyński w swém dziele: „O stanie sił przemysłowych Rosyi do r. 1832“ (Petersburg 1833) mówi, że rząd dopomógł pieniężném wsparciem i innemi środkami 54 gałęziom przemysłu. Dziś najzwyklejszą formą subwencyi, są olbrzymie obstalunki i liwerunki na potrzeby państwa, kolei, wojska itd.—Węgrzy (odkąd odzyskali byt państwowy) dają subwencye, pożyczki łatwe: i trzymają się ściśle protekcyi krajowego wyrobu przy wszystkich dostawach na potrzeby administracyi państwa. Kosztuje to wprawdzie drożéj, lecz za to przemysł powstaje. Węgrzy dopiero od lat kilkunastu mają samodzielność ekonomiczną, a dziś już niemal wszystko, czego rząd potrzebuje, w kraju dostaje. Rząd, jako największy konsument papieru, przyjął zasadę, żeby „ani jeden arkusz“ nie był kupiony za granicami Węgier. Dla wojska pracują fabryki sukna i płótna w Preszburgu, Losoncz i Gacz, podobnież fabryki obuwia; dla ministerstwa rolnictwa fabryka calico w Preszburgu i nowa fabryka płótna lnianego w Keszmarku. Ministeryum dla rolnictwa, przemysłu i handlu, zawarło w r. 1881 z krajowemi fabrykami kontrakt na trzy lata. To samo dzieje się w młodziutkich państewkach naddunajskich. W Rumunii subwencyonuje rząd cały szereg gałęzi przemysłu. Naprzykład, na saméj granicy Siedmiogrodu, subwencyonuje teraz wielką fabrykę szkła, która ogromnie szkodzi przemysłowi węgierskiemu. Z drugiéj strony, pomoc i różne korzyści, zapewnione przez rząd rumuński zakładającym w kraju fabryki, są takie, że już wielu fabrykantów niemieckich tam się przeniosło, lub pozakładało filje. W ostatnich czasach rozwinął się bardzo wywóz austryackiego spirytusu do Bulgaryi. W lot

rząd bułgarski zawarł z francuzką kompanią ugodę, mocą któréj za znaczne przywileje i pieniężną subwencyą, kompania ta ma założyć w Bułgaryi kilka fabryk spirytusu, żeby kraj ten uczynić niezależnym od obcego przywozu. Toż samo ma się z żeglugą parową. Pruska *Seehandlung* pochłonęła miliony ze skarbu państwa, a dziś ks. Bismarck żąda znów milionów od Reichstagu, aby żeglugę morską ugruntować. Anglia płaci rocznie 15 milionów franków subwencyi różnym liniom żeglugi parowéj. Francya subwencyonuje linie łączące Francyą z Korsyką, Brazylią, Anglią, Antyllami i Nowym Yorkiem, francuskiemi Indyami, Algierem i Tunisem, kwotę 24 milionów franków. Nawet Włochy wydają na ten cel 8 milionów franków.

Ze szczegółów, któreśmy dotąd przytoczyli, a jest to ledwie milionowa część tego, coby w tym przedmiocie dało się jeszcze powiedzieć, okazuje się, że każdy rząd rozumny starał się zawsze o to usilnie by przemysł w jego państwie przyjął się i zakwitnął. To téż mimo że subwencyonował warstaty i fabryki, ustanawiał premie, zakładał szkoły przemysłowe, budował drogi, i ułatwiał kredyt, równocześnie wysokiemi cłami zabezpieczał także wyroby własnego kraju, wielkiemi zaś nagrodami ułatwiał ich wywóz za granicę. Sam Cobden, chociaż w naszém stuleciu był najgłośniejszym rzecznikiem wolności handlu i przemysłu, za co mu téż jego rodacy 75.000 funtów sterlingów w upominku złożyli, niejednokrotnie wyjawiał zdanie, że cła ochronne są tak długo potrzebne, póki wyroby, dla których zostały ustanowione nie udoskonalą się pod każdym względem. Gdy już będą najlepsze i najtańsze, i gdy prócz tego rozumnie uorganizowany handel zdobędzie dla nich wszystkie rynki na świecie, wtedy dopiero ostoją się bez ceł ochronnych, bo nie będą potrzebowały lękać się konkurencyi. Ponieważ pod tym względem nie każdy kraj jest tak szczęśliwy jak Anglia, przeto dziwić się nie można, że większość państw europejskich porzuca dziś egoistyczną teoryą Smitha, na któréj liberalizm wyzysk zbudował, i wraca do systemu ceł ochronnych, poczytując je za deskę ratunkową.

III.

Co rząd austryacki uczynił w Galicyi, by w niéj przemysł dźwignąć?

Przez lat 90, tj. od r. 1872 do 1862, rząd wiedeński tak się zachowywał wobec Galicyi, jak gdyby cały ten kraj nie był jego własnością, lecz dzierżawą, z któréj prędzéj lub późniéj będzie musiał

ustąpić. Im uważniéj przypatrujemy się systemowi rządów ówczesnych, tém uporoczywiéj nasuwa się pytanie, co więcéj w nim zadziwia, zła wola czy niedołęztwo? Jeżeli Austrya uważała Galicyą za swoją własność, a mimo to niszczyła ją pod każdym względem, tak moralnie, jak materyalnie, to twórcy téj polityki byli co najmniéj niedołężni. Bo czyż roztropny właściciel niszczy własny majątek? A jeżeli na Galicyą spoglądała jak na dzierżawę, to czy wtedy jéj polityka nie była nacechowana złą wolą? Wziąć kraj obszerny i z natury bogaty, powaśnić wszystkich jego mieszkańców, a ziemię tak wyniszczyć, aby sam kąkol rodziła, potém zaś kraj ten pierwszemu lepszemu odstąpić, czyżby to było roztropne i uczciwe? A jednak austryaccy mężowie stanu tak postępowali między 1772 a 1862 r. Wiemy, że Rzeczpospolita nie była państwem dobrze rządzoném. Pod względem zaś ekonomiczném należała ona do najsłabszych organizmów. Państwo, które swoich płodów wywoziło najwyżéj za 200 miljonów złotych polskich, przywoziło samych artykułów szlachcie potrzebnych najmniéj za 800 miljonów, takie państwo nie mogło stać o własnych siłach. Że skarb był zawsze pusty, że nie było za co wojska utrzymać, o tém wszyscy wiemy. Ale jeżeli my sami surowy dziś sąd wydajemy o naszych przodkach, że lekkomyślnie zgubili siebie i państwo, to cóż dopiero mamy mówić o monarchii, która mimo iż swą sąsiadkę wyprzedziła w gospodarności i w organizacyi państwowéj, przyłączywszy potém jéj część do swego organizmu, zaczęła ją eksploatować na sposoby rozmaite, jakby chciała koniecznie przywieźć do kija żebraczego wszystkich jéj mieszkańców. Gdy Austrya, jednego strzału nie dawszy, brała w posiadanie Galicyą, znalazła tu ludność tylko rolniczą, która gdzie niegdzie zajmowała się także przemysłem domowym, zaspokajającym nie zbyt wielkie potrzeby włościan i drobnego mieszczaństwa. Pierwszy kanclerz téj prowincyi, hr. Wrbna, rozpatrzywszy się w miejscowych stosunkach, głośno upominał, by z Galicyi nie brano, lecz do niéj wkładano. Innego atoli zdania byli ówcześni politycy wiedeńscy. Monarchią były dla nich tylko prowincye niemieckie tudzież kraje za niemieckie wówczas uważane, jak Szląsk, Morawa i Czechy, Galicya zaś miała pozostać rynkiem zbytu dla niemieckich fabrykantów. Kto odtąd w Galicyi chciał być innego zdania, tego uważano za buntownika. Aby zamierzony cel rychło osiągnąć, wzięto się energicznie do dzieła. Najpierw wygórowanemi podatkami kraj obciążono; następnie ustawą o stemplowaniu sreber i kosztowności zabrano mieszkańcom miliony; bankructwem podczas wojen francuskich zniszczono tysiące rodzin; za sól z Wieliczki i za tytoń zabierał rząd rok rocznie do 10 milionów; za sprzedane dobra królewskie ściągnął pienią-

dze do Wiednia; każdéj chwili brał depozyta sądowe z Tarnowa Lwowa i Stanisławowa; słowem prawie przez cały wiek polował na kapitały w Galicyi. W ciągu lat 90 zniknęły też z Galicyi pieniężne zapasy. Czyż w takich warunkach mógł przemysł dźwignąć się o własnych siłach? Gdzie indziéj, jakeśmy to wykazali, uznano, że miliony znajdujące się w rękach prywatnych nie stworzą przemysłu, jeżeli rząd sam nie poświęci na ten cel swoich milionów. W Galicyi rząd nie tylko sam nic nie dał, ale jeszcze zabrał co było, aby jéj mieszkańcom odebrać ostatnią nadzieję. Nie koniec jednak na tém, Polacy, mimo braku gotówki, mimo trudności stawianych im na każdym kroku, pamiętając, że Czartoryscy, Tyzenhauzy, Jezierscy i inni poczytywali zakładanie fabryk nie tylko za rzecz korzystną, lecz także za czyn patryotyczny, postanowili bądź co bądź stworzyć przemysł w Galicyi. Zaraz zobaczymy, jak z tymi obszedł się rząd wiedeński.

Hr. Miączyński, w Załościcach pod Złoczowem, kupił w r. 1840 pozwolenie na założenie fabryki przednich sukien. Postawiwszy gmach i sprowadziwszy wszystko potrzebne, uwiadomił władzę, że fabrykę wkrótce otworzy. W odpowiedzi otrzymał rozkaz płacenia od fabryki rocznie 10.000 guldenów podatków. Gdy po sumiennném obliczeniu okazało się, że fabryka, przy najświetniejszém nawet powodzeniu, takiego zysku nie przyniesie, właściciel postanowił wcale jéj nie otwierać.

Jakiś Holender założył pod Tarnowem krochmalnię. Ledwie ją w ruch puścił, kazano mu płacić podatek od 25.000 guldenów dochodu. Przestraszony Holender sprzedał czem prędzéj zakład, który nigdy już potém nie prosperował i wyniósł się z Galicyi.

Niejaki Schoenfeld, założył w Nawsiu Kołaczyckiem fabrykę wyrobów bawełnianych, która puszczona w ruch wielkim kapitałem i przez człowieka znającego się na rzeczy, wybornie się udała. Jak długo fabrykował nic mu nie mówiono, lecz gdy zaczął towar sprzedawać zabroniono mu tego, rząd bowiem odwołał się do patentów z r. 1777. 1784 i 1789, które mówiły o stemplowaniu towarów tak krajowych, jak zagranicznych. W moc tych patentów, wszystkie wyroby jego fabryki kazano mu przed sprzedażą, posyłać do Wiednia dla stemplowania. Ponieważ koszt téj podwójnéj przesyłki, do Wiednia i z powrotem do kraju, w czasach, gdy nie było kolei żelaznéj, znacznie przewyższał wszelki zysk fabryczny, przeto właściciel wolał zamknąć swój zakład kosztowny, niż narażać się na stratę niechybną.

W r. 1851 miało powstać akcyjne towarzystwo dla przemysłu tkackiego, na którego czele stali ks. Sapieha i hr. Krasicki, ale upadło, dzięki rządowi.

W r. 1842, właściciel Koropca nad Dniestrem, chciał zaprowadzić żeglugę parową na Dniestrze, a w owych czasach droga do Odessy była znakomitą linią eksportową, spławiano nią bowiem rok rocznie po 100.000 czetwierti zboża. Pod przewodem p. Mysłowskiego, zawiązało się towarzystwo posiadaczy dóbr naddnietrzańskich, przystąpili spekulanci z Tryestu i zgłaszali się kupcy bremeńscy, zakupiono wyborny materyał budowlany i zaczęto statki budować, ale gubernator Galicyi odmówił pozwolenia na przedsiębiorstwo i trzeba było wszystko porzucić.

W tym samym czasie chciał hr. Mitrowski uregulować Wisłokę własnym kosztem, ale pod warunkiem żeby przez lat kilka z téj drogi wodnéj tylko sam mógł korzystać. Rząd nie dał mu pozwolenia...

W Galicyi było w pewnéj epoce kilkanaście cukrowni, ale ponieważ rządowi nie podobała się kultura buraków, gdyż bał się uszczerbku kultury tytoniu, którym handel zmonopolizował dla skarbu, i gdy z drugiéj strony nie chciał, by cukier galicyjski rugował z miejscowych targów cukier czeski i morawski, przeto systematycznemi sekaturami i stałem zwiększaniem podatków, do tego doprowadził, że dziś w Galicyi jest już tylko jedna cukrownia. Jedna z sekatur, któréj często używał, zasługuje na zanotowanie w tém miejscu. Gdy hr. Henryk Dzieduszycki zaczął w Tłumaczu budować wielką cukrownię, wtedy rząd postanowił mu najpierw za warunek, żeby wszystkie maszyny tylko z Wiednia sprowadzał, a następnie, żeby złożył kaucyą za wszystkie mosty między Wiedniem a Tłumaczem, gdyż bardzo być może że się z nich który zawali pod ciężkiemi maszynami. Hrabia złożył kaucyą, gdyż był magnatem, lecz czy byłby ją złożył człowiek uboższy?

W r. 1851, po kilkoletnich staraniach, krakowscy piekarze wyrobili sobie wolność wypieku, gdy poprzednio władza miejska nakładała ceny na białe pieczywo. Ogłoszona wolność przyniosla to, co w pierwszéj chwili musiało stać się z ludźmi do niéj nie przyzwyczajonymi: oto sprzedawano pieczywo małe, a po cenach wysokich. Widoczną było rzeczą, że piekarze, ufni w swoją wolność, jedynie przed konkurencyą ulegną. Aby stworzyć konkurencyą, trzeba było spółki. Tą myślą ożywieni, obywatele krakowscy postanowili utworzyć towarzystwo akcyjne, dla założenia wielkiéj piekarni, ale ponieważ rząd nie pozwolił zebrać się akcyonaryuszom i statut ułożyć, więc i towarzystwo nie przyszło do skutku.

Jednem z najzyskowniejszych źródeł bogactwa narodowego Galicyi, mogłaby być produkcya połączona z przędzeniem lnu i konopi. Już przed laty trzydziestu rodziło się u nas rocznie lnu ćwierć

miliona, a konopi pół miliona centnarów, z których na ręcznych warstatach chłopi wyrabiali do dwóch milionów sztuk płótna grubego. Przędzenie lnu i konopi wzdłuż podnóża Karpat, gdyby było ożywione maszynami i kapitałami, stałoby się najważniejszą gałęzią produkcyjną i położyłoby tamę ogromnemu przywozowi lnianego przędziwa angielskiego do monarchii austryackiéj. Towarzystwo rolnicze we Lwowie, zastanowiwszy się uważnie nad tym przedmiotem, ułożyło w r. 1847 z wielką dokładnością wywód, jak koniecznêm jest udoskonalenie uprawy i podniesienie industryi lnu i konopi. Rozprawa ta, umieszczona w II tomie Roczników Tow. rol. wykazała, że Galicya posiada wszelkie warunki do olbrzymiego wzrostu téj gałęzi przemysłu rolniczego, że materyał surowy znajduje się u nas w niezmiernéj ilości, że te same ręce, co dzisiaj ciężko a bezowocnie pracują, zyskałyby w dwójnasób plonu, gdyby umiejętniéj mogły pracować; słowem, że brak jedynie wykształcenia technicznego, aby nieobliczone dla kraju wyciągnąć korzyści. Wspomniana rozprawa nie mogła być ogłoszoną w czasie stosowniejszym, w owéj bowiem chwili wysyłał rząd własnym kosztem fabrykantów niemieckich i czeskich do Belgji, w celu dokładnego zbadania i wyuczenia się uprawy lnu i konopi. Towarzystwo rol. posyłając swój wywód rządowi, prosiło, aby do grona wspomnianego poselstwa *jeden* przynajmniéj uczeń z Galicyi był przyjęty, têm bardziéj, że produkcya lnu i konopi daleko wyższą jest u nas, niż w innych prowincyach monarchii austryackiéj. Rząd *przyjęcia jednego ucznia z Galicyi odmówił*, a Towarzystwu odpowiedział, że przemysł ten w Galicyi na niższym znajduje się stopniu, niżli w innych prowincyach, galic anie powinni się zatêm starać, aby wprzód to doścignąć, nim pomyślą o dalszêm wykształceniu. Nie wolno więc było uczyć się Galicyi metody belgijskiéj, gdyż mogło by się zdarzyć, że Galicya byłaby potêm współzawodniczyła z producentami niemieckimi. Dzięki téj metodzie, któréj rząd wiedeński trzyma się konsekwentnie, Galicya jeszcze ciągle sprowadza cienkie płótna z Czech, Morawy, Saksonii, Holandyi i Szwajcaryi.

Galicya, nie mając żadnéj instytucyi finansowéj, któraby rolnictwo wspierała, a wystawiona na wyzysk ze strony niemieckiéj, chciała koniecznie utworzyć u siebie Towarzystwo kredytowe. Otrzymała nareszcie koncesyą, lecz dopiero w r. 1841, *po dwunastoletnich* zabiegach.

Gdy rząd obejmował Galicyą, zastał w téj prowincyj 5.200 gorzelni gospodarczych, dzięki którym produkcya rolnicza stała na dość wysokim stopniu. Sławny fiskalizm austryacki doprowadził je-

dnak do tego, że dziś jest w Galicyi nie spełna 400 gorzelni a i z tych większa połowa chyli się do upadku.

Sądzę, że przykłady które przytoczyłem wystarczą, aby czytelnik mógł sobie utworzyć wierny obraz gospodarki austryackiéj, w téj części dawnéj Rzeczypospolitéj, która nazywa się teraz Galicyą. Faktów, jak powyższe, możnaby zebrać tysiące. Wszystkie zaś one udowadniają tę smutną prawdę, że ministrowie wiedeńscy, pragnąc wzbogacić prowincye niemieckie, *nie chcieli* w Galicyi przemysłu. Dla tego to nie tylko sami ze skarbu państwa nic nam nie dawali, ale na domiar złego stawiali najróżnorodniejsze przeszkody inicyatywie prywatnéj. Dzięki temu systemowi, w połowie bieżącego stulecia, Galicya była już zniszczona. Kiedy w ościenném Królestwie Polskiem dla wyrobów wełnianych było *wielkich zakładów 16*, *pomniejszych 1,181*; warstatów 5,405; przędzalni wełny 82, machin w tychże 1,175, i kiedy tam wyrabiano sukna 2,087,477 arszynów, to *równocześnie* w Galicyi nie było *ani jednéj fabryki lepszego sukna*, gdyż rząd ich nie tolerował, o czém przekonywa nas najlepiéj wspomniana wyżéj fabryka hr. Miączyńskiego. Kiedy w Królestwie Polskiem, do *wyrobów bawełnianych*, *było wielkich zakładów 52*, *a pomniejszych 2.240*, i gdy produkcya roczna wynosiła rocznie 16 miljonów arszynów, to równocześnie w Galicyi nie było *ani jednéj* fabryki bawełnianéj, jedyną bowiem w Nawsiu musiał właściciel zamknąć, wskutek niesumienności rządu. Kiedy w Królestwie Polskłem było *16 zakładów wyrobów jedwabnych*, które dostarczały 40,000 arszynów, to równocześnie w Galicyi *nie było ani jednego* podobnego zakładu. Kiedy w Królestwie Polskiem wyrabiano *płótna webowego* arszynów 18,376, cienkiego 995,612, grubego 1,074,041, innych tkanin 3,094,033, a prócz tego włościanie wyrabiali na własną potrzebę rocznie arszynów 9,412,519, to równocześnie w Galicyi, gdzie chłopi dostarczali rocznie około 2 miljonów sztuk płótna grubego, *nie było ani jednéj* porządnéj fabryki płótna. Kiedy w Królestwie Polskiem, miejscowe fabryki sukna i tkanin wełnianych, przerabiały rocznie 30,000 centnarów wełny na swoją potrzebę, którą w zupełności pokrywały, a oprócz tego do Rosyi, Prus i Austryi, chodowcy owiec wysyłali jeszcze wełny za 12 miljonów złotych polskich, to równocześnie Galicya, z prowincyj niemieckich była zmuszona sprowadzić sukna za 3½ miljona guldenów, a że wełny wywoziła tylko za 1½ miljona, więc na *tym jednym artykule traciła rocznie okrągłe 2 miljony guldenów*. Taki sam stosunek zachodził w innych gałęziach przemysłu (1).

---

(1) Cyfry czerpane z dzieła W. Kalinki. „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem". Paryż, 1855.

Daty powyżéj przytoczone, odnoszą się do r. 1850. Od tego czasu produkcya Królestwa pomnożyła się dziesięć krotnie, a galicyjska stoi na dawném miejscu. Zapytuję teraz, na kogo spada odpowiedzialność za te opłakane stosunki, na mieszkańców Galicyi, czy też na tych, którzy tak pięknie nią się opiekowali? Wszak jeżli prawdą jest, co dziś mówią śmiertelni nasi nieprzyjaciele, niemcy, że mieszkańcy Galicyi tylko dla tego nie umieją u siebie stworzyć przemysłu że są leniwi, lekkomyślni i nie wytrwali, to w takim razie byli by do nas przyszli ci sami niemcy, którzy aby swoję dawną gospodarkę uniewinnić, tak namiętnie rzucają się teraz na nas; prócz nich byliby się także pojawili Francuzi, Belgowie, Holendrzy, i ci zasiali by nasz kraj tysiącem fabryk. Wszak w Królestwie, na Podolu, Ukrainie, ludność nie jest inna niż w Galicyi, a mimo to tam przemysł kwitnie, a tu go nie ma. Przytoczę jeszcze jeden przykład. Hr. Alfred Potocki, należący do pierwszych w kraju magnatów ma cukrownie na Podolu rosyjskiem, które prosperują, a jedyną, którą miał w Łańcucie, w Galicyi, musiał zamknąć, bo ciągle na niéj tracił. Kto więc winien, on, czy stosunki, w jakich znajduje się nasza prowincya? Zarzut przeto, że jedynie lenistwo nasze jest przyczyną naszéj nędzy, nie wytrzymuje najlżejszéj krytyki, bo przecie nawet arcypracowity i zapobiegliwy Holender musiał uciekać ze swojéj krochmalni pod Tarnowem, a jak wyszła kompania niemiecka, która kupiła fabrykę cukru w Tłumaczu, to wkrótce zobaczymy.

Chociaż obraz, któryśmy dotąd roztoczyli przed wzrokiem czytelnika, bardzo jest ponury, nie był by on jednak zupełny, gdybyśmy pominęli jeden ważny szczegół. Wspomniałem wyżéj, że gdy Austrya Galicyą brała w posiadanie, w prowincyi naszéj kwitł przemysł domowy, który prawie całkiem zaspokajał potrzeby miejscowéj ludności wiejskiéj. W Gorlicach, Andrychowie, Przeworsku, Tarnowie i na całém podgórzu karpackiem wyrabiano płótna, drelichy, obrusy, kożuchy, obuwie, narzędzia gospodarskie, wózki, doskonałe garnki, koszyki, zamki, kłótki i tysiące innych przedmiotów. Ponieważ dopiero w ciągu bieżącego stulecia powstał na wielką skalę przemysł fabryczny, przeto rzecz jasna że mógł-by się on u nas ugruntować na przemyśle domowym, gdyby rząd był chciał popierać zakładanie fabryk. Tymczasem nie tylko to nie nastąpiło, ale na domiar złego, fabryczny przemysł niemiecki, zalewając Galicyą tandetnemi ale taniemi wyrobami, zabił prawie zupełnie nasz przemysł domowy, który z groźnym nieprzyjacielem nie mógł utrzymać współzawodnictwa. Dopiero wystawa lwowska z r. 1877 przekonała nas, że są okolice, w których biedny ten przemysł jeszcze trochę dysze. Zwrócono się więc ku niemu, rząd aby nam dać dowód dobrych swoich chęci za-

łożył w Kołomei szkołę garncarstwa, nawet miał gdzieś wysłać nauczyciela koszykarstwa, lecz że to nas nie zbawi, to chyba wszyscy wiemy. Takie środki mogły być dobre przed dwustu laty, lecz nie w wieku pary. Po domowym przemyśle, przyszła kolej na nasze rzemiosła. Niemieckie fabryki wyrabiają u siebie wszelkie żelastwo, broń, narzędzia rolnicze, suknie, obuwie, meble, nawet drzwi i okna do mieszkań. Wprawdzie wszystkie te artykuły są partackie, ale ponieważ fabryki oddają je taniéj niż takie rzemieślnik galicyjski, rozporządzający jedynie siłą swoich rąk a nie pary, może wyrobić, przeto każdy rzuca się na produkt niemieckiéj przemysłowości, a nasi zaś rzemieślnicy mrą z głodu. Jak zabójczo wpływa ta obca konkurencya na nasze gospodarstwo domowe, o tém można przekonać się najlepiéj na wsi. Do niedawna jeszcze chłopi w Galicyi wschodniéj nosili czapki baranie, kobiety zaś płócienne spódnice, zwane dymkami. Dziś, na głowach chłopów widać coraz więcéj lichych kapeluszów filcowych, kobiety zaś, prawie już powszechnie noszą spódnice bawełniane. Skóry baranie i nasze dobre płótno domowe, odchodzi więc za granice Galicyi, by potém w innéj formie i za drogie pieniądze, wrócić do kraju.

IV.

Gospodarka, którą inaczéj niż wilczą nie możemy nazwać, trwała w Galicyi aż do dnia ogłoszenia konstytucyi, do r. 1862. Od tego czasu taktyka rządu przynajmniéj o tyle na lepsze się zmieniła, że Wiedeń nie stawia nam więcéj przeszkód. Przeciwnie ogłosiwszy zasadę *laissez faire*, *laissez passer* pozwolił każdemu robić co zechce. Że jednak i ta zasada dla słabych okazała się zabójczą, to historya ostatniego dwudziestolecia aż nadto jasno wykazała. Dla Galicyi było już za późno dorównać w pochodzie przemysłowym innym prowincyom, które rząd przez cały wiek protegował, a zresztą zniechęcenie było tak wielkie, niewiara zaś tak powszechną, iż nie można się dziwić, że po dawniejszych doświadczeniach nikt nie chciał ryzykować swego majątku. Kapitałów w kraju nie było, obce bowiem fabryki zabrały wszelką gotówkę za swoje wyroby, ale choćby nawet znalazły się były pieniądze w jakiéj kieszeni prywatnéj, to czyż człowiek roztropny mógł je nieopatrznie wyrzucać? Jeżeli na założenie porządnéj jakiéj fabryki, i na pierwsze jéj wydatki potrzeba za granicą np. *pół miliona*, to nie przesadzę, gdy powiem że na taką samą fabrykę potrzeba by w Galicyi co najmniéj *milion*, jeżeli nie więcéj. Kalkulacya jest bardzo prosta, a nieomylna. Najpierw wszelkie opłaty rządowe, są u nas ciągle jeszcze 5 i 6 razy wyższe, niż gdzie indziéj, np. w Rosyi; następnie należałoby wyrabiać pracowników, lub téż sprowadzać ich z za granicy za drogie pieniądze; nakoniec, przez

lat kilka, a może nawet kilkanaście, trzeba by walczyć tak z publicznością, przyzwyczajoną do obcych wyrobów, jak z konkurencyą zagraniczną, co również pochłonęło by znaczną gotówkę. Żywe przykłady, które przytoczę poniżéj, jasno to udowodnią. Walka taka, to nie drobnostka. Ludność galicyjska, jak w ogóle każda ludność biedna, kupuje przedewszystkiém towary tanie, których Niemcy dostarczają. Nie pyta ona tyle o jakość co o cenę. Na lichym towarze niemieckim traci wprawdzie potrójnie, czasem jeszcze więcéj, lecz biedak temu nie winien, że nie rozporządzając znaczniejszą gotówką, musi to brać co taniéj kosztuje. Bierze więc bawełnę zamiast płótna lub wełny, włókna z pokrzywy zamiast jedwabiu itd. Żadna fabryka krajowa nie poszłaby w ślady przemysłu niemieckiego, partactwo bowiem nie leży w polskim charakterze. Że tak jest istotnie, przekonywują nas o tém fabryki w Królestwie Polskiém, wyrabiające towar doskonały jak francuski. Fabryka galicyjska musiałaby pójść tą samą drogą, a wtedy jéj wyroby musiały by być droższe niż niemieckie. Dużoby zatém wpierw wody upłynęło, nimby publiczność, poznawszy ich wartość, porzuciła tandetę niemiecką. Zastanowiwszy się nad tém wszystkiém, zapytuję, czy nie miałem racyi, gdym twierdził powyżéj, że fabryka, wystawiona za granicą za *pół miljona*, kosztowałaby w Galicyi najmniéj *milion*, jeżeli nie więcéj? Gdy z drugiéj strony, wśród stosunków normalnych, obie fabryki musiałyby mieć zysk mniéj więcéj równy, zresztą prędzéj u nas mniejszy niż gdzieindziéj, więc czy można wydawać na to milion, lub nawet dwa, co jest warte ledwie pół miliona? Wznoszenie więc fabryk w Galicyi nie byłoby zdrowym interesem, lecz chyba lekkomyślnością lub téż poświęceniem. Tak kalkulują dziś u nas nawet najbardziéj ryzykowni ludzie, tj. żydzi, i dla tego poczytują oni za nierównie lepszą hipotekę podpis czternastoletniego wyrostka, niż np. drugą fabrykę świec z wosku ziemnego w okolicy Borysławia. Jeżeli czytelnik, który nas słuchał do téj chwili, nie ma jeszcze dość jasnego obrazu naszych stosunków przemysłowych, to poprosimy go jeszcze o cierpliwość i przytoczymy kilka przykładów.

Hr. Henryk Dzieduszycki założył w Tłumaczu, nad Dniestrem, w okolicy bardzo urodzajnéj, olbrzymią cukrownię, największą w monarchji austrackiéj, która pochłonęła fortunę najpierw jego, potém żony, nareszcie jego brata. Gdy fabryka nie opłacała się, mówiono, że jéj założyciel wybrał dla niéj złe miejsce, ziemia bowiem w dobrach tłumackich miała być mokra, więc też nie mogła wydawać odpowiedniego plonu buraków co do ilości i wartości cukru. Prócz tego zarzucano także zarządowi, że nie prowadził przedsiębiorstwa dość umiejętnie i z należytém uwzględnieniem miejscowych

warunków. Gdy fabryka wraz z dobrami przeszła następnie na własność niemieckiego towarzystwa akcyjnego, które miało 4.200.000 kapitału, na jego czele stał sławny finansista Oppenheim z kolonji, wtedy ci, którzy wszystko złe w Galicyi jedynie polskiéj gospodarce przypisują, twierdzili jednomyślnie, że cukrownia tłumacka odegra w świecie przynależną jéj rolę i zamiast strat będzie zyski niosła. Wprawdzie ludzie, obznajomieni z ekonomiczną martyrologią Galicyi, innego byli zdania, lecz ci nie mieli wtedy głosu. Cóż się jednak okazało? Oto do kilku lat spółka Oppenheima straciła 2,407,016 guldenów, poczém przeprowadziła likwidacyą. W październiku r. 1882 tak fabryka, jak dobra tłumackie zostały sprzedane przez publiczną licytacyą. Nowy ich właściciel, p. Bredt, niemiec, zamknął fabrykę i ani myśli w ruch jéj puszczać. Słyszałem jak ludzie fachowi mówili, że gdyby w ziemię tłumacką włożył kto jeszcze kilkakroć, to niewątpliwie wydawałaby potém takie buraki, że fabryka musiałaby robić świetne interesa. Być może że tak jest istotnie, lecz czy to samo nie potwierdza w zupełności naszego założenia? Gdyby Galicya miała była ludzi jak Colbert, Turgot, Napoleon I, nareszcie choćby tylko takich jak Mostowski i Lubecki; gdyby w niéj były istniały instytucye, jak belgijska *Societé générale pour favoriser l'industrie nationale*, jak wirtembergska *Centralstelle für Gewerbe und Handel*, nakoniec jak Bank polski w Królestwie to wtedy fabryka tłumacka należałaby dziś niewątpliwie do pierwszych na świecie. Miliony, które pożarła, byłby stracił bądź rząd bądź wielkie instytucye finansowe, przez rząd zasilane, a dopiero resztę wzięliby ludzie prywatni na swoje barki. W Tłumaczu tego nie było, tu musiały jednostki wszystko same czynić, i dla tego przedsiębiorstwo runęło. Kto wie, ile jedna tylko fabryka żyrardowska w Królestwie polskiem pochłonęła pieniędzy tak rządowych jak bankowych, ten przyzna nam słuszność. A jednak ta fabryka dziś się opłaca i jest jedna z największych w Europie. Według sprawozdania wystawy moskiewskiéj z r. 1882, wyrabia ona rocznie towaru za 3½ miliony rubli.

Przejdzmy teraz do drugiéj cukrowni. Jest nią cukrownia w Sędziszowie, *jedyna* dziś w Galicyi. Powstała ona już w erze konstytucyjnéj, bo w r. 1869. Założyło ją kilku spólników, na których czele stał znany magnat hr. Adam Potocki z Krzeszowic. Zakładowy kapitał wynosił 500,000 guldenów, fabryka zaś sama miała wszystkie ulepszenia i mogła rocznie przerabiać 300,000 korcy buraków. Lecz cóż się okazało? Oto okoliczni właściciele, mając za sobą całowiekowe doświadczenie, nie wierzyli od samego początku w długowieczność cukrowni, i nie chcieli sadzić buraków. Gdy po kilku latach nabrali innego przekonania, spółka nie mogła się już utrzymać i musia-

ła likwidować, straciwszy ze swego kapitału 300.000 guldenów. Fabrykę nabył potém na własność sam hr. Potocki, lecz o ile się zdaje, nie opłaca się ona do dnia dzisiejszego, bo zrażeni sąsiedzi dotąd nie wierzą w jéj istnienie. Ilość przerabianych przez nią buraków nie dosiągnęła jeszcze 200.000 korcy. Być może, że magnat, jak Artur Potocki, potrafi ją utrzymać, ale to nie będzie jeszcze dowodem, że cukrownictwo ma dziś przyszłość w Galicyi. Gdzie rząd nie robi żadnych ułatwień i sam nie chce niczego zarezykować, tam każde hazardowne przedsiębiorstwo może być tylko fantazyą, wreszcie poświęceniem, nawet szaleństwem jednostek, nigdy zaś dobrym interesem.

Przejdźmy teraz do dwóch innych gałęzi przemysłu, mianowicie do tartaków parowych i do wyrobów oczkowych.

Hr. Kinsky, jeden z najbogatszych panów czeskich, fortunę bowiem jego obliczają na 40 milionów guldenów, posiada w naszych Karpatach, w dawnym obwodzie stryjskim, dobra Skole. Same lasy w tym majątku, jeszcze do niedawna siekierą nietknięte, obejmują przestrzeń 35.000 morgów. Drzewo w nich jest doskonałe, jak zresztą w całéj Galicyi. Ponieważ hrabia z dóbr skolskich nie otrzymywał długo prawie żadnego dochodu, przeto usłuchawszy rady swoich inżynierów, postanowił w mieście Stryju, leżącém nad rzeką tego samego nazwiska, założyć wielki tartak. Przed dwoma laty, fabryka, która wraz z kanałami, kosztowała przeszło milion guldenów, przyszła nareszcie do skutku. Zaledwie jednak zaczęto w niéj trzeć drzewo, nawiedziła Galicyą powódź, a że dzięki naszéj administracyi państwowéj, rzeki galicyjskie są dotąd nieregulowane, więc woda, w ciągu kilku godzin, przyprawiła hr. Kińskyego o stratę 100.000 guldenów. Wprawdzie magnat, jak on, rozporządzający milionami, mógł sobie poradzić, i wkrótce tartak na nowo w ruch puścił, lecz czy takiéj sztuki byłby dokazał inny przemysłowiec? O ile wiem, tartak hr. Kińskyego dotąd się nie opłaca. A dla czego? Bo taryfy na galicyjskich kolejach są tak wysokie, że towar nasz musi być z tego powodu bardzo drogi, ci zaś, w czyich rękach losy kraju spoczywają, nie uznali dotąd za stosowne wywrzéć nacisk na koleje, by te wygórowanemi opłatami nie zabijały przemysłu krajowego.

Lat temu ośm, p. Heidenreich kongresowiak, mieszkający we Lwowie, postanowił założyć w tém mieście pierwszą fabrykę wyrobów oczkowych. Ponieważ słyszał, że każdy zakład przemysłowy w Galicyi na wielką skalę od samego początku puszczony, musi przez dłuższy czas straty ponosić, przeto powiedział sobie, że zacznie od minimum, aby dopiero kiedyś dojść do maximum. Ciekawą

jest historya téj fabryki. W pierwszych trzech latach, p. H. pracował tylko na 10 ręcznych maszynach. W tym czasie wyrobił sobie także dość znaczną klientelę. Ujrzawszy na wystawie paryskiéj z r. 1878 nowe zupełnie maszyny do tego rodzaju wyrobów, zakupił takowe i do Lwowa sprowadził. Należało jednak wytworzyć jeszcze robotnika, co niezmiernie dużo czasu i pieniędzy kosztowało. W ostatnim kwartale r. 1881, cała produkcya téj fabryki wynosila ledwie 7½ tuzinów na miesiąc. Mimo to właściciel nie ustawał, lecz szedł daléj. W r. 1882 podniosła się produkcya do 27 tuzinów, w r. 1883 do 63 tuzinów, a w r. 1884 fabryka wyrabiała już 130 tuzinów miesięcznie. Heidenreich był pewien, że w roku 1885 doprowadzi do 250 tuzinów miesięcznéj produkcyi. Nim zacząłem pisać niniejszy artykuł, zgłosiłem się wpierw do rzeczonéj fabryki, aby się dowiedziéć, jak się jéj teraz powodzi. Ku największemu mojemu zadziwieniu usłyszałem, że produkcyą, która na schyłku r. 1884 wynosiła już 180 tuzinów miesięcznie, właściciel musiał w tym roku zredukować na 100 tuzinów, a to z powodów następujących: 1) Każde przedsiębiorstwo, na większą skalę prowadzone, potrzebuje znacznego kapitału obrotowego, a tego w Galicyi nie sposób znaleść, gdyż nikt tu niewierzy, by jakakolwiek fabryka mogła się utrzymać. 2) Wszyscy kupcy są dotąd związani z fabrykami niemieckiemi, te bowiem od lat stu dostarczają Galicyi swoich wyrobów. Otrzymując od nich wyższy procent i dłuższy kredyt, wolą sprzedawać ich produkt, niż krajowy, który drożéj kosztuje. 3) Panie nasze mają dziwne zamiłowanie do bazarów wiedeńskich, które sprzedają towar tani, lecz lichy. Tak więc fabryka p. Heidenreicha nie może rozwijać się prawidłowo, gdyż znaczniejszéj ilości wyrobów nie ma gdzie pomieścić. W tém miejscu godzi się zanotować, że Galicya sprowadza rocznie z Niemiec za *półtrzecia miliona guldenów* wyrobów oczkowych. Sam Lwów potrzebuje ich za 500.000 guld. Gdyby fabryka Heidenreicha mogła dojść do rozwinięcia swéj normalnéj produkcyi, mianowicie do 350 tuzinów miesięcznie, to pokrywała-by dopiero $^1/_{85}$ część ogólnego popytu, zatém, dla pokrycia wszystkich potrzeb, należało-by mieć 85 takich fabryk, których kapitał obrotowy wyrażał-by się cyfrą 4.400.000 guldenów, czysty zaś zysk, po umieszczeniu całéj produkcyi, wynosił-by rocznie 600.000 guldenów. Robotników byłoby zajętych stale najmniéj 1.500. Mężczyźni zarabiali rocznie od 600 do 700, robotnice od 200 do 300 guldenów. Jeżeli-by fabryka mogła produkować dziennie 150 tuzinów, czyli około 45.000 rocznie, co stanowiło-by mniéj niż $^1/_7$ część potrzeb Galicyi, to wtedy opłaciło by się założenie w kraju naszym przędzalni, bielarni. farbiarni i apreterni.

P. Heidenreich, na zapytanie moje, czego jego fabryka jeszcze potrzebuje, a co już dotąd własną pracą osiągnął, tak mi odpowiedział:

„Dotąd pokonałem następujące trudności: 1) Wyroby moje są nietylko stosunkowo tańsze od wiedeńskich, czeskich i saskich, ale nawet pod względem jakości znacznie tamte przewyższają. Już bardzo dużo moich klientów, tak we Lwowie, jak na prowincyi, zaopatruje się stale w moje wyroby, i od nich tylko same podziękowania odbieram. 2) Stworzyłem personal robotników, bardzo wprawny, mogący produkować miesięcznie do 250 tuzinów.—Trudności, któreby należało usunąć, są następujące: 1) Zaprowadzić motor parowy, ułatwiający powiększenie produkcyi o 10%. 2) Postawić budynek, zastosowany do wyrobów oczkowych, przyczém produkcya powiększyła by się o drugie 10%. 3) Zaprowadzić maszyny do wyrobu cholewek pończochowych i skarpetkowych i ułatwiających powiększenie produkcyi o trzecie 10%. 4) Założenie kosztem fabryki, przynajmniéj dwóch magazynów, jednego we Lwowie, drugiego w Krakowie, dla ułatwienia sprzedaży towaru i zdobycia dla niego praw obywatelstwa. Dopiero wówczas, choć i to powoli, sklepy nasze musiały-by wejść w stosunek z fabryką. 5) Na pokrycie tych wszystkich wydatków potrzeba-by najmniéj 100.000 guldenów. Fabryka tak rozszerzona, pokrywała-by przynajmniéj $^{1}/_{15}$ część potrzeb Lwowa i Krakowa. Usunięcie tych trudności nie leży jednak w mojéj mocy, w kraju bowiem taka panuje *niewiara* w możebność rozwinięcia przemysłu, że każde przedsiębiorstwo musi tu upaść w samym początku“.

Teraz ośmielę się zapytać, kto temu winien, że dziś w Galicyi wszyscy wiarę stracili, i z rezygnacyą, jak grecki helota, ręce opuszczają?

V.

Powiedziałem na początku poprzedniego rozdziału, że Wiedeń, odkąd w Austryi konstytucyą ogłoszono, nie stawia więcéj przeszkód naszéj pracy. Nie znaczy to jednak, że ją wspiera. Bynajmniéj! W gruncie rzeczy polityka nie została zmieniona, a tylko forma, w jakiéj się w obec nas objawia, jest trochę łagodniejsza. Zresztą chcemy wierzyć, że rząd byłby nawet bardzo zadowolony, gdyby dziś jakimś cudem w Galicyi przez jedną noc przemysł zakwitnął, ponieważ skarb państwa znalazł-by w nim zaraz obfite źródło dochodu, ale ze swojéj strony niczém on się do tego nie przyczynia. Przeciwnie Galicya jak była tak i została targowiskiem dla przemysłu niemieckiego.

Ulg podatkowych na rzecz przemysłowców nie ma żadnych. O tém, żeby rząd, jak w innych państwach, oddawał bezpłatnie grunta pod nowopowstające fabryki, lub żeby chociaż drzewo taniéj im sprzedawał, ani mowy nie ma. Kredytu na wytworzenie przemysłu w Galicyi państwo nie wytworzyło dotąd, i prawdopodobnie nigdy nie wytworzy. O środki nasze komunikacyjne nie wiele się stara. Czechy, mimo iż są o 500 mil kwadratowych mniejsze niż Galicya, mają 22 tysiące kilometrów dróg, gdy tymczasem Galicya ma ich ledwie 12 tysięcy. Gościńców bitych, tak zwanych „cesarskich“ jest w Czechach 4.291 kilom. w Galicyi zaś tylko 2.888 kilom. Dziś jeszcze rząd wydaje na drogi, licząc na kilometr kraju, w Austryi niższéj, na Szląsku i w Czechach po 20 guldenów, a w Galicyi połowę tego, 10 guldenów. Galicya mając 900 kilometrów rzek spławnych, nie ma dotąd *ani jednego metra* tak uregulowanego jak Elba, Mołdawa lub Odra. Ponieważ rzeki nasze są dotąd dzikie, więc też nie można ich użyć jako siły przemysłowéj. Dla szkolnictwa przemysłowego, państwo w Galicyi prawie nic nie robi. W r. 1881 było w Austryi 317 szkół przemysłowych, a z tych w Galicyi tylko 11, i to dzięki nie władzy centralnéj, lecz krajowi i naszemu własnemu Towarzystwu Pedagogicznemu. Chociaż górnictwo naftowe zaczyna w Galicyi rozwijać się coraz pomyślniéj, i chociaż w r. 1884 rząd *wziął samego podatku od naszéj nafty* 1.200.000 guldenów, mimo to kraj nie może od niego otrzymać szkoły górniczéj. Cała produkcya tytoniu w Cislitawii (bez Węgier) wynosi 32.590 centnarów metrycznych, z tego Galicya sama produkuje 23.580 cent. metr. Mimo to prowincya nasza ma tylko 5 fabryk tytoniu, a 21 znajduje się w prowincyach niemieckich. Dzięki temu zarządzeniu, w Galicyi żyje z fabrykacyi cygar i tytoniu tylko 3.184 robotników, a w Austryi Dolnéj, w Czechach i na Morawie 13.145 robotników. Jeszcze do roku ubiegłego, powroźnicy krajowi dostarczali miejscowym fabrykom tytoniu sznurków, za co rząd płacił im rocznie do 16.000 guldenów. Przed sześciu miesiącami polecono fabrykom galicyjskim, by sznurki z Wiednia sprowadzały. Druk ludowych książek szkolnych, tak polskich jak ruskich, uskuteczniał się ciągle w Wiedniu, i dopiero przed siedmiu laty minister Ziemiałkowski do tego doprowadził, że rzecz tę powierzono Zakładowi imienia Ossolińskich we Lwowie. Ale za to poczty galicyjskie swoje druki ciągle jeszcze z Wiednia otrzymują. Gdybyśmy wszystko chcieli wyliczyć, nie skończylibyśmy ani na dwóch stronicach. Niech wystarczy, jeżli dodam, że począwszy od umundurowania armii, a skończywszy na szkiełkach telegraficznych, rząd każe sporządzać wszystko w swoich niemieckich prowincyach, a Galicyi nie daje literalnie nic zarabiać.

O jakiémkolwiek więc wspieraniu z jego strony naszego przemysłu, nawet mowy być nie może.

Ekonomiści udowodnili oddawna, że gdzie gospodarstwo rolne nie jest w sposób prawidłowy popierane przez przemysł rolniczy, tam ono musi upadać. Chociaż przed stu laty Galicyą jeszcze w jednéj trzeciéj części pokrywały lasy dziewicze, mimo to dzięki gorzelniom, których wtedy było 5.200, produkowała ona zboża stosunkowo więcéj niż za dni naszych. Jeżeli weźmiemy na uwagę postęp, jaki w ciągu bieżącego wieku dokonał się we wszystkich gałęziach pracy ludzkiéj, tudzież okoliczność, że jedna czwarta część lasów galicyjskich została w tym czasie wycięta, a ziemia z pod nich na rolę zamieniona, to zjawisko powyższe będzie bardzo smutne, nawet zastraszające. Na jakiém właściwie stopniu znajduje się nasza produkcya rolnicza, a jaki wpływ na nią wywiera gdzie indziéj przemysł rolniczy, to najlepiéj okaże się z następującego zestawienia.

Czechy są krajem o 500 mil kwadratowych mniejszym niż Galicya, i mają ornéj ziemi tylko 2.484.410 hektarów, podczas gdy w Galicyi jest jéj 3.646.497 hekt., a mimo to wartość produkcyi rolnéj w Czechach, według źródeł urzędowych, wynosi w przecięciu 185.780.168 guld., w Galicyi zaś tylko 158.322.450 guld. Jeżeli-by Galicya miała przemysł rolniczy tak samo jak Czechy, to dochód z jéj ziemi wzrósł-by rocznie o 270 milionów, i dopiero wtedy dorównałby czeskiemu. Wszystkich gatunków zboża, mianowicie pszenicy, żyta. jęczmienia i owsa, produkują Czechy znacznie więcéj niż Galicya. Czesi obsiewają pszenicą 245.000 hektarów i z nich zbierają 3.907.378 hektolitrów, czyli 15,6 hekt. z hektara. W Galicyi jest pod pszenicą 310.922 hektarów, a zbiera się z nich tylko 3.791.591 hektolitrów, tj. 12 hektl. z hektara. To samo dzieje się z żytem. Czesi produkują go za 14 milionów więcéj niż Galicya. Co do buraków cukrowych, to o tych nie ma nawet co mówić. W Czechach jednoroczny zbiór buraków reprezentuje kwotę 23.198.640 guldenów, a w Galicyi ledwie 534.990 guld. Rzecz naturalna, że im mniejszą jest siła produkcyjna, tém niższa musi być także kwota podatkowa. To też wcale się nie dziwimy, że Czesi płacą od samego piwa 8.741.000 guldenów, a my tylko 953.000 guld. podatku. Znaczna ilość piwa obcego przychodzi do Galicyi, ponieważ browary nasze dla przyczyn, którém już wyłuszczył, nie mogą skutecznie współzawodniczyć z zagranicznemi. Jeszcze jeden szczegół wielce charakterystyczny. W r. 1837 było w Galicyi owiec 1.241.667, a dziś jest ich tylko 609.253, zatém mniéj niż połowa. Gdzie szukać przyczyny złego? W braku fabryk przerabiających wełnę, wywóz zaś

surowego materyału zagranicę nie musi się opłacać, skoro kraj coraz mniéj go produkuje.

Jakie są następstwa téj polityki? Ogólne zubożenie, niezmierne długi i ciągłe przechodzenie ziemi w obce ręce. Znakomity nasz historyk, Walery Kalinka, w dziele „*Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiém*“, wydaném w Paryżu przed laty 30-tu, tak mówi: „Handel z Austryą jest nieustannéin, peryodycznéin przelewaniem się ziemi galicyjskiéj do kas bankierów wiedeńskich. Rząd austryacki przywiódł nas do tego, iż staliśmy się jako owi piastowscy książęta, którzy w wieku XIII część monarchii Brandeburgskiéj, a w następnych aż do XVII wieku ziemie szląskie Niemcom sprzedawali. Każdy obrót handlowy jest dla nas nowym ziemi uszczerbkiem, a Galicya, aby opatrzéć swoje potrzeby, co rok musi część ziemi polskiéj Niemcom (żydom) sprzedawać“. Słowa te są, niestety do dziś smutną prawdą, ponieważ Galicya sprowadza rocznie obcych towarów za 87 milionów guldenów, a prócz tego uiszcza na rzecz państwa, w podatkach i innych należytościach 43 miliony. Nie dziw więc, że w r. 1868 długi tabularne wynosiły 92 miliony guld., a już w r. 1879 dosiągnęły cyfry 142 milionów. Odtąd stosunki wcale nie były lepsze, przeciwnie jeszcze się pogorszyły. Gdyby nie to, że w ostatniém trzydziestoleciu Galicya zjadła 75 milionów, które dostała jako indeminizacyę za pańszczyznę, i że w tym przeciągu czasu otrzymała także kilkaset milionów za swoje lasy, z których jeszcze żyje, to nikt nie jest w stanie pojąć, jakim cudem byłaby przetrwała do dnia dzisiejszego. Zaiste, gdyby nie te zasiłki nadzwyczajne, cała większa posiadłość była-by już w rękach żydowskich. Tym zasiłkom szlachta galicyjska przynajmniéj tyle zawdzięcza, że na 2.350 właścicieli tabularnuch jest dotąd żydów tylko 412! Choćby ten stosunek wydawał się każdemu innemu strasznym, my jednak musimy go uważać za bardzo jeszcze pomyślny.

Wszystko cośmy dotąd napisali, jest oparte na niezbitych faktach i cyfrach urzędowych. Jeżli by zaś kto przypuszczał, że może li dla tego przemysł u nas się nie dźwiga, iż nie mamy co przerabiać, to odpowiemy następującemi dowodami:

Soli produkujemy 41 procent produkcyi całéj Austryi. Państwo zmonopolizowawszy ją dla siebie, otrzymuje za nią czystego dochodu rocznie do 7 milionów guldenów. Sama sól jest więc źródłem dla olbrzymiego przemysłu chemicznego. Na 104.000 centnary siarki austryackiéj, wydobywamy 41.000 cent., lecz zamiast ją u siebie przetwarzać, wysyłamy ją na Szląsk i do Morawy. Cynku mamy rocznie 112.729 centn., cała zaś Austrya produkuje go tylko 215.639 centn. Co zaś najważniejsze, to produkcya nafty i wosku ziemnego.

Dawniéj czerpano naftę głównie w Borysławiu; teraz pojawiły się źródła w ziemi Sanockiéj, koło Ustrzyk i Liska, a jeszcze obfitsze pokłady znajdują się na Pokuciu, niedaleko miasta Kołomyi, w Słobodzie Rungurskiéj. Produkcya zeszłoroczna wynosiła w Galicyi 530.000 centnarów metrycznych. W roku bieżącym będzie znacznie większa, a o ile wzmoże się za lat kilka, tego nie można dziś nawet przewidzieć. Geologowie są zdania, że na całym pasie podgórskim znajduje się u nas nafta, a że co do jakości jest ona lepsza od kaukazkiéj, a nawet amerykańskiéj, więc jéj przyszłość zdaje się być zapewniona. Rząd jednak nie uczynił dotąd dla niéj zgoła nic, i tylko o to się postarał, że prócz dwóch podatków: dochodowego i zarobkowego, które każdy przedsiębiorca musi u nas płacić, parlament uchwalił dla nafty jeszcze podatek trzeci, konsumcyjny. Dzięki tym zarządzeniom nafta jest dziś u nas droższa niż w Rosyi, ale mimo to wielki ten przemysł nie zginie, bogactwo bowiem naftowe jest olbrzymie, jeżli tylko rząd choć cokolwiek zechce dla niego uczynić. Przed kilku dniami, więc dopiero w połowie marca r. 1885, minister handlu w Organie centralnym dla spraw kolejowych, ogłosił reskrypt do kolei Północnéj (Ferdynanda), Karola Ludwika i innych galicyjskich, tudzież do kolei państwowych węgierskich i Południowéj, w którym wzywa pomienione koleje, by dla nafty galicyjskiéj unormowały swoje taryfy i *nie wymagały przynajmniéj od niéj wyższéj opłaty niż przy produkcie zagranicznym*. Powyższy reskrypt ministeryalny sam potwierdza słuszność zażaleń naszych producentów, którzy skarżą się już od dłuższego czasu, że koleje robią wszelkie ułatwienia nafcie kaukazkiéj, co zabójczo wpływa na naftę galicyjską. Minister chce więc teraz to złe usunąć. Lecz czy to dosyć? Czy nie powinien on raczéj dołożyć starań, by nafcie kaukazkiéj transport ile możności utrudniano, a galicyjskiéj żeby ułatwiano? Czyż tego nie wymaga zdrowa polityka ekonomiczna?

Prócz skarbów górniczych, Galicya posiada także wielkie bogactwo w materyach rolniczych i bydlęcych. Skór wychodzi od nas większa połowa za granicę, ponieważ w kraju nie mamy ani jednéj porządnéj garbarni. Konopie uprawiamy na przestrzeni 31.790 hektarów, lnu zbieramy rocznie 136.000 centnarów metrycznych, a wełny 15.170 centnarów metr. Rzecz naturalna, że gdyby był na miejscu przemysł rolniczy, produkcya wszystkich tych artykułów znacznie by się powiększyła. Jeżli dodam, że mamy odpowiednią ilość węgla kamiennego i brunatnego, to chyba każdy musi mi przyznać, że Galicya ma wszelkie potemu warunki, żeby przemysł w niéj zakwitł, a jeżeli to dotąd nie nastąpiło, zaiste, nikt z nas temu nie winien, tylko nieszczęsne stosunki..

VI.

Przez długie lata Galicya wcale sobie z tego sprawy nie zdawała co się z nią dzieje. Myślala nawet, że jako kraj rolniczy, nie potrzebuje myśléć o niczém innénı tylko o roli, i że to jéj wystarczy. Trzeba dopiero było przesilenia finansowego w r. 1873, olbrzymich długów i groźnéj konkurencyi amerykańskiéj, żeby ją z letargu ocucić. Wszelako niech nikt nie sądzi, że u nas wszyscy już przejrzeli. Bynajmniéj! Większość właścicieli ziemskich dotąd nie rozumie położenia. Im jeszcze zdaje się, że rola bez przemysłu może się obejść. Na szczęście jednak ci, którzy dziś stoją na czele władz autonomicznych kraju, innego są zdania, i dla tego to w ostatnich latach zaczęło się przynajmniéj coś robić.

Na mocy konstytucyi mamy samorząd; wolno nam zatém opiekować się szkołami elementarnemi, drogami, szpitalami, gospodarstwem gmin i miasteczek, nakoniec przemysłem, tak domowym jak fabrycznym. Na to wszystko trzeba jednak pieniędzy. Głównym majątkiem Galicyi, jako kraju, były dawne królewszczyzny, tudzież sól wydobywana z Wieliczki i z różnych warzelni. Dochód z królewszczyzn, nazywanych dziś dobrami kameralnemi, mimo drogiéj administracyi państwowéj, wynosi minimalnie rocznie 276.720 guldenów, za sól zaś wpływa do kas rządowych czysty zysk w kwocie 6.751.546. Oba te źródła bogactwa krajowego dają więc rocznie przeszło 7.000.000 guldenów. Gdyby sejm nasz, a względnie z jego łona wybierany wydział krajowy, otrzymał był po ogłoszeniu konstytucyi tak sól jak dobra skarbowe na wyłączną własność, to wtedy mając rocznie 7 milionów gotówki, mógłby już dawniéj pomyśléć o stworzeniu przemysłu w Galicyi. Rząd jednak nie oddał mu tych skarbów i tylko pozwolił mu pokrywać każdoroczne wydatki na szkoły, drogi, szpitale, itp. *dodatkami do podatków*. Gdy jednak w kraju biednym jak Galicya podatków nie można podwyższać w nieskończoność, więc rzecz naturalna, że Wydział krajowy musi myśléć najpierw o tém, bez czego się żadną miarą nie możemy obejść, dopiero gdy pokryje wydatki na szkoły, drogi i szpitale, przeznacza coś na przemysł. Jeżeli to „coś“ jest stosunkowo niewielkim zasiłkiem, kraj temu niewinien, gdyż z próżnego trudno nalać.

Odkąd dr. Mikołaj Zyblikiewicz stanął na czele autonomicznych rządów w Galicyi, wydział krajowy bez porównania gorliwiéj niż dawniéj zajmuje się sprawą przemysłu krajowego, i mimo naszego ubóstwa, sejm rok rocznie przeznacza coraz znaczniejszą kwotę na cele produkcyjne. Kiedy przed trzema laty, kraj przemysłowi

dał tylko 45.700 guldenów, to w roku ubiegłym, 1884, mimo gwałtownéj opozycyi kilku zacofanych szlachciców, przeznaczył już na ten sam cel 80.000 guldenów. Wydatek ten ma wzrastać aż do 100.000 stałéj rocznéj subwencyi. Lubo kwota powyższa jest jeszcze bardzo mała, zwłaszcza jeżeli się zważy, co kraj musi uczynić nim choć w dziesiątéj części na polu przemysłu sprosta ościennym prowincyom, to jednak należy ją uważać za zwrot nader pomyślny w naszych zapatrywaniach na potrzeby kraju. Skoro raz reprezentanci Galicyi zrozumieli, że bez przemysłu nie będziemy mieli dobrobytu, ani oświaty, ani cywilizacyi, więc chciejmy wierzyć, że teraz coraz gorliwiéj będą się zajmowali tą ważną gałęzią pracy ludzkiéj. Sejm zeszłoroczny, idąc za wskazówkami urzędnika wydziału krajowego dra Tadeusza Rutowskiego, o którego cenném dziele we właściwém miejscu wspomniałem, ogłosił uchwałę, uwalniającą na lat 10 najrozmaitsze przedsiębiorstwa od opłat na cele krajowe, tj. od dodatków do podatków. Chociaż te opłaty wynoszą u nas prawie tyle co same podatki, bo 83%, mimo to wątpliwą jest rzeczą, aby ta jedna ulga wprowadziła do kraju obcych przemysłowców. Długiego jeszcze trzeba czasu i pracy bardzo mozolnéj a wytrwałéj, nim zachwiane zaufanie ugruntuje się w masach. Dopóki zaś zaufania nie będzie, dopóty nie można liczyć na gorliwe popieranie krajowych fabryk przez ogół mieszkańców, skutkiem czego każde przedsiębiorstwo będzie w początkach bardzo ryzykowne.

Dzięki inicyatywie marszałka powstał w ostatnich czasach Bank krajowy, który także, o ile zresztą na to jego siły starczą, będzie popierał przemysł krajowy. Marszałek sam zwiedza rozmaite okolice kraju i szczególnie w opiekę wziął przemysł domowy, zwłaszcza tkactwo, które, o ile się zdaje, jest na lepszéj drodze. Jakie już dziś są rezultaty téj pracy kilkoletniéj, trudno jeszcze dokładnie określić. Przekonamy się o tém dopiero za dalszych lat kilka. Dziś wolno nam tylko stwierdzić, że Galicya, mimo iż rząd niegdyś szkodził jéj rozmyślnie, a teraz swéj pomocy całkiem jéj nie użycza; mimo że jest biedną i ma dużo ludności żydowskiéj, często nieprzyjaznej rozwojowi, słowem, mimo iż pod wielu względami jéj położenie jest równie rozpaczliwe jak Irlandyi, jednakowoż przejrzawszy w ostatnim lat dziesiątku, zaczęła myśléć o sobie i z najwyższym wysiłkiem stara się dźwignąć materyalnie.

Czy cel osiągnie?

Wierząc w żywotność narodu, nie wątpię o jego przyszłości, ale ponieważ wiara sama nie wystarcza, zwłaszcza tam, gdzie idzie o pieniądze, o miliony, przeto ośmielę się dać moim ziomkom w tém miejscu nader ważną radę. Cel ochronnych od strony Niemiec, któ-

re w ciągu lat kilku stworzyły-by u nas przemysł, Galicya nigdy nie otrzyma. Nim-by coś podobnego nastąpiło, musiał-by wpierw stosunek pojedyńczych prowincyj do monarchii austryackiéj uledz zupełnemu przeistoczeniu, a na to dotąd się nie zanosi; tego więc nie należy nawet brać w rachubę. Czego jednak możemy śmiało żądać od Wiednia, to zwrotu naszych skarbów narodowych, naszéj soli i królewszczyzn. Myśl ta nie jest zresztą całkiem nowa, Sejm galicyjski na posiedzeniu z d. 24 września 1868 r. uchwalił rezolucyą, która domagała się zwrotu tych dwóch rzeczy. Chociaż rezolucya, dla wielu zbyt radykalnych żądań, musiała być w Wiedniu pogrzebioną, mimo to z faktu tego jeszcze nie wypływa konieczność przemilczania zawsze sprawy, która jest natury czysto ekonomicznéj i z polityką nie ma nic wspólnego. Zresztą rząd nie stracił-by nawet nic materyalnie, dochód bowiem siedmiu milionów, którego by się na jakiś czas wyrzekł, wrócił-by mu się z lichwą, acz w formie zmienionéj, jako podatek od wyrobów przemysłowych. Widzieliśmy, że Czesi od piwa płacą przeszło 8 milionów. Czyż takiéj saméj produkcyi nie może mieć Galicya, zwłaszcza gdy u niéj rodzi się doskonały chmiel i wyborny jęczmień browarny? Piwo zaś ma wielką przyszłość, i już wkrótce pójdzie nawet na czarny kontynent, bo winnice zjada filoksera. W ciągu roku bieżącego, w całéj monarchii austryackiéj odbywać się będą wybory do rady państwa, Galicya zatém wyśle do niéj nowych delegatów. Ponieważ ubiegłą sześcioletnią kampanją straciliśmy bezpowrotnie, więc aby złe naprawić, powinniśmy teraz w zwartym szeregu żądać rzeczy, która bądź-co-bądź może materyalnie kraj nasz odrodzić. A miejmy także i to na uwadze, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Austrya pójdzie daléj na Wschód i kto wié, czy nie dotrze aż do Syryi. Jeżeli to nastąpi, to dla produkcyi austryackiéj otworzą się nowe rynki zbytu, a wtedy my, jako pod względem geograficznym lepiéj od Niemców położeni, będziemy mogli także zarabiać. Lecz żeby było co sprzedawać, trzeba wpierw tyle produkować, by wystarczyło nietylko dla siebie, lecz i zostało jeszcze dla drugich, to zaś nie da się osiągnąć bez wielkich wkładów. Jeżeli delegaci galicyjscy zamiast myśléć o wielkiéj polityce, zajmą się raczéj tylko sprawami ekonomicznemi swego kraju i jeżeli, jak tego słusznie możemy od nich żądać, potrafią zręcznie korzystać ze stosunków i walki stronnictw, to w ciągu nowéj kampanii parlamentarnéj nie jednokrotnie zajdą takie okoliczności, iż to co dziś niejednemu wyda się prawdopodobnie mrzonką, za lat kilka może być faktem spełnionym, lub przynajmniéj bliskim urzeczywistnienia.

Józef Rogosz.

O WOJACH I RYCERZACH POLSKICH.

STUDYUM STAROŻYTNICZE.

Możnaby to nazwać osobliwszém zjawiskiem, że język polski nie posiada a przynajmniéj dziś już nieposiada utartego, powszechnie przyjętego a pierwotnego wyrazu swojskiego, na oznaczenie męża, zajmującego się rzemiosłem wojenném, służbą wojskową. Stan ślachecki, którego monopolem była służba wojenna, zwał się z upodobaniem stanem *rycerskim*, jednostki tegoż stanu zwały się *rycerzami*, po czesku *rytiř*, całość stanu tego *rycerstwem*. Znacznie późniéj upowszechnił się gminny bardziéj i demokratyczny wyraz *żołnierz*, a jak wiadomo, tak rycerz jak żołnierz są pochodzenia obcego i jeden wywodzi się od niemieckiego *ryttera*, drugi od *soeldnera*.

Zatém naród tak rycerski, tak wojenny w dobrém znaczeniu wyrazu, albo nie posiadał albo zagubił pierwotne miano, określające pojęcie rycerza i żołnierza. Wyrazy bowiem takie jak wojak, wojownik, są późniejsze, pochodnego tworu, ani upowszechnione przez wszystkie warstwy narodowego języka, ani téż nie oznaczają pierwotnego, prostego pojęcia męża z oszczepem, łukiem czy siekierą kamienną. Są to wyrazy kunsztem mowy dopiero wytworzone, poetyczne a nie odnoszące się do pojęć pierwotnéj językowéj prostoty i jeszcze prostszéj rzeczywistości.

Miałożby więc może wojenne rzemiosło w pierwotnéj Polsce, w lechickiéj Słowiańszczyznie być nieznane, zaniedbane, miałyżby pojęcia wojenne z téj przyczyny językowi naszemu być obce? Miałżeby objaw ten potwierdzać może prastare orzeczenie Jordanesa, który mieszkających na Powiślu Wenetów, nazywa *armis disperiti*?

Albo też może potwierdza on opowieść Theofilakta, który utrzymywał, że Słowianie zgoła nie znają broni, nie znają żelaza: która to okoliczność dozwala im żyć w spokoju i zgodzie. A może wreszcie tłómaczy się tém twierdzenie Porfirogenety o Chrobatach, że nigdy orężnie do obcego kraju nie idą, ani wojny nie wszczynają! Wprawdzie tenżesam autor, ledwo co opisawszy niewojownicze zalety Chrobatów, wylicza, że kraj ich daje 60.000 jazdy a 100.000 piechoty! Ha! może to tylko liche pospolite ruszenie na obronę kraju na odpór najazdu, może zresztą tak się oblicza rekrut pobrany przez zaborczego najezdnika, który z gołębi słowiańskich wykształcał krwiożercze sępy, wojownicze hufce.

Najpewniéj jednak rozumiéć należy owo: *armis disperiti* tak, że ono oznacza tylko ludzi, nie mających rzeczywistéj *broni cywilizowanéj*, broni, która w oczach rzymskiego obywatela mogła jedynie uchodzić za broń jako taką, gdy tymczasem przybory i narzędzia wojenne Słowian uważać on mógł tylko jako sprzęty domowe, gospodarcze, łowieckie, podróżne. Owych u Theofilakta opisanych posłów słowiańskich, występujących z gęślą w ręku, zamiast z bronią u boku, uważać wypadnie po prostu za *świątników słowiańskich*, którzy z całą sumiennością o sobie powiedziéć mogli, że żelaza ani broni nie znają, bo dla ich zawodu wojenne żelazo było obcém. Zaś ostatecznie, zamiłowanie Chrobatów do pokoju tłómaczy się ową niezawodną i powszechną cnotą słowiańską, polegającą na wstręcie do zaborów i krzywd wojennych.

Niepodobna jednakże przypuszczać, iżby Słowianie dla tego, że nie byli narodem zaborczym, nie znali zupełnie oręża, nie umieli bić się lub bronić. Może się najczęściéj źle bronili, ale obrona bywała wszędzie nie tylko wojenna, ale i zacięta, a mianowicie též na naszym północnym zachodzie lechickiéj Słowiańszczyzny.

Zatém i pojęcie ludzi wojennych, służby wojennéj, musiało mieć odpowiednie wyrazy w słowiańskiéj, lechickiéj, polskiéj mowie.

W starosłowiańskim języku wyraz ten istnieje. Istniał on także w polskim, a jeśli z biegiem okoliczności, z biegiem prądów cywilizacyjnych przytarł się lub zaginął, jeśli w zgubie téj odźwierciedlają się różne historyczne zajścia i prądy polityczno-społeczne, to wynika ztąd nowy dowód na pewnik dzisiejszéj metody historycznéj, że tam, gdzie wszystkie inne źródła dziejowe zawodzą, albo gdzie ich brak zupełnie, język bądź dodatnio bądź ujemnie daje nam jeszcze niejedną wskazówkę dla objaśnienia niezrozumiałych, zamierzchłych stosunków najdawniejszéj historyi.

Wstrzemięźliwym wprawdzie i ostrożnym być trzeba w owém wyczytywaniu dziejów z języka i wczytywaniu onych w języko-

znawstwo, ale pogardzać tym materyałem nie godzi się, zwłaszcza gdzie tenże tak niedwuznacznie do nas przemawia, jak w tym oto przypadku.

Jeśli istniał i przekazał nam się wyraz *wojewoda*, wyraz oznaczający męża *wodzącego woje*, toć musieli istniéć z rzeczy i nazwy kiedyś owi *woje*, których on wodził. Tém więcéj, że wyraz ten znachodzi się tysiąckrotnie w starosłowiańskim języku Nestora, a ztamtąd jako *woin* przeszedł do rosyjskiego, jako rodzime miano sołdata.

W polskiém wyraz pierwotny przepadł; spotykamy tylko jego szczątki w wyrazach pochodnych i złożonych, w rzeczownikach, słowach, imionach własnych ludzi i miejscowości.

Tak więc rzeczowniki: wojsko, wojak, wojownik, wojna, wojski, wojewoda; słowa: wojować, wojewodzić, wszystko to są wyrazy pochodzące od owego, źródłosłowu, który sam dla siebie tworzył wyraz, określający pewne pojęcie konkretne. Tak samo złożone imiona własne: Wojtech, Wojsław, Wojmir; raz nawet spotykany (Kod. kat. św. Wacł. I. p. 101) *miles Woen* nomine, co zupełnie odpowiada starosłowiańskim i rosyjskim *woinom* i poświadczonemu przez Lindego *„wojeń“*, w znaczeniu żołnierza. U Czechów *Vogin* jest prawnuk Przemyśla (Kosmas, 22). Mają i oni imiona Wojno, Bojek (Reg. Boh. 236, 249). U nas są setki takich imion własnych, jak Władywoj, Budziwoj, Nawoj itd. a jako imię własne znajdujemy także u Długosza (Lib. Ben. II, p. 253) znanego nam już *Wojaka*. Nie mniéj liczne są imiona własne miejscowości, poświadczające istnienie owego źródłowego wyrazu, a więc owe Wojnowa, Wojnicze, Wojborze, Wojnieścia, Wojcze, Wojakowy, Wojwanowice, Wojsady; u Czechów Woicuriae [? Waioariae] (Erb. Reg. 21), Boykowice i Woykowice, Wojata (Erb. p. 77, 78).

Z tego wszystkiego wynika, że wyraz *woj* oznaczać musiał wojennego człowieka. Najstarsze źródła historyczne nasze są łacińskie, a te nie znają *wojów*, lecz *milites*, który to wyraz porówno oznaczać musi staropolskich wojów i zagnieżdzonych obcego autoramentu rytterów, *rycerzy*.

O pierwotném językowém znaczeniu wyraz *woj*, nie wiele więcéj można i potrzeba nam powiedziéć, daleko więcéj natomiast ciekawości wzbudza pytanie: jakie ci wojowie zajmować mogli stanowisko w organizacyi społecznéj powstającego lub co tylko skonsolidowanego państwa polskiego.

Tu nam przedewszystkiém powiedziéć wypadnie słów kilka o saméjże organizacyi tegoż państwa.

W czasie, w którym Polska wchodzi na historyczną widownię świata, znajdujemy w niéj bezsprzecznie organizacyą i system rządo-

wy monarchiczny. Monarchia ta jest niewątpliwie patryarchalno-despotyczną, nawet srogą, jak wszędzie owego czasu. Dosyć przeczytać, co w téj mierze o Chrobrym pisze Gallus, lub co u Kosmasa zawiera rzekoma mowa Liubusy o władzy książęcéj. Monarchia ta i władza nie jest może wierną kopią średniowieczno-zachodniéj, ale to przyzna zapewne każdy, w pomnikach owych epok oczytany, że ona, pod wpływem posuwającego się od zachodu chrześcijaństwa, zewnętrznie i powierzchownie, kształtuje się wedle wzorów téj właśnie zachodniéj monarchii Karola Wielkiego. Ztamtąd przejęła owe instytucye duków, palatynatu, komesów, kastellów, owe liczne dworskie i obozowe urzędy, które po części przypięły się do istniejących, rodzimych urządzeń, po części dopiero odpowiednie formy wyrobiły, jak prawie wszystkie urzędy dworskie.

Obce formy i pojęcia te bowiem nie koniecznie się zgadzają z domowemi i domorosłemi stosunkami. To też one walczą i wypierają się nawzajem: tak palatyn z wojewodą, kasztelanie z opolem, osiek i gród z kastellem czyli pierwotnie kościołem, wspaniali dworscy urzędnicy z prastarymi włodarzami i starostami. Jak w rzeczywistości, tak i w zwierciedle języka walka ta się objawia, bo łacińskie źródła średniowieczne, jakby w poczuciu niezgodności pojęć, raz swoich, to znów swojskich używają wyrazów.

Monarchia polska kształtuje się tedy wedle dwóch przeważnych pojęć zachodniego porządku społecznego: z jednéj strony *dominium*, państwa, a z drugiéj *servicium*, służby, między które się wciska trzecie kształtujące pojęcie *przywileju*, *beneficium*.

Dominus, pan, jest *dominus terrae*, pan ziemi, on co „sicut terre dominus ense prelato cum tympanis ingreditur“ (M. P. III. 473) Służba, *servicium*, co innego jak *servitus*, jemu należna od wszystkich w równéj mierze, choć różnorako, w odmiennéj formie. Nawet przecież św. Wojciech, jako „magister scolarum imperatoris *servicio ascriptus* accessit ad regiam curtem“, powiada Passio sti Adalberti (M. P. I. 165). Tak samo ten co *wojnę służy*, jak ten co swego władcy orze łany, rataj, chowa jego stada, kobylnik, łowi jego zwierzynę, np. bobrownik, piecze chleb dla jego zastępów i dworu, robi szczyty dla wojska, wozy itd., wszyscy są równi *servientes*, z określoném *servicium*, służbą, po za którą są swobodni, bo służba różni się tém właśnie od niewoli nieokreślonéj, *servitus perpetua*, któréj podpadają niewolnicy, jeńcy wojenni lub za winę komuś przysądzeni.

Wszelka służba dla Pana wynagradza się: „propter officium debetur beneficium“, a wynagradza się im naturą, ziemią, nawet dzie-

dziczną, póki wola pańska po temu, oraz płodami téj ziemi, udziałem w zbiorze, zdobyczy łowieckiéj, wojennéj.

Między tymi *servientes domino terrae* są także niewątpliwie *milites*, osadzeni porówno jak inne kategorye służebników na ziemi pańskiéj gromadnie, a powoływani do służby kolejno i w potrzebie. Milicya ta, to są starożytni woje, mieszkający prawdopodobnie w licznych Wojnowach, Wojnieściach, Wojmirach itp. miejscowościach, nazwanych od servicium swych mieszkańców, podobnie jak Bobrowniki, Woźniki, Szczytniki itd.

Wyraziwszy twierdzenie, trzeba nam szukać dowodów:

1) że woje byli tak samo klasą służebną, jak służebni innego zawodu; 2) że mieszkali pierwotnie, jak tamci, gromadnie, jak się zdaje nad głównemi granicami, ścianami (zaścianki) i traktami wojennemi, zkąd na każde „zawołanie“ (proclamacio) musieli być gotowi, skoro Pan Ziemi uważał za stosowne *convocare exercitum suum*, wojsko swe, rozsiadłe po kraju.

Co do *służebnictwa* milesów, już Gall się o nich wyraża, jako o służebnikach, kiedy powiada: miles domino semper et in omnibus obediret, albo daléj jeszcze wyraźniéj: non ut domini sed ut *milites* vel *servi* suum obsequium pronis mentibus et cervicibus obtulerunt. Ważniejsza wszelako, że w przywileju Inocentego II z r. 1136, a więc kiedy już rycerstwo musiało być w pełnym rozkwicie, napisano w spisie posiadłości kościoła gnieźnieńskiego: że nemini fas sit ecclesiam b. Adalberti super possessione *rusticorum* infestare, a wyliczając tychże rusticorum *nomina et officia*, w końcu podaje dokument tenże kilku *milites*, Zoba, Stojniewa, Mentę. Ci milites nie mogą być „rycerze“, bo owszem są wyliczeni między *rustici*, pomiędzy kmieciami, że jako służebni przeszli z woli księcia na *własność* bogatego i potężnego kościoła gnieźnieńskiego. Odtąd byli oni *milites ecclesiae*. Kościół bowiem w pierwotnych czasach nie był wobec posług dla księcia tak wolnym jak następnie a mianowicie od czasu Bolesława Wstydliwego. Potrzebował on milites, wojów, kmiecych wojowników, służbistych a powolnych, nie zaś hardych i szumnych rycerzy, nie tylko dla obrony swych włości ale i na wojnę dla księcia, na służbę wojenną, ktora jako servicium na jego dobrach ciążyła.

Przypuszczenie powyższe o *kmiecym* stanie wojów, wynikające dość jasno z wyrażenia: *rusticorum*, w powyżéj wzmiankowanym dokumencie, stwierdza się dziwném napozór i nie zawsze racyonalnie tłomaczoném zjawiskiem, że nawet w 12, 13 i 14 wieku, kiedy stosunki społeczne w Polsce bardzo się zmieniły, ale zawsze trwały jeszcze dawne tradycye, książę bez ogródki najwspanialszego rycerza zwał swoim *kmieciem*. W obec niego bowiem, w obec jego wła-

dzy, tradycyjnéj już tylko a mniéj rzeczywistéj, pomimo dostatków i wpływów a z pominięciem nadań i uzyskanych przywilejów, nawet rycerz był zawsze tylko *służebnym kmieciem*. Ztąd to w r. 1284 „comes Berwoldus venator Kalisiensis,“ nazwany jest: „*honorabilis kmeto* noster et miles strenuus“; tak samo r. 1295 na Mazowszu „comes Laurencius, castellanus de Bala“ otrzymuje od księcia nadania ze względu na grata et fidelia servicia *cmethonis nostri comitis Laurencii*. Co więcéj, jeszcze r. 1315 Krystyn wojewoda nazwany jest noster fidelis *cmetho palatinus* a dostaje nie tylko dobra, ale w nich pełne dominium i pełną jurisdykcyą. Podobnież opat tyniecki różnych obywateli miasta Krakowa nazywa *cmethones nostri* ze względu na to, że z jego nadania, jak tamci z książęcego, dzierżyli posiadłości na Prądniku, byli jego służebnymi, kmieciami.

Tak samo tedy pewno i ów Adam, *boży kmieć*, chociaż siedział u Boga w wiecu, nie był jego równym za-panie-brat, jego wysokim radcą i dostojnikiem, ale raczéj jego służebnym.

W analogii do owego *cmetho noster* albo *homo noster*, pojawiające się wyrażenie: *miles servus*, *servitor* albo *miles noster*, *suus*, stwierdzają tak samo nie tylko służebnictwo *milesów-wojów* ale poniekąd i tradycyjnie rozumiane służebnictwo *milesów-rycerzy*, choćby nawet pasowanych lub wieńczonych koroną. Henryk IV, wkraczając do Polski, doniósł Bolesławowi Krzywoustemu, którego uważał za *swego* służebnika, „se fines *militis sui* intrare.“ Gall opowiada, że pokonany dux Pomeranorum temuż Bolesławowi se *servicio* et *milicie* deputavit. Kronika Książąt Polskich (M. P. III. 462) wyraża się, że Bolesław Krzywousty, tanquam *militi* sibi subjecto non ut *domino*, Sbigneo Mazoviam dereliquit. Tu występuje tradycyjne pojęcie milesa, będącego służebnym w przeciwieństwo do *milesa* mającego już *dominium*. U Czechów spotykamy milites *servientes* możnym panom, nie tylko księciu (Kosm. 299).

Nie mniéj i szczególnie téż z opisu dworu Mieszka u Ibrahima, wynika, że rycerstwo tego księcia jest jeszcze w stosunku zupełnie kmiecéj służebności, bo książę rozporządza jego rodzinami podobnie jak rodzinami innych służebnych, którzy-to z jego rąk przechodzą w ręce kościoła *cum cognacione*, *cum filiis*. Populacya stanowiła wtedy główne bogactwo władzy, więc téż jest przedniém staraniem księcia, kierować rodzinami tak innych służebników jak *wojów*, żeby przez wzrost téjże populacyi wzrastała jego potęga. Przy stwierdzoném prawie wielożeństwie (Mieszko miał 7 żon), nie była to rzecz trudna a nadzwyczaj zaludnione *gromadném osiedleniem* oazy wśród puszcz niezmierzonych, mogły na niejednego cudzoziemca robić wrażenie dziwnie obfitego zaludnienia kraju.

Wskazówek na *gromadne osiedlanie wojów*, pomijając analogią innych służebnictw i wzmiankę odnośną u Ibrahima, szukać też głównie należy w opisie siły zbrojnéj Bolesława Chrobrego u Galla. Niepodobna przypuszczać, żeby przy ówczesnych środkach komunikacyjnych, naturze kraju i patryarchalnéj biedzie mieszkańców, pańskie wojsko mogło było być zwoływane na czas, gdyby wojowie, jak późniejsi na krocie liczeni rycerze, na setki mil się rozpościerali po kraju. Przeciwnie, siły zbrojne siedzieć musiały jakoby pod ręką, a tu siedziały na trakcie wojennym, który się ciągnął od Poznania przez Gdecz, Gniezno, Kruszwicę ku Włocławkowi. Kruszwicę wymienia „Kronika Książąt Polskich“ (M. P. h. III. p. 454), jako „castrum militibus opulentum“. Owo rozproszenie dominialnego rycerstwa i późniéj jeszcze wielce utrudniało każdą większą akcyą wojenną, tak że powszechnie pospolite ruszenia kończyły się zawsze na gromadniejszém skupieniu rycerstwa bliższego wojennéj ścianie, a dalsze województwa zwykle za późno przybywały.

Za owych zaś mieszkowych i przedmieszkowych czasów, wynika to już samo przez się z natury kraju, że w ogóle zaludniane być mogły tylko niektóre dostępniejsze pasy kraju, ściany i trakty wojenne, a reszta była puszczą, którą cywilizacya dopiero *de cruda radice* zdobyć musiała.

Charakterystyczną analogią dla sposobu osiedlania wojsk i trzymania ich jakoby na ziemskim urlopie, znajdujemy w czeskiéj historyi u Kosmasa z XI wieku. Stosunki cywilizacyjne i cywilizatorskie w owych wiekach tak były podobne na całym obszarze zachodniéj Słowiańszczyzny, że śmiało nie potrzeba nam się, zwłaszcza ze względu na pobratymczość Czechów, wyrzekać ich zastosowania. Otóż Kosmas powiada, że książe Brzetysław, porozumiawszy się z ojcem i wziąwszy *plus quam duo milia militum*, wynosi się z nimi na Węgry, gdzie go król Władysław, jako krewnego przyjmuje—*et concessit militibus ejus inhabitare locum* (—pamiętajmy że ich było 2.000—), qui dicitur Banow, który wśród lasów i gór był „nimium aptus atque opimus venacionibus. Victualia autem (sepy, narzaz, krowa, itd.) et cetera nature adminicula per preceptum regis *ab adjacentibus* (od innych służebnych) subministrabantur eis regionibus“.

Czyż opis ten nie przedstawia nam może najstarszéj, bo niby gminoruchowéj formy osiedlania i rozsiedlania się wojowników, którzy następnie sami przeszli do uprawy roli i własności dziedzicznéj. Pierwotnie zaś dostarczać im muszą chleba sami służebni, a oni trudnią się tylko łowiectwem i—wojną.

Prawdopodobnie i u nas działo się podobnie lub tak samo. Wszak Mieszek dostarcza wojom swoim wszystkiego na zaspokoje-

nie potrzeb życia, a oni zamieszkiwali niezawodnie w swoich Wojnowach itp. osadach wojennych, które następnie ze zmianą militaryzmu polskiego, zwolna się wypleniły, poprzezywały, kiedy na gruzach bezwzględnego servicium wojennego, powstawały i rozpowszechniały się uprzywilejowane dominia, mające obok tradycyjnie przechowanéj i szanowanéj zależności, pewne opisane i w nowy obyczaj zamienione *jus militale*.

Osady te wojenne wypleniły się téż i wygasły, głównie w tych stronach Rzeczypospolitéj, które od czasów Łokietka względnie prawie nieprzerwanego na kilka wieków używały pokoju, a utrzymały się za to pod niespokojniejszą krzyżacką, litewską ścianą na Mazowszu, poźniéj na Litwie saméj, na Podolu i Ukrainie i het za porohami Dnipru, gdzie szczęk oręża nie ustawał.

Przełom staropolskiego militaryzmu i systemu osad wojowych, zaczyna się już dokonywać na samym progu historycznych dziejów Polski. Już za Mieszka I rozpoczęła się zmiana, wróżąca zgubę staropolskim wojom, a kładąca podwaliny bytu i rozwoju późniejszego rycerstwa polskiego.

Wojsko Mieszka, jak je nam Ibrahim opisuje, nie jest już prostą kupą domorosłych wojów, zbrojnych co najwyżéj w łuki (*villa sagittariorum* jeszcze r. 1136 się znachodzi. Kod. Wpl.), kusze i młoty kamienne, w oszczepy wypróbowane na niedźwiedziach i odyńcach, ale już zaczyna przybierać kształty zewnętrzne ówczesnéj cywilizowanéj siły zbrojnéj, bo książe sam sprawia im odpowiednie czasowi uzbrojenie.

Geniusz Mieszka starłszy się z światoborczą potęgą Niemców, dostrzegł, że jeśli się z młodem państwem swém chce ostać przed nawałą cywilizacyi, pracą z zachodu, to pod każdym względem sam dla siebie i kraju swego starać się musi wszelkiemi sposobami o jéj przyswojenie. Dla tego nietylko po *krzyż*, ale i po *miecz* chrześciaństwa sięgnął Mieszko oburącz, a oboje wziął nie zkądinąd, jeno z pobratymczych *Czech*.

Niechaj mi tu wolno będzie zrobić małe zboczenie, celem potrącenia o tę hipotezę najazdu, który niby miał dać pohop do zorganizowania państwa polskiego przez wojennych przybyszów z nad ujść Łaby. Wyobraźmy więc sobie coś nakształt brzetysławowéj wyprawy na Węgry. Tylko że na Węgrach już powiewał sztandar *pana ziemi*, więc się Brzetysław zadowolnić musiał gościnném przyjęciem, ale czemuż-by kiedyś nie była miała zawitać i nad Wartą podobna drużyna wojowników, przynosząc w porządku obozowym zarodki organizacyi państwowéj.

A jednak teorya ta, o ile tyczy przybyszów z nad ujść Łaby, jak już inni wykazali, nie ma wyraźnéj podstawy faktycznéj. Niema też wskazówek, żeby w kierunku, przez teoryą tę wskazanym, w ogóle kiedyśkolwiek szedł jakiś prąd historyczno-cywilizacyjny do Polski. A jak wiadomo teorya idzie i postępuje przez wieki temi samemi bitemi szlakami, a rzadko po ścieżynach tajemnéj kontrabandy. Powołać się można na szlaki Fenicyan, a potém Greków, Rzymian, którym wszystkim bliżéj było od Pontu i przez Bałkany lub helweckie i tyrolskie Alpy przeć się na północ i wschód, a jednak poszli wszyscy utartym fenickim szlakiem, wielkiém półkolem po falach morza śródziemnego i przez Gallią, zanim się zwrócili na wschód i północ.

Tak i do nas nie tamtędy przyszła cywilizacya, kędy do niéj szlaki znaczy taż teorya najazdów, bo téj cywilizacyi u ujść Łaby nie było, a tamte dzierżawy oddzielone były zresztą od nas nieprzeprawnemi rzekami, puszczami i bagnami nieprzebytemi. Szukałyż takiéj drogi choćby awanturnicze wyprawy wojenne Brzetysława itp.?

Przeciwnie przedstawia się krajobraz od strony Czech. Tam ani bagna ani puszcze nie bronią przystępu, trakty tam odwiecznie utorowane, wiodą wprost na żyzny Szląsk, który w staroczeskich źródłach nosi zawsze miano Polski.

Z tych to Czech przyszła do Polski wiara chrześciańska i organizacya cywilizowanego militaryzmu, a z faktów tych niezaprzeczonych, z daleko większém prawdopodobieństwem wnosić można, że już poprzednio tą samą drogą szły do téjże Polski pierwotne prądy cywilizacyjne, nowożytne pojęcia, które ukształtowały pierwsze twory państwowe, bądź na Szląsku, bądź w Chrobacyi, a następnie i w Wielkopolsce, o czém zresztą świadczą niejako przeróżne analogie w podaniach o Piastach i Przemysłowicach.

Z natury rzeczy wynika, że Czechy, o kilka set lat starsze w historyi i cywilizacyi od Polski, bo bliższe świata cywilizowanego i jego centrum, co same ztamtąd przejęły, to daléj podawały sąsiadom i pobratymcom północnym, od których ich wtedy ledwo jakiekolwiek odróżniały językowe i obyczajowe różnice. Czytając dziś dyplomataryusze czeskie z VI i następnych wieków, zdaje się jakoby się czytało polskie z XII wieku; tak podobne spotyka się tam stosunki i urządzenia.

Wracając do naszéj kwestyi specyalnéj, stwierdzić musimy, że z tych to więc Czech przyszła do Polski, zaraz za światłem chrześciaństwa, *reforma siły zbrojnéj*.

Mieszek, wojujący z Wichmanem i jego żelazném rycerstwem, przekonał się, że nielicznym zastępom najezdnika nie podoła kupa-

mi swoich lekkobronnych wojów, przeważnie pieszych — pedites barbarorum — dla tego: „misit ad Bolizlavum, regem Boemiorum, gener enim ipsius erat, accepitque ab eo *equitum duas acies*". Snać taka była o tém tradycya (Widukind, M. P. I. p. 141).

Musiał tedy już Bolesław czeski mieć wojsko zorganizowane na sposób zachodni, ciężką jazdę, okutą w żelazo, ferratas acies, które mogły stawić czoło chorągwiom rycerzy niemieckich. Z tych użyczył „duas acies" Mieszkowi, a gdy w nowéj walce piechota Mieszkowa pierzchnęła, niespodziewane natarcie niespodziewanéj jazdy rozstrzygło o losie Wichmana.

Mieszek widząc taką korzyść z nielicznéj, ale ciężkiéj jazdy, niepodobna przypuszczać, aby nie miał był starać się o zorganizowanie liczniejszéj drużyny w żelazo kutéj. Opowieść Ibrahima zdaje się stwierdzać pomyślny rezultat tych starań, bo od niego właśnie dowiadujemy się, że Mieszko już miał 3.000 takiego rycerstwa, a dawał mu odzież, konie, oręż i wszystko czego potrzeba. Nawet, obyczajem polskim, dziećmi ich rozporządzał, jakby własnością swą.

Z téj to właśnie okoliczności, wnosić należy, że zastęp ten rekrutować się musiał na razie z wybrańców wojowéj rzeszy i zachował jeszcze z początku dawną organizacyą. A Thietmar powiada o wojsku tém, że jest to „exercitus quantitate parvus, qualitate sua optimus et *omnis est ferreus*". (M. Pol. I. p. 255).

Nie podobna prawie przypuszczać, żeby wojsko to polskie, pierwsze wojsko historyczne, składało się już wtedy z owych osiadłych po wsiach dziedzicznych, uprzywilejowanych rycerzy, którzy z przejęciem obowiązku stawania na rozkazy księcia z pocztem ludzi, brali zarazem mniéj lub więcéj obszerne dominium nad wsią lub dobrami nadanemi. Kiedy się ten stosunek zamienił trudno oznaczyć. Zapewne zmieniał się zwolna. Śladu postępów zmiany dokumentami stwierdzić nie możemy, bo dokumentów z czasów Mieszka i Chrobrego niema. Ale wniosek wsteczny ze stosunków późniejszych, porównany z wzmiankami Galla, uprawnia nas do twierdzenia, że stosunek ten nowy wyrobił się, skoro znaczna liczba rycerstwa obcego do kraju naszego napływać zaczęła, szukając służby i hojności u książąt polskich.

Ci oczywiście przybywali z *bronią* i *zbroją*, tak kosztownym na owe czasy przyborem wojennym i byli dla tego pożądanymi „gośćmi". Ciężar zbrojenia *wojów* kosztem książęcym, ustawał w obec *rycerzy*. Jak późniéj zawsze w Polsce przedkonstytucyjnéj, tak pewno i od początku przyjmowano ich na obyczaju i prawie obcem i osadzano w kraju nie jako *wojów*, żyjących w gromadnéj

wspólności *wsi polskiéj*, lecz w oddzielnych *dworach*, jako mniéj lub więcéj udzielnych panów.

Obyczaj ten, zdaje się, już za Bolesława Chrobrego się zagęścił. On to na liczne wyprawy swoje nietylko organizował gęste zastępy wedle ziem i powiatów umundurowanych (diversitate indumentorum) wojów, ale téż przedewszystkiém owe *ferratas acies*, które wtedy tak samo rozstrzygały bitwy, jak dziś iglicówki lub odtylcowe armaty gwintowane.

Rycerstwo obcego autoramentu zaćmiewa już za Chrobrego domorosłych wojów. Wprowadza się téż obyczaj pasowania rycerstwa. Sam Bolesław r. 1013 *miles efficitur*, a pasując innych, wyróżnia ich złotemi łańcuchami in *signum miliciae*. Tych zaś nigdy mu nie było podostatkiem, skarżył się zawsze, „quod solis militibus indigeret“, a rekrutował ich najchętniéj z cudzoziemców, bo jak się Gall wyraża: „et quicumque *probus hospes* apud eum in milicia probabatur, non *miles* ille sed *regis filius* vocabatur et si quamdoque eorum aliquem infelicem in equis vel aliis audiebat, infinita dando“, wynagradzał, co zresztą wynikało także z dawnych obyczajów krajowych, bo wszakże Mieszko, wedle Ibrahima, dawał swoim wojom cały rynsztunek i konie.

W takiém położeniu rzeczy, o ile nowe rycerstwo zyskiwało na powadze i znaczeniu, na dostatkach, o tyle starodawni woje, których zawsze jeszcze jest liczba znaczna (r. 1015, Bolesław, wedle Thietmara, ma „magnam peditum magnitudinem“), w obec nowych milites, rycerzy, spada do rzędu „milites gregarii, caligati“, chodaczkowéj czerni.

Mniejsza użyteczność domorosłéj milicyi, w obec nowego autoramentu rycerskiego, już i w tém się okazuje, że Chrobry zniósł podobno starożytną *strożę*, pełnioną in natura przez osobistą służbę wojów opolnych, a zamienił ją na podatek „de *aratro* sive *unce*“, po mierze żyta i owsa, oddawanych do gumien królewskich, od któréj to dani wolni byli tylko sami rycerze, „pro republica militantibus exceptis“ (M. P. II. p. 483).

Jak straszną zaś była przewaga żelaznych zastępów, widać nie tylko z wojennych dzieł Chrobrego, ale i późniéj z pogromu Mazowszan przez Kazimierza, który pobił im 30 pułków, chociaż sam tylko miał 3,—bo już wtedy „Polonia pene deserta jacebat“.

Organizacyą Chrobrego i jego militaryzmu rozwijał daléj Bolesław Śmiały. Nietylko że on sam był „miles strenuus“, ale i „*hospitum* susceptor benignus, datorque largorum largissimus“. To też jeśli dokumenta odpowiednie są prawdziwe, za jego czasów rycerstwo przednie jest już tak bogate, że nadaje kościołom (p. dok. mogilni-

cki, Kd. Wpl.) obszerne dobra i włości, nad któremi dzierżyło już książęce dominium.

Z tego, co powyżéj powiedzieliśmy, nie wynika zgoła, żeby *rycerstwo polskie* w przeciwstawieniu do wojów, ginących i zwolna spadających coraz bardziéj w chłopy, miało być ryczałtem pochodzenia cudzoziemskiego, albo zgoła niemieckiego (1). Wszak już zaznaczyliśmy, że Mieszek pierwsze zastępy swoje żelazne rekrutować mógł jedynie ze swojskich wojów. Ci, lub ich potomkowie, zapewne zarówno z cudzoziemcami rozsiedlali się po dominiach rycerskich. Nie mniéj i dworzanie królewscy, urzędnicy, kwapili się korzystać z przywilejów i nadań monarszych, fundując rody i dziedzictwa rycerskie. Ale i to wrażenie odnosi się z czytania kronik najdawniejszych, że masa żywiołów krajowych, spadająca coraz bardziéj, a raczéj nie wynosząca się nad poziom chodaczkowéj linii, nie koniecznie życzliwém okiem patrzała na przywileje i korzyści żelaznéj gwardyi, która brała na własność dostojeństwa i wielkie dobra, kiedy tymczasem czerń wojowa wiodła duszny żywot w biedzie, na małych źrebiach, a może nawet tylko w używalności wspólnéj własności (2),—aż i jéj w czasie trudnym do oznaczenia za przykładem rycerstwa, *włostność*, czyli własność osobistą, wydzielono i nadano. Nie było to jednak zrównaniem, bo kiedy rycerze wyrastali na coraz większych i udzielniejszych panów, ci jako *non habentes cmethones*, pozostają do niepoznania podobni do *rustici*, do kmieci. Tak w księgach sądowych krakowskich u Helcla (II. nr. 4041) jest pod r. 1394 proces, w którym sędzia zwie Macieja „rusticus“, a ten dowodzi mu, że jest „miles“. Z uposażenia byli to kmiecie, a jakie było ich uposażenie, poznajemy z przykładu, jaki nam przedstawia ów typowy miles *Woen*, którego sobie kanonik płocki Filip (r. 1273) trzymał dla pełnienia służby księciu powinnéj i który „ex paterna *successione* aream et quosdam agros forte ad

---

(1) Na Szląsku, zwłaszcza „post paganos“, niestety rycerstwo się niemczyło i Niemcy otrzymali przewagę. W r. 1309 germanizacya już tak postąpiła, że Theutonici, mający w swych ręku ks. Henryka, po jego śmierci tak dalece owładnęli jego synami, że ci „nihil aliud poterant facere, nisi quod placeret Theutonicis et multas ab eis terras et civitates receperunt pro modica pecunie quantitate et dederunt eis consilium, *ut totam gentam polonicam exterminarent*, tam *ecclesiasticas personas quam seculares, milites maxime.*“ (Rocz. Wpol. M. Pol. III. p. 41). W Wielkopolsce i Małopolsce żywioł polski stawił silniejszy opór, a rycerstwo nowego autoramentu w części przynajmniéj znacznéj wzrastało na podstawie rodzimej.

(2) Wszak jeszcze Długosz w swym Liber Benef. (I. p. 203) zna *cmethones indistinctos agros* habentes, a kto wié czy i *conmetanei* wspominani w Kodeksie Wpolsk. nie odnoszą się do wspólnéj miedzy, w obrębie któréj wszystko jest wspólne.

duos boves" posiadał, to jest tyle, ile parą wołów obrobić można. (Kod. Kat. Krak. I. p. 101).

Ślady prądów antagonizmu między rycerstwem a potomkami wojów zaznaczają nam się już w anarchii, powstałéj po śmierci Bolesława Chrobrego, kiedy to „in *dominos* (dominia mających?) *servi*, contra nobiles liberati, se ipsos in *dominium* extulerunt" (Gall. M. P. I. p. 415). Czyż mielibyśmy przypuszczać, że powstańcami tymi byli rataje, bobrownicy lub rybacy? a nie raczéj owa warstwa domorosła, która się zaliczać musiała do malkontentów, w skutek powodzenia nie bywałéj w dawnéj Polsce warstwy przybłędów, „gości" wojennych i krajowych karyerzystów, którzy pociągani na wojenne wyprawy zagraniczne, brali żołd *pro hasta* i obfite łupy wojenne, a upośledzeni wojowie marnieć musieli na łanowych zagrodach. Kiedy w wojnie Kazimierza z Masławem, nie żaden rycerz przedni, „quidam non de nobilium genere, sed de *gregariis militibus*", zapędzonemu między wrogów królowi życie uratował, opowieść o tém chowano w następne wieki, jakoby na wstyd dla żelaznéj gwardyi. A z czasów Bolesława Śmiałego także coś znów słychać jakoby o wyraźnéj dosyć reakcyi staropolskiego żywiołu przeciwko żelaznemu rynsztunkowi gwardyi, bo Gallus opowiada, a za nim powtarzają wszyscy kronikarze, że z powodu utonięcia wielu pancernych na przeprawie przez rzekę w wojnie pomorskiéj, ta „causa fere totum loricarum usum de Polonia abolevit, quas antiquitus Magni Boleslai regis exercitus ingenti studio frequentavit". Teraz, loricis Polonia dissuevit et sic expedicior hostem quisque invasit etc.

Niepodobna przypuszczać, żeby to brać należało dosłownie. Może to znaczy, że za Bolesława Śmiałego, żywioł polski w rycerstwie uprzywilejowaném już tak był silny, że mógł się przy danéj sposobności odważyć na zmianę obyczaju wojennego, ale i tak możnaby to rozumiéć, że Bolesław Śmiały nietylko już swe *acies curiales* „ubierał" w żelazo, ale i czerń wojenną przymuszał do kłobuczka i harnaszu, co się nie podobało, bo Polak, wedle staréj tradycyi, żyjącéj w zastępach kmiecych wojów i u drobniejszego rycerstwa, z téj klasy powstającego, wolał—*expedicius hostem invadere*.

Reakcya ta, bądź co-bądź, musiała mieć powodzenie, bo wszakże i za Bolesława Krzywoustego, Henryk IV dziwi się pod Bytomiem, że Polacy prawie „nudos contra clipeatos, vel clipeatos contra loricatos nudis ensibus decertare". Z drugiéj strony jednakże, powiada tenże sam kronikarz (Gall), że Krzywousty lubił na wyprawy chodzić „cum paucis electis", a na wyprawę pod Kołobrzeg nie zabrał „nullum peditem, sed *milites* tantum *electos*" (M. Pol. I. p. 446 cfr. 458), a jeśli czerń pieszą wziął kiedy z sobą, jak na wyprawę ma-

zowiecką, to ją czémprędzéj z łupami do domu wyprawiał—„pedites anteirent“. On téż to utrzymuje stale ową *acies curialis curialiter armata*, składającą się oczywiście z żelaznego rycerstwa, gdy wspomniane przez Galla ziemskie chorągwie, jak gnieznieńska i wojewódzka, składać się mogły z lżejszéj jazdy.

Nie zamierzamy tu śledzić daléj postępu i rozwoju polskiéj *wojskowości* z jazdą, która z czasem tak świetnego stopnia doszła w sławnéj na cały świat husaryi, bo nie o rzemiosło rycerskie dziś nam chodzi, lecz o wyjaśnienie składników stanu rycerskiego i o stanowisko, jakie te składniki pierwotne w organizacyi społeczności polskiéj zajmowały.

Źródła nasze niestety nadto mało dają nam materyału do opisania pierwotnéj organizacyi wojów, a nie wiele więcéj mówią i o rycerstwie pierwotném. Wszak, żeby samo istnienie wojów, jako kmieci wojennych, stwierdzić, musieliśmy się uciekać do językoznawstwa. A poruszać się daléj możemy także tylko na polu hipotez, wspartych jedynie, że tak powiém, napomknieniami dziejowemi. Z tych tedy sądząc, zdaje się, że organizacya wojów staropolskich musiała być *dziesiętna* i *drużynowa*.

Nie można twierdzić, żeby treść opowiadań, zawartych w kronikach o czasach przedmieszkowych, uważać należało za fakta historyczne, ale daleko więcéj wiary przypisać należy tymże kronikarzom tam, gdzie zmyślone może fakta podają na tle *stosunków* współczesnych lub z tradycyi znanych, których zmyślać i fałszować nie mieli zupełnie powodu. Mniejsza więc oto, czy np. wedle opowiadania Mierzwy, Ziemowit polski rzeczywiście zreformował państwo polskie i wojsko polskie, ale jeśli tenże Mierzwa opowiada, że Ziemowit „instituit decanos, quinquagenarios, centuriones, chiliarchas etc.“, to zupełnie nie ma powodu zaprzeczać możliwości takiéj organizacyi, tém więcéj, że i w innych krajach słowiańskich znajdujemy ślady takiéjże organizacyi dziesiętnéj, jak mniemam z rzymskiéj organizacyi wojennych kolonij (agri decumates), przeniesionéj na cały świat północno-zachodni i wschodni. Nestor poświadcza nam tę organizacyą na kraje ruskie. Powiada on, że Włodzimierz kijowski kazał w dzień na ucztę przychodzić bojarom (boljar) i dworzanom i *setnikom* i *dziesiętnikom*. A Bolesław nasz, po zdobyciu Kijowa, Anastazego *dziesiętnika* przystawił do skarbów jako swego włodka, czyli włodarza.

Analogij takich nie będzie można spuszczać z oka, badając znaczenie owych *homines decimi*, których niekiedy dokumenta polskie wspominają, a których spotykamy także w całéj zachodniéj Słowiańszczyznie. Może bo też *dziesiątka* jest w ogóle organiczną

jednostką wszelkiego służebnictwa pierwotnego, nie wyłącznie tylko samych kmieci wojennych. Pod Lublinem jest, wedle Liber Benef. Długosza (I. p. 198), wieś *Dziesiąte*, zamieszkała przez sokolników.

Przypuszczać należy, że pierwotna organizacya ta, wraz z zakorzenieniem się rycerstwa w Polsce, rozwijać się przestała, a w miejsce *drużyn* (nestorowych) nastały rycerskie *chorągwie.* W drużynie, obok dziesiątki, było może drugim znakiem organicznym *zawołanie*, a więc znamię *głośne*, w chorągwi—sztandar, vexillum, znamię *widome.* Długo jeszcze zapewne brzmiały w Polsce, uświęcone tradycyjnie w potrzebach krwawych, *zawołania*, których imiona tak często zdradzają pochodzenie od miejscowości (Przeginia, Ołobok, Ulina, itp.); powtarzano je chętnie i mimowolnie, ze zwyczaju, chociaż przestały mieć znaczenie organiczne, które przeszło na *chorągwie.*

Jak wielkie znaczenie znak ten widomy pozyskał w średnich wiekach, widać już stąd, że na pieczęciach zwykle książęta, wyobraziciele władzy, dzierżą w ręku chorągiew. Cesarz na znak takiéj władzy, oczywiście i na znak lemaństwa, wojennego „servicium“, dawał lennikom swoim tyle sztandarów, ile ziem dzierżyć mieli. Ci znów dawali takież znaki swoim palatynom, wojewodom i tak daléj aż do rycerza panującego nad ucząstkowém dominium, tak jak król lub książe nad całém. Wasalów swych zbierali oni pod znaki te, opatrzone w godła i klejnoty rodowe (erby) odpowiadające klenodiom regni czy summi dominii. Tak więc i towarzysz z chorągwią na kopii nosi ją, bo jest dominus, a czeladź téj broni zaszczytnéj i władczéj nie nosi, bo czeladź służy, nie mając dominium i dalszych służebnych.

Znaki te od *dworskiego* wojska, reprezentowanego przez uprzywilejowane rycerstwo, przeszły z czasem i na ziemskie drużyny, gdy takowe *zrycerzały*, zatém nastały chorągwie ziemskie i urzędy *chorążych ziemskich.*

Nowy znak wojenny nie koniecznie się cieszył powszechném uznaniem. Nie wystarczał on na wszelkie wypadki potrzeby. Porzucono go nawet jako niepraktyczny. W téj mierze charakterystyczną jest opowieść w „Kronice Polskiéj“ (M. P. III. 623) o bitwie Kazimierza z Masławem. W opowieści téj widocznie walczą pojęcia i znamiona nowe ze staremi tradycyami i godłami. W zwycięzkiéj walce owéj przewodzi szykom polskim jakiś mistyczny jeździec, z białą *chorągwią.* Ale chorągiew ta nie chroni zwycięzców od fatalnéj w bitwie pomyłki. Wysiekłszy wrogów, a rozmachani, sami siebie nawzajem bić poczynają, dopiero gdy *starodawnym obyczajem* na siebie

wołać zaczęli, gdy się uciekli do „*zawołania*", zaraz swoi poznali swoich i „albo equo *vexilliferum* ulterius non viderunt".

Stwierdza to i IV Statut wiślicki, jak niechętnie stosowano się do nowych porządków wojennych. Opiewa on pod r. 1368, że „quidam ex nostris nobilibus sub nullius *vexillo* se locare consueverunt", a następnie nakazuje, żeby każdy, *miles* czy *simplex* sub certis *vexillis* stawali. Tu prawo dość wyraźnie rozróżnia pasowanego, uprzywilejowanego rycerza, przedzierzgniętego na nobilisa, ślachcica, od jakiegoś *simplexa*, którym nikt inny być nie może, jak owi, gdzieś niegdzieś jeszcze gromadnie żyjący, dawni kmiecie wojenni, „milites gregarii, militelli, milites caligati" i jak ich tam przeróżnie nazywano. I u Czechów są, wedle Kosmasa, „milites secundi generis (p. 175), militia plebis" (p. 188). Du Cange wymienia aż trzy stopnie milesów.

Powiedzieliśmy już, że ten rodzaj osadnictwa najdłużéj się w pierwotnéj prostocie zachował na owém deskami zabitém Mazowszu, to téż dzięki zaściankowości téj dzielnicy kraju, późno wprawdzie, bo w r. 1421 wydany, ale dosadnie ilustrujący pierwotne stosunki Statut Ziemowita IV najwyraźniéj rozróżnia dwie kategorye rycerstwa i wyraźnie wymienia owego *miles communis*, qui non est *nobilis*, sed habet *jus militale*.

Pojęcie: *jus militale*, czeka jeszcze także na swego monografa. Nie pokusimy się dziś zatém o wyczerpujące oznaczenie jego zakresu. Nie powiemy jednakże zapewne za wiele, twierdząc, że pojęcie to powstało wtedy, gdy pojęcie *servicium militale* przybladło, przytarło się i nieledwie przygasło; gdy z wzrostem *dominialnéj* władzy rycerstwa, ustawało przeświadczenie i samowiedza o przymusie do służby wojennéj, a ustalało się już tylko poczucie moralnego i honorowego obowiązku osobistego.

Znajdujemy jednak niekiedy obok *servicium wojennego* ciężące na milesach inne jeszcze obowiązki, z których jedne zdają się być starodawne, jak *przewód wojenny*, stróża zamków, budowanie warowni, pościg złoczyńców (przynajmniéj na Mazowszu), inne z czasem narzucone zostały przez przewagę księcia, jak na Mazowszu „canum ductura, procuracio venatorum, portacio pabulorum, habitaculorum labores", same servicia ogólnie kmiece, które na Mazowszu dopiero przez księcia Bolesława r. 1447 zniesione zostały dla szlachty, z wyjątkiem znanego także wszelakim kmieciom pościgu złoczyńców. W Małopolsce już pod r. 1283 czytamy o milesie, że „non dabit nobis (tj. księciu) amplius *podwodas* (Kd. Młp. 121), który to ciężar następnie ogólnie ustał dla rycerstwa, gdy nad servicium górować zaczęło w pojęciach jego owo *jus militale*.

Już takowe uwydatnia się przedewszystkiém w prawie niezaprzeczonego dziedzictwa, które zrazu było warunkowém, i rozporządzalności własnością ziemską; dalej w prawie, żeby ich, tj. milesów nikt nie sądził, tylko sam książe lub król, jako najwyższy władca wojenny, żeby duchowieństwu dziesięciny oddawali wedle upodobania na rzecz wybranego kościoła, a nareszcie żeby posiadać mogli *nietylko ziemię*, ale i ludzi, *homines militum* i rozciągać nad nimi zupełną władzę i jurysdykcyą cywilną i kryminalną. Ten punkt jednakże dotyczy tylko rycerzy dominialnych, rycerstwa nadanego dobrami, *villas habencium*, a nie tych, którzy wedle sądowéj księgi czerskiéj należeli do „regestrum nobilium pauperum (sic), *cmetones non habencium*, *propriam culturam exarancium* i którzy niekiedy siedzą „*tanquam cmeto* in hereditate domini ducis et nullius est *hereditas*, nisi ipsius ducis. Tacy „ludzi" mieć nie mogli, bo gdzież-by ich podzieli?

Ci tedy milites communes, *chodaczkowa ślachta*, którą dopiero późniejsza polityka możnowładcza wciągnęła do koła *rycerskiéj ślachty* i rzekomo zrównała wojewodzie, nie jest produktem prostego zubożenia, ale schnącą latoroślą starodawnego pnia piastowskich wojów, do których także zaliczać wypadnie wojennie zorganizowane kozactwo z jego *siczami*, przypominającemi językowo najstarszą formę polskiéj fortyfikacyi, tak liczne po kraju *Osieki*. Wszystko to są niejako lodowcowe resztki organizacyi społeczno - politycznéj z samych początków monarchizmu polskiego.

Nowsi badacze lubią tę warstwę podlejszego rycerstwa nazywać rycerstwem *włodyczem*, czyli nawet *władyczem*, nie wyjaśniając jednak pochodzenia téj nazwy.

Pozwalamy sobie zastanowić się nieco bliżéj nad tą osobliwą nazwą. W łacinie wyraz ten tłómaczy się zawsze przez *miles*, nigdy przez *nobilis*, tak że włodyka rzeczywiście nikim innym być nie może, jak owym znanym nam już *miles communis*. Z góry oświadczyć należy, że forma *władyka*, rycerstwo *władycze*, zdaje się być fałszywą, gdyż musiała-by pochodzić od *władyki*, który wedle Knapiusza, Lindego i notorycznego zrozumienia żywéj mowy, tylko i jedynie oznacza biskupa obrządku greckiego, a żaden dokument nie stwierdza, żeby pojęcie rycerstwa *władyczego* odnosiło się do „milites ecclesie". Pozostaje nam więc tylko rozprawić się z *włodyką*.

Knapiusz nie zna *włodyki* i Linde o nim nic nie wié, ale za to poucza nas, że wyraz *włodek* oznacza to samo co *włodarz* (rolnik?). Przypuszczam tedy, że ów, *włodyka* jest gminną, przedrzeźniającą korupcyą *włodka*. Dotąd są na Mazowszu rodziny *Włodków*, w których mianie rodowém przechowała się nazwa całéj klasy społecznéj,

jak w owym *miles Woen* przechowała się nazwa *wojeń*, woin, odnosząca się do klasy społecznéj *wojów*. Nie wynika stąd jeszcze, żeby wszyscy *włodkowie* musieli być włodarzami. Asocyacya idej w tworach językowych nie zawsze bywa logiczną. Zresztą nazwę *włodyków* głównie spotykamy na Mazowszu, a zupełnie wyjątkowo tylko w źródłach innych dzielnic, tak, że potrosze na prowincyonalizm zakrawa.

Mniejsza już teraz o nazwę *wojów*, czy następnie *włodyków*; zapytać jednak należy, czemu w najstarszych źródłach naszych tak ważna klasa służebnych *wojennych kmieci* nie znajduje wyraźniejszego uwzględnienia, na jakie zasługiwać się zdaje. Rzecz to bardzo naturalna. Piszący nadania itp., byli obcy stosunkom krajowym, a w czasach, kiedy pisali przekazane nam dokumenta, już rycerstwo uprzywilejowane, rycerstwo i wojsko dworskie (acies curialis), a za jego przykładem organizowane chorągwie ziemskie lub możnowładcze, tak górowały, tak, rzec można, zmonopolizowały dla siebie pozór i istotę wojskowości, że choćby najliczniejsze zastępy domorosłych wojów mogły w oczach piszących wyglądać na czerń luźną i nieprzydatną, któréj pochodzenie i organizacya były dla nich obojętne. Uważano to w czambuł za kmieci, chłopów, od których się też pozorem nie wiele różniły takie zastępy. A jednak kupy te nie obejmowały od pługa oderwanych *smerdów* i różnego innego narodu, różnemi zawodami zabawiającego się, ale właśnie służebników wojennych, do służenia wojny tradycyjnie obowiązanych. Na Rusi, jak „Akta Grodzkie i Ziemskie“ (Lwów), tylokrotnie wykazują, jeszcze w XV wieku z zaścianków stawały kompanie pieszéj „ślachty“ do boju.

A że ludzie tacy nie pełnili innego służebnictwa, prócz objętego w *servicium militale* i spełna używali owoców pracy swéj pokojowéj, musieli oni, w porównaniu z innymi służebnikami, robić wrażenie *ludzi wolnych*, o ile nie pełnili téż podlejszéj służby i nie ponosili wszystkich angariów polskich. A takich ludzi, taką klasę ludzi, wspominają niejednokrotnie dokumenta. Sądzę, że mi tego nikt nie poczyta za lingwistyczne „salto mortale“, jeśli odwołując się na tożsamości nazw: *Wolbórz* i *Wojbórz*, *Wolimir* i *Wojmir*, Wojsław czyli Wolesław (Bolesław), zaznaczę bliskie pokrewieństwo źródłosłowów *woj* i *wol*, wywodząc stąd, że ludźmi *wolnymi* (1) są w starożytnéj

(1) Wszakże i u Karola Wielkiego z r. 807 w kapitularzu *de expedicione* nazwani są *liber* ci, co „mansos 5 de proprietate habere videntur“ i obowiązani są „in hostem venire“ na hiszpańską stronę *co szósty*—quinque sextum preparare faciant,—do Czech *co trzeci*, na Sorabów wszyscy pospolitém ruszeniem (Erb. Reg. Nr. 17). Więc i tu *liber* i *woj* są jedno.

Polsce właśnie nasi *woje*, gdyż i forma *wojeń* zdaje się odpowiadać ruskiemu *woljen*, a formę tę i my musielibyśmy mieć w języku polskim, bo mamy w starym języku *woleństwo* zamiast *wolność*.

Tu dopiero schodzi się poniekąd zapatrywanie nasze z badaczami nowszymi, którzy w pierwotnéj Polsce upatrują liczny i potężny stan średnich, wolnych właścicieli, czyli *mediocres*, tj. małych dziedziców, coś niby nakształt anachronicznych reprezentantów dzisiejszéj drobnéj posiadłości, cieszącéj się niezależném stanowiskiem obywatelskiém. Taka klasa jednak w obec pojęć panujących o powszechném *dominium* i powszechném, choć różnolitem *servicium*, byłaby dziejową anomalią. Jakże to często „homines liberi“ nazwani są nietylko *servientes*, ale po prostu *servi*! Wolność w średniowieczczyznie nie ma znaczenia politycznego i socyalnego, tylko po prostu przeważnie znaczenie *fiskalne*.

Reasumując, cośmy o wojach dotąd powiedzieli, stwierdzamy, że klasa ta, pierwotnie służebnych kmieci wojennych, podupaść i zaginąć musiała, a rozwinąć i podnieść się nie mogła, w obec przekształcenia milicyi staropolskiéj na wojsko dworskie i ziemskie. Przechowały się tylko jéj resztki w zaściankowéj szlachcie i poniekąd w kozactwie, z których pierwsza dostąpiła z czasem zrównania ze ślachtą, wyrosłą z rycerstwa obcego autoramentu, podczas gdy kozactwo daremnie się tego zrównania dobijało.

Na pniu téj rodziméj milicyi, za przewodem chrześciaństwa, zaszczepiło się wprowadzone do Polski rycerstwo, na średniowiecznym zachodzie wykształcone. Ztamtąd przez Czechy, wraz z nazwą *rytterów*, rycerzy, przeniosło się ono na polskie niwy i, jako zawiązek uprzywilejowanego stanu wojennego, dało początek do wykształcenia się oryginalnego rycerstwa *polskiego*, które się następnie, z biegiem wypadków dziejowych i okoliczności, zorganizowało w polityczny stan ślachecki. Woj, albo spadł do coraz bardziéj zapominanego i na posługi ekonomskie używanego *włodka*, albo, gdzie się udało, wciskał się do szeregów żelaznéj gwardyi rycerzy. Z tych zaś ostatnich, pełniących także *servicium wojenne*, ale odpowiedniejsze potrzebom czasu i sztuki wojennéj, wykołysał się *nobilis*, *ślachcic*, u którego z czasem „servicium“ zamienia się na *officium* i na *jus militale*, w którém potém udział biorą zarówno rycerze i „milites communes“. W nadaniach rycerskich zwykle służba wojenna ściśle bywa określaną co do ilości koni i jakości broni, czasu itp., ale zdarza się już w r. 1256, że Sambor pomorski (Perlbach I. p. 137) nadaje dwom rycerzom 60 łanów, a jednak powiada tylko: „servicium quod essent nobis *exinde* facturi, eorum *committimus voluntati*,“ ich dobréj woli, poczuciu obowiązku w obec pana i kraju.

Główna różnica między rodzimym wojem a obcego autoramentu rycerzem, co do uposażenia, jest ta, że woj bierze za swe servicium pierwotnie tylko albo wolne utrzymanie, kosztem reszty ludności, jak np. Brzetysława i Mieszkowe zastępy, albo *kmiece wynagrodzenie*, osiada na książęcéj roli (woli?) w osadach, mających zapewne pierwotnie wspólną własność, eksploatujących role na wspólny rachunek, zanim nie nastąpił podział na łany i włóki. Wtedy każdy dostał swą *włostność* (włodstność, włodyka), okolem, zagroda przy zagrodzie, miedza przy miedzy.

Kiedy to nastąpiło trudno naturalnie oznaczyć. Zdaje się, że to chyba musiało być dopiero wynikiem zagnieżdżenia folwarcznego rycerstwa, któremu pan ziemi dawał obszary okopcowane, ujęte w granice, na własny a nie na wspólny z kimkolwiek użytek (gminny). Przedtém znano granice tylko między opolami, *ujazdy*, *circuitus*, którym daléj odpowiadały *przesieki* jako granice dzielnic i krajów. W obrębie ujazdów gospodarowano *na skoki*, *in modum scaccorum*, tj. raz tu raz owdzie siejąc, gdzie się cieplejsza i czystsza gleba wynurzyła z bagnisk, rąbanisk lub spalenisk puszczy.

Skoro zaś rycerze dostawać zaczęli ograniczone, okopcowane, obciosane grunta i dobra, dominia dziedziczne, musiało to oddziałać i na „uwłaszczenie“ wojów i całéj reszty mieszkańców.

Kmieć wojenny, występujący do walki z domowym orężem, łukiem, kuszą, szczytem, oszczepem, siekierą kamienną, w rzemienie oprawną, mógł się ostatecznie utrzymać z uposażenia kmiecego, ze źrebia, jakie np. spotykamy opróżnione po takim kmieciu wojennym, „sortem vacantem militelli“ w księdze fundacyi Henrykowskiego klasztoru Inna rzecz *rycerz*, *miles curie*, nie milicyant ziemski, ale jeździec w żelazo zbrojny a osadzony jako udzielny pan na dobrach. Pewnéj miary i reguły dla takich nadań i zobowiązań trudno dopatrzéć. Starych dokumentów nadawczych rycerskich u nas przechowało się bardzo mało. Dużo ich za to w kodeksach krzyżackich, i biskupstwa warmińskiego, gdzie szukać należy analogii. Na Mazowszu w XIV wieku Ziemowit daje milesom po 10 łanów in deserto, za co służyć muszą na koniu wartości 4 kop. „sub celeptra, vulgariter *clobuczek* et in pancerio cum clipeo et lancea“. Zatém jest to nadanie *kopijnika*, jakoby późniejszego husarza. (Cod. Mazow. p. 116).

Napływ obcego rycerstwa do Polski musiał być bardzo wielki. Któżby się tego nie domyślił z Galla, a z późniejszych czasów mamy np. z r. 1278 ugody Leszka Czarnego z kujawskim Ziemomysłem, z których ostatni, będący jak swego czasu Chrobry lub Bolesław Śmiały, benignus hospitum receptor, przyrzec musiał, quod Theuto-

nicales milites et *filios* militum Theutonicalium (sekundogenitury) in terra et curia sua servare nie będzie (Kod. Maj. Pol. I. p. 422). Zastrzeżono to nie tyle pewno z polskiego patryotyzmu co dla konkurencyi i osłabienia przeciwnika.

Z przykładu tego widać wyraźnie, jak tacy przybysze naprzód przyczepiają się do dworu a potém osiedlają in terra i biorą *dominia et villas*, bądź za straty poniesione w koniach i rynsztunku, bądź za lub na wojenne usługi.

Dominia te składają się więc z darowizn roli, lasów, jezior, słowem posiadłości ziemskich, już zagospodarowanych (cum hominibus) albo też nowin, na których przybysz osiedlał się i osiedlał już *swoich* nie księcia poddanych, na mocy listu donacyjnego, nadającego mu nie tylko używalność, a częstokroć i coraz częściéj dziedziczną własność ziemi posiadanéj poprzednio przez ogólnego Pana Ziemi, ale odstępującego mu częściowe albo pełne (plenum, merum) dominium nad ziemią i ludźmi. Wyrażenia odnośne w dokumentach brzmią: „cum omni dominio“ (Kd. Młp. II. p. 514); „cum omni jure ducatus nostri, nihil omnino pro nobis reservantes“ (Kd. Wpl. II. p. 253) itp. (1).

Przez takie nadania, bądź duchowne, których dzięki ogniotrwałym murom klasztornym posiadamy na pargaminach dość dużo, bądź rycerskie, których w drewnianych dworach zniszczały setki tysięcy, tak że do naszych czasów przejść mogło bardzo mało,—zaczął się Pan Ziemi, dzielić swém dominium z coraz szerszém kołem duchownych i świeckich panów i panoszów, dla których, w dążeniu do zyskiwania coraz szerszych przywilejów, było szczytem żądań, żeby uzyskać wszystkie *libertates ducales*.

W dyplomatach z różnych, a można powiedzieć, że prawie ze wszystkich dzielnic Polski, jakby nić czerwona ciągnie się i prawie temi samemi, bo z prawa kanonicznego zapożyczonemi, słowami wypowiada się zasada, że poddani uprzywilejowani przy każdéj sposobności mają nie tylko prawo, ale niejako *obowiązek stanu*, coraz więcéj zdobywać praw, wolności, nagród za trudy podejmowane i na zachętę do nowych usług. Dokumenta te wypowiadają zasadę, że *darmo nic*! Czytamy tam np. takie ogólne aforyzmy socyalno-polityczno-ekonomiczne: „Propter officium debetur beneficium“, „qui altari servit vivere debet ex altari“, „qui ad onus eligitur, repelli non debet a mercede“, „beneficium datur propter officium“, albo zgoła: „Et

---

(1) Regesta czeskie rozróżniają także *milites* qui *aratrum habent* (prosty woj). I qui integram villam tenet. Jeden i drugi są tam w służbie komesa i za wynagrodzeniem pieniężném 2, resp. 5 grzywien, muszą ustąpić z gruntu a potém *cui voluerit serviat* (wolny!). Reg. Bohem. u Erb. p. 194, N. 431.

quia hanc sibi quodammodo *nobilitas* legem imponit, ut debere se quod sponte tribuit, existimet, *et nisi in beneficiis creverit*, nihil se prestitisse putet"...; albo jeszcze charakterystyczniejsza mądrość stanu w dokumencie mazowieckim (z r. 1319), gdzie powiedziano: „et quia apud *nobilium* mentes *semiplenum* bonum videtur, quod sine *adieccione* relinquitur"... Mnożono potwierdzenia, transumpty przywilejów, żeby coś w dodatku pozyskać. Prześcigało się w téj mierze duchowieństwo, możni panowie i ślachta. Duchowieństwo zaś o tyle miało łatwiejsze pole, bo biło władzę zasadą nietykalną: że *deo servientes* żadnéj ziemskiéj władzy podlegać nie winni, ani sami ani rzeczy ich, „quia donum deo collatum non expedit legibus universorum subiacere," albo „legibus principum subiacere" (Kd. Wpl. I. p. 134).

Tak więc wzrastać musiała coraz bardziéj *materyalna* niezależność poddanych uprzywilejowanych od władzy, a zależność moralna zależy coraz bardziéj od dobréj woli, zrozumienia idei państwowéj, choć téż pozornie książęta i królowie nazywają swych współpanów, kmieciami i służebnikami.

Ale i cechy moralnego służebnictwa giną i zacierają się powoli a miarą ich zaguby jest może między innemi upowszechnienie „tytułu" *nobilis* na ogół rycerstwa, tytułu, który prawie przez całą pierwszą połowę dziejów Polski jest temuż rycerstwu obcy. Rycerz, bądź uprzywilejowany, bądź ziemski woj, dobijający się rycerstwa (chcący uchodzić *pro milite*, jak się wyraża księga Henrykowska) zwie się zawsze tylko *miles*, *miles curie*, miles *strenuus*, nigdy *nobilis*. W łacinie średniowiecznéj najstarszéj jest *nobilis* tytułem, który stanowi nieodłączny atrybut tylko najwyższego *dominium*. Jak inne częśc[1] i charakterystyczne oznaki tegoż dominium, tak i tytuł ten z wyżyn monarszych ściągają zwolna do coraz niższego poziomu współdzierżycieli i uczestników tego dominium.

W najdawniejszych dokumentach stosuje się tytuł ten tylko do naczelników rządzącéj dynastyi. Tak mianowicie w dokumentach papiezkich. Król, książę, który późniéj jest serenissimus, w wiekach X, XI, XII, jest zawsze tylko *nobilis*, *nobilis vir*, *nobilis dux* itp. Następnie stosuje się on już do wszystkich członków rodziny monarszéj, potém stopniowo do możnowładzców tak duchownych jak świeckich, do wszystkich, którzy są *prelati*, *barones* et *officiales* regni et curie w ścisłém odróżnieniu od zwykłych milites, aż nareszcie staje się udziałem wszystkich tych, którzy mają *jus militale* i wywodzą ród swój przynajmniéj przez 3 generacye. Nadto Katalog biskupów krak. (M. P. III. p. 359) orzeka, że *nobilis* genere musi być zawsze *de domo* (np. Odrowąż) a *de villa*, (np. Janków).

Zdemokratyzowanie tytułu *nobilis* dokonało się już może pod koniec XIV wieku a zarazem merum i plenum *dominium* rozdzieliło się na krocie dziedzictw i imion, jak mówiono, rodzinnych gniazd.

Nie chodzi tu jeszcze o *dominium polityczne*, o władzę rządową, ale o byt materyalny, o podstawy bytu tego ekonomiczne. Na zakończenie tedy tych uwag naszych rozpatrzmy się w istocie tego właśnie dominium.

Pierwszém jego kryteryum jest *rozdawnictwo* ziemi. Jako dominus terrae, jéj dziedziczny pan, ma monarcha prawo dawać i rozdawać ją, o ile jest nierozdaną, komu zechce. Rycerzom rozdaje on ją z warunkiem zobowiązania ich do służby wojennéj. Nabytek jest pierwotnie dla nabywcy ściśle obwarowany. Nie wolno mu go sprzedać, zamienić, darować, bez zatwierdzenia pana ziemi, który baczyć musi, żeby się przez to nie uroniły jego servicia wojenne, na nadaniu ciążące. Sprzedaż więc np. tylko w ten sposób dochodzi, że sprzedający rezygnuje posiadłość w ręce księcia a ten, z całą formalnością przenoszenia kapelusza dominialnego z głowy na głowę, przenosi ją na nowego nabywcę, zastrzegając sobie z pierwotnego nadania wynikające *servicia*, jeśli ich wspaniałość monarsza nie raczyła przy téj sposobności zmniejszyć lub znieść zupełnie.

Z czasem ta najstarsza forma uruchomienia nieruchomości ustępuje coraz większéj samodzielności rycerstwa w szafowaniu ziemią przez sprzedaż dowolną, zamianę lub dalsze znów *rozdawnictwo* na rzecz kościołów, klasztorów, sług lub przyjaciół.

Drugiém kryteryum książęcego dominium jest *pobór*, bądź pierwotnie in natura, bądź w *robotach*, bądź ostatecznie w *pieniądzach*. Pan Ziemi rozkłada pobory dowolnie na swych służebnych, stosując się do starodawnego zwyczaju, ale nie wyrzekając się nowych pomysłów fiskalnych. Bardzo dokładnie oznaczyć można, w którym czasie powstały niektóre nowe wymysły fiskalizmu, z zagranicy przyniesione. Pobory stają się tém uciążliwsze, o ile coraz więcéj zagnieżdża się uprzywilejowanych dzierżycieli *condominii*, bądź duchownych, bądź świeckich, których dobra wszędzie się wyjmują z obrębu staropolskiego opola, starodawnéj jednostki terytoryalno-administracyjnéj i poborowéj. Ciężar poboru, nakładany nie na osoby, lecz na opole, przez takie ekscepcye zaciąża nad coraz szczuplejszém kołem kontrybuentów, a zatém staje się coraz nieznośniejszym i rozsadza, rozbija opola. Wyjęte jednak z pod książęcego dominium poborowego dobra, nie zyskują nic *na rzecz służebnych*, albowiem to co płacić i dawać musiały dawniéj księciu, odtąd dawać i płacić muszą, ingruente necessitate, albo też w stałym porządku, nowemu panu. Jak ironia brzmi po dyplomatach nadawczych wyraz

libertas, nadawana uprzywilejowanym dobrom. Książę nadaje *wolność* od *polskich* poborów i robót: to znaczy, że nie pobiera ich odtąd sam, ale odstępuje je nowemu panu przez siebie nadanemu i uprzywilejowanemu.

Ustępstwo to dokonywa się tylko zwolna i częściowo. Z analogii, późniejszych wprawdzie, ale tchnących pierwotną starożytnością stosunków mazowieckich (r. 1414) wnosić można, że zrazu Pan Ziemi, odstępując rycerzowi dobra i *homines suos*, nie całkiem ich zwalniał od wszystkich względem siebie obowiązków fiskalnych. Owszem dokumenta orzekają, że w takim majątku odstąpionym, książę tylko *unum servitorem* in uno manso et in villa locata, quem elegerint *liberum*, qui *ipsis* servicia opportuna exhibeat, nadaje, absolventes predictum servitorem ab omnibus *nostris* censibus etc. (Kod. Mazow. 157). Ten to *liber*, *wolny*, oczywiście był już zupełnie oddany na pastwę i posługi nowego pana, co znaczyło, że był *wolny*—od obowiązków dla Pana Ziemi. W témże znaczeniu wolni téż bywali kmiecie nowych osad polskich i teutońskich, chociaż ta wolność miewała inne jeszcze znaczenie, o którém nie tu pora rozprawiać. Co do tamtych zaś, nadania kościelne, które zawsze przodują w kunszcie uzyskiwania przywilejów, już w r. 1241 i 1256 doprowadziły, jak dokumenta mazowieckie stwierdzają, do *trzech wolnych* ludzi na osadę. Późniéj oczywiście ustaje wszelkie ograniczenie, nastaje ogólna *wolność państwowa* a ogólna niewola prywatna. Książę i król nie pobiera nic prócz owego znanego *poradlnego* lub *podymnego* (królestwo), które dotrwało do konstytucyjnych czasów a dawało się, jak powiada przywilej koszycki, „in signum summi dominii et recognicionem corone regni Polonie", a więc jako znamię dominium *politycznego* (Kd. Wpl. III. p. 426).

Nie mniéj ważnym przywilejem monarszym było tu *directura viarum*, czyli naznaczenie dróg handlowych, *ceł* i *myt*, pobieranych na tysiącznych nieledwie rogatkach. To źródło brzęczącej gotówki i dochodu wydzierżawianego, szczególniéj nęciło wszystkich uprzywilejowanych *condominusów*. Duchowieństwo i rycerstwo pozyskało rychło zupełną wolność od wszelkich ceł i myt, ilekroć wieźli towar na własną potrzebę nabyty, ale prócz tego musiał monarcha częściowo lub całkowicie odstępować cła i myta w oddanych pod obce dominium miastach i wsiach. A gdzie ich nie odstąpił, tam dawał asygnacye na wypłaty.

Do dalszych regaliów należało *polowanie* i *eksploatacya górnicza*, z niemiecka tzw. *Berkracht*. Pierwsze postradali monarchowie zupełnie w dobrach prywatnych. Uprzywilejowane klasy pilnie się starały o to, żeby się zwolnić od servicium przyjmowania łowców królew-

skich, którzy pierwotnie po całym obszarze kraju, na rzecz monarchy wykonywali łowiectwo. *Górnicze* prawo monarchowie utrzymali wprawdzie dla siebie w *wielkich przedsiębierstwach*, jak Wieliczka itp. ale i z tych produkt i dochody zabierały w znacznéj części wieczyste zapisy, mianowicie duchowne—i różne jurgielty. Odstępowanie Berkrachtu prywatnym miało zresztą to dla kultury kraju ważne następstwo, że w wielu miejscach, gdzie dziś już tylko pozostały nazwy odnośne, jak Ruda, Rudki, Rudnice, Huta, Hamry itp., powstawały przed wiekami kuźnice, zaopatrujące kraj w potrzebne żelazo.

Niesłychanéj wagi funkcyą władzy monarszéj było oczywiście *sądownictwo.* Z czytania starych dyplomataryuszów odnosi się to wrażenie, że sądownictwo jest wprawdzie instytucyą moralną, ale więcéj jeszcze *finansową*, obliczoną na przysparzanie dochodów przez kary, na korzyść skarbu książęcego (pene regales, ducales) i na zdzierstwa oficyalistów, z których każdy ma swą osobną juryzdykcyą (pene judiciales). To téż stany uprzywilejowane, żeby zdobyć tak obfite źródło dochodu, starały się najusilniéj o nabytek władzy sądowéj. Z drobnostkową akuratnością wyliczają dokumenta, jakie sądy tj. jakie rodzaje kar wartościowych lub pieniężnych, pozostają przy monarsze a jakie przechodzą w nadaniu na nowego pana, aż i z całéj juryzdykcyi nad służebnymi zaczyna z czasem kwitować dominus terre. Pod r. 1284 np. czytamy w kodeksie Wielkopolskim, że Tomisław z Szamotuł, otrzymuje potwierdzenie sądów niemieckich i polskich *absque omni assessore dominii nostri*, z czego wynika, że pierwotnie odstąpione już sądy patrymonialne bywały, in signum dominii, z taką pańską assessoryą, w pewnéj zawsze jeszcze zależności od Pana Ziemi. Pod r. 1351 w kod. Mazowieckim nazwany jest *bonus miles* ten, co ma zupełną juryzdykcyą (patrymonialną), władzę życia i śmierci nad swymi poddanymi, jak król ją ma nad nim, jako nad swym kmieciem i komesem, nad swym żołnierzem, będącym niejako tylko zawsze na urlopie. W księgach sądowych u Helcla (II. nr. 133) w sprawie o ślachectwo, powód zarzuca obżałowanemu: ipsum non esse nobilem *nec penas aliquas posse recipere* velut aliquem nobilem. A zatém *sądzenie* i *pobieranie kar* jest oznaką *dominii*, *condominii*, cechą rycerza i ślachcica. Doszło w téj mierze do tego, że jak u tegoż Helcla czytamy, ślachcic sprzedając wieś drugiemu, zastrzegał sobie i ekscypował *popłatki sądowe*.

Nareszcie przychodzimy do najważniejszego, jak dla naszéj materyi, punktu władzy monarszéj, tj. do prawa i zarazem obowiązku *obrony kraju*, *defensio terre* i *conservacio pacis in regni finibus*.

Płynie to już z rysu niezaborczéj wojowniczości słowiańskiéj, o którym na wstępie mówiliśmy, że w charakterze władzy monarszéj w Polsce przed prawem (zachodniego monarchizmu) stanowienia o *pokoju i wojnie*, idzie prawo i obowiązek *obrony kraju*. Wiemy to dobrze, że już pierwsi wojowniczy królowie polscy podejmowali różne wyprawy a zatém wojny zaczepne i zawierali układy, ale to się działo bez świadomości politycznego prawa, siłą mocarskich popędów i dla zatrudnienia i ukontentowania nagromadzonego rycerstwa. To téż w dokumentach najstarszych nie mówi się o prawie Pana Ziemi do rozporządzenia wojną lub pokojem, ale prawie na każdéj karcie są jego układy z poddanymi o *defensio* terre, o obronę kraju, do któréj są wszyscy obowiązani, gdy tymczasem na wyprawę zagraniczną najmować ich sobie musi król i książę za pieniądze.

Zatém téż zakonkludować należy, że pierwotny element krajowy nosi przeważnie cechę wojskowości *obronnéj*, kiedy drugi żywioł, narosły wedle obcych wzorów i w wielkiéj części z obcych żywiołów, skłania się ku charakterowi *zaczepnemu*, *zaborczemu*, póki się nie rozpłynął zupełnie we krwi słowiańskiéj. Przypomnijmyż sobie, jak Krzywousty wyprawy swoje zaborcze, prawie zawsze prowadzi „wyborowym“ żołnierzem, a chodaczkowych rycerzy zostawia w domu. Mogły go do tego powodować względy praktyczne, ale niechybnie objawia się w tém także zasada, tak popularna po wszystkie czasy między późniejszém, już czysto polskiém rycerstwem, zasada tradycyjna wojowéj milicyi, że wojenni obywatele postanowieni są na *obronę kraju*, a nie na wojny podejmowane w widokach polityki królewskiéj. Zasada ta jeszcze widoczniéj się ujawnia w obyczaju już wspomnianym a prawem uświęconym, że nawet *rycerze* rzeczywiści, uprzywilejowani a późniejsi ślachcice, tylko do *granic państwa* obowiązani byli *in defensione adesse propris sumptibus*, a skoro wojsko granice przekroczyło, mieli prawo żądać od swego Pana *pro hasta*, za każdego kopijnika, pewną sumę żołdu. Zatém i oni mieli obowiązek bronić kraju swoją osobą i imieniem a na wojny *pańskie*, zagraniczne najmować się mogli za pieniądze, co nawet w tym razie nie sprowadzało zarzutu *nieślacheckiéj mytności*. Albowiem wedle ksiąg sądowych krakowskich (u Helcla II. nr. 535) nie jest *bonus miles* ten, co jest *mythny* lub co „causas fovet pro precio.“

Obyczaj owéj płacy żołdowéj po za granicami ziemi lub państwa tłómaczy, dla czego wielkie wyprawy wojenne, podejmowane pospolitém ruszeniem, zwykle przedwcześnie i bez zależytego skutku się kończyły, zwłaszcza jeśli, jak to już o Sieciechu powiada Chronicon Polonorum, wódz salaria militum, accepta a rege, sibi reservaret. (M. Pol. III. p. 453).

Z obowiązku więc obrony kraju wywiązywał się polski monarcha pierwotnie, jak widzieliśmy, za pomocą milicyi wojowéj a następnie obok tego za pomocą zgodzonych na ziemski kontrakt rycerzy. A to téż był jedyny, rzec można, punkt władzy monarszéj, który nigdy znikąd prawnie nie doznał uszczerbku, którego nigdy nie kwestyonowano. Owszem, głosem wielkim zawsze wołano do monarchy o *obronę*, z własnéj poręki jego i z własnych funduszów i środków, niegdyś tak ogromnych; i to wołano bez względu na to, że schłopiała milicya już zupełnie nie odpowiadała wymaganiom sztuki i czasu a rycerze nie koniecznie dbali o utrzymanie w pierwotnéj czystości swego obowiązkowego *servicium* wojennego i zapominali radzi o pierwotném znaczeniu swego w celach wojennéj służby nabytego *dominium*!

Lecz nie czyńmy im krzywdy ryczałtem! Przelewałać ślachta polską krew swą w obronie kraju na tysiącznych polach chwały, przelewała ją i bez rachuby a z ochotą,—ale niestety nigdy się ująć nie pozwoliła w *system*, a system to dopiero siła trwała i wielka, któréj ostatecznie nie sprostają najszczytniejsze zapały. *Nobile officium* bronienia ojczyzny jest ślachetne i wspaniałe, ale państwo i byt polityczny daleko bezpieczniéj i trwaléj polegają na twardem servicium, jakie kiedyś i w Polsce istniało, ale podupadło a zamieniło się w owo *jus militale*, bez realnéj egzekucyi.

Z tego cośmy powyżéj o dominium i jego rozczłonkowaniu powiedzieli konkludujemy ostatecznie, że władza monarsza w Polsce nie dopiero wtedy podupadła, gdy sejmy składać i rwać zaczęto, gdy się w stanie rycerskim odezwały polityczne żądze, ale już dawno przedtém, gdy ją przez rozdrobnienie bogatego i potężnego kiedyś dominium, zubożono, gdy zamiast ogromnych zasobów materyalnéj potęgi, zamiast *dominium plenum et merum* pozostało jéj tylko *jus ducale*, *omagiale* subjeccionis, fidelitatis, servicii et obediencie.

A już o Bolesławie Wstydliwym powiada Rocznik franciszkański krakowski: że był libertatum ecclesie conservator, militum verus amator, quia nihil sibi retinebat, sed *omnia* suis militibus tribuebat (M. P. III. p. 218).

Dr. Władysław Łebiński.

NALA.

POWIEŚĆ STAROINDYJSKA.

Poznanie sanskrytu, świętéj mowy Indów, wywołało na polu gramatyki w Europie zupełny przewrót. Całkiem nowy system traktowania kwestyi i prawideł językowych, ufundowany po części na gramatyce staroindyjskiéj, zajął miejsce starodawnego patrzenia na prawa językowe przez zużyte już okulary gramatyki łacińskiéj. Sanskryt głównie dał początek do zajęcia stanowiska historycznego w pytaniach gramatycznych i badania historycznego w rozwoju każdego objawu językowego. Wywołał on daléj sposób naukowo porównawczy w dziedzinie filologii, stwarzając nawet nowe działy nauki: lingwistykę i gramatykę porównawczą. Gramatyka porównawcza znowu rzuciła bogate promienie światła na stosunek wzajemny różnych narodów, na historyą ich wyłaniania się z pierwotnych siedzib, na stopień oświaty, jaki w pojedyńczych epokach zajmowały, opanowując tym sposobem nietylko samę gramatykę, ale wciskając się gwałtownie i do historyi, archeologii, mytologii, a nawet częścią i do historyi pojęć prawniczych. Gramatyka porównawcza wykazała nam np., czego historya nigdy nie wyjaśniła, które narody tworzyły tak zwaną familią indoeuropejską, i stara się nawet odtworzyć mowę, którą w czasie wspólnego bytu mówiły. Ważność narzeczy staroindyjskich jest już dziś ogólnie uznana i po wszystkich prawie wszechnicach europejskich utworzono katedry dla gramatyki porównawczéj i sanskrytu.

Za językiem poszło i zajęcie się głębsze literaturą staroindyjską i choć dotąd nie tyle zwracano może uwagi na nią ze stanowiska literackiego, jak gramatycznego, zaczęto się jednak w ostatnich czasach pilnie rozczytywać w utworach literatury staroindyjskiéj. Znaleźli się pilni tłómacze, zwłaszcza angielscy, francuscy i niemieccy, którzy się starają narodom swym przyswoić zajmujące płody téj bogatéj literatury. Tylko my Polacy byliśmy do tego czasu prawie zupełnie obojętni na te wielkie zdobycze naukowe, płynące z poznania sanskrytu. Tu i tam znajdzie się ktoś, co przytoczy w dziełach swych jakiś wyraz sanskrycki, ale zdarza się to bardzo rzadko, a oprócz tego nie pochodzi zwykle to popisywanie się sanskrytem z własnych studyów na tém polu, lecz są to, z małymi wyjątkami, rzeczy gdzieś indziéj zasłyszane i czerpane. Ś. p. ks. Franciszek Malinowski wydał wprawdzie i polską gramatykę sanskrytu, ale nie znalazł, czy raczéj nie umiał wywołać zapału dla niełatwego zresztą języka tego. Polacy oddawna nie czuli wielkiego popędu do kwestyj gramatycznych i to może powodem, że do tego czasu mało kto z nas gruntowniéj sanskrytem się zajmował.

A warto poznać ten język i literaturę jego! Pomijam, że zmieniając nieco słowa Goethego, kto nie zna literatur obcych, ten także nie zna dokładnie swéj własnéj, i że duch ludzki ciągle potrzebuje nowego pokarmu, nowych pojęć i poglądów, i że ich nawet szuka, gdy ich nie ma, nastręcza literatura staroindyjska wiele czynników, nęcących do zwrócenia na nią uwagi. Odznacza się ona tak wielkiém bogactwem najrozliczniejszych rodzajów płodów umysłowych, jak może żadna literatura europejska. Poezya i proza ze wszystkiemi działami swemi są tak obszerne, że życie nie wystarcza, aby wszystko przeczytać i poznać. To téż uczeni indyjscy wybierają sobie zwykle jeden dział, np. literaturę prawniczą, i tym zajmują się specyalnie, podczas gdy resztę tylko encyklopedycznie z podręczników znają.

A jakież to w poezyi staroindyjskiéj wielkie bogactwo oryginalności? Inny wyraz uczucia, inne poglądy, inne zapatrywania, inne bogi, inna wiara i, rzeczmy, inne przesądy nęcą swą oryginalnością i niezwykłością. Inny to zupełnie świat! Tam człowiek jeszcze bardziéj zbliżony do bogów, niż w poezyach homerycznych, tam naiwność nadaje człowiekowi nawet pewien stopień boskości, a bogów przyobleka w jeszcze grubsze szaty śmiertelnéj ludzkości, niż to Grecy uczynili.

A jakaż tam fantazya? Ind, patrzący z podziwem na niebotyczne i na grzbiecie swym noszące niejako firmament niebieski góry Himalaja, spoglądając na szerokiém korytem płynący Ganges

którego brzegi ledwie mógł przejrzéć, żyjący w kraju, gdzie cała natura wysiliła się na to, aby wydać tak w królestwie zwierząt, jak i roślin to, co ma najpyszniejszego i największego, przebywający w klimacie, który podbudza fantazyą, nie mógł sobie inaczéj wyobrazić niczego, jak tylko w formie wielkiéj, majestatycznéj, nadludzkiéj. Widział on nawet czasem wielkość tam, gdzie jéj nie było. To jest zarazem klucz do zrozumienia poezyi indyjskiéj. W poezyi téj wszystko wielkie, wszystko nadzwyczajne, wszystko nadludzkie. Jeżeli poeta maluje cnotę, to cnota ta tak musi być moralnie wielką, jak wielkim fizycznie jest jego Dawaladżiri; jeżli znów przedstawia złość, to ta złość w najdzikszych objawia się rysach, jak srożący się lew lub tygrys jego kraju. Ale może właśnie ta naiwność dziecięca, któréj wszystko w większych przedstawia się rozmiarach, pociąga nas i sprawia, że nie odpychamy jéj, tak samo jakbyśmy nie odepchnęli od nas dziecka, naiwnie nam szczebiocącego! Bo cóż ono winno temu, że się mu wszystko większe wydaje, jak nam doświadczeńszém okiem na świat patrzącym?

Bujnéj téj fantazyi Indów przypisać należy także, że dzieła ich niezwykłą odznaczają się objętością. Stworzyć epopeję kilkotomową, jakie posiadają rzeczywiście, odpowiada zupełnie duchowi indyjskiemu.

Miłośnikom zatém poezyi powinna być pożądana niniejsza próba poezyi staroindyjskiéj. Przedstawia ona poezyą epiczną i jest przeszło 120-tą tylko częścią wielkiéj bardzo epopei, p. t. Mahâbhârata, obejmującéj ni mniéj ani więcéj jak 220.000 wierszy.

Literatura staroindyjska posiada, tak samo jak grecka, dwie wielkie epopeje: Râmâjana i Mahâbhârata. Każda z nich sławi jednę z obu dynastyj, które prawdopodobnie w północnéj części Indyj panowały.

Do dynastyi, którą sławi Mahâbhârata—Râmâjana nie obchodzi nas—należał Bharata, którego każdy potomek wedle staroindyjskich reguł gramatycznych zwał się Bhârata (z długiém â); ponieważ zaś „mahâ“ znaczy „wielki“ (por. gr. μέγ-ας; łac. mag-nus, lit. magoju, got. mag-an, słow. mog-ą), dlatego Mahâbhârata znaczy: wielki potomek Bharaty.

Przytoczona powieść jest epizodem z trzeciéj książki powyższego poematu, który w swéj objętości podzielony jest na ksiąg ośmnaście. Każda znów książka rozpada się na pieśni.

Dla lepszego zrozumienia treści przytoczonego wyjątku, podaję z Mahâhbâraty, co następuje. Jeden z potomków Bharaty, imieniem Wjâsa, miał dwóch synów: Dhrtaraszthrę i Pandu. Pierwszy

z nich zrezygnował, choć starszy, po śmierci ojca, dla ślepoty swéj z tronu i zajął się wychowaniem dzieci swoich i brata. On sam miał stu synów, brat zaś tylko pięciu. Synowie Dhṛtaraszthry byli dzikiego i złego charakteru; najstarszy z nich Durjodhana (= Nieuczciwy rycerz) jest personifikacyą wszystkiego złego.

Zupełny kontrast tworzą z nimi synowie króla Pandu, zwani dla tego Pândawami. Są oni mądrzy, waleczni, zacni, w obejściu przyjemni, wogóle przedstawiają pierwiastek dobry. Najstarszy z nich Judhiszthira (= Rycerz waleczny, zacny), do którego się odnosi ów tytuł epopei, jest ideałem rycerza indyjskiego. Ponieważ zaś pierwiastek dobry ze złym nigdy się nie zgadza, dlatego i kuzynowie ci ciągłe mają kłótnie i boje i one to są przedmiotem całéj epopei. W walce téj zwyciężają to synowie Dhṛtaraszthry, to znów synowie króla Pandu. Zdarzyło się raz, że grali w kostki, przyczém Judhiszthira przegrywa królestwo swoje i braci, a nawet żonę i zostaje zmuszony tułać się z braćmi po borach lat dwanaście. Tu spotyka między innymi pokutnika Bṛhadaśwę i ten mu opowiada, aby go pocieszyć i dać nadzieję odzyskania państwa, powieść o królu Nali, który także przez grę w kostki państwo utracił i z żoną rozłączyć się musiał, a przecież w końcu, wytrwawszy zawsze w cnocie, i państwo i żonę odzyskał (1).

Dla wyjaśnienia niektórych szczegółów, zachodzących w podanym niżéj poemacie, niech posłużą jeszcze następujące uwagi:

Do właściwości poezyi epicznéj indyjskiéj pod względem formy należy także, że poeta stara się zawsze uwydatnić, kto z osób jego poematu przemawia; dlatego dodaje zawsze imię lub charakter osoby przemawiającéj. Stąd zaczyna się każda pieśń od słów: „Bṛhadaśwa rzecze", aby przypomnieć czytelnikowi sytuacyą epizodu. Poeta indyjski posuwa się nawet tak dalece, że wśród toku opowiadania, gdy się zmienia osoba mówiąca, nie stara się tego wierszem opisać, lecz poprostu powiada np. Nala rzecze (por. pieśń II). Aby i pod względem formy dać wierny obraz poezyi epicznéj staroindyjskiéj, zatrzymałem właściwość tę w tłómaczeniu.

Inną rzeczą rzucającą się w oczy jest częste użycie wołacza: królu, władco, Bhârato itd. Są to wszystko przydomki Judhiszthiry, któremu, jak nadmieniłem, Bṛhadaśwa opowiada i do którego się w mowie swéj zwraca. Gdy więc coś podobnego zajdzie, odnosi się to do słuchającego Judhiszthiry.

---

(1) Dalsza treść Mahâbhâraty nie należy do krótkiéj téj przedmowy. Ktoby wszakże chciał poznać wątek całego poematu, niech przeczyta: Monier Williams, Indian epic poetry, London and Edinburgh, 1863.

Oryginał jest pisany wierszem rytmicznym 16 zgłoskowym. Wiersz taki byłby naturalnie w języku polskim za nużący; dlatego użyłem wiersza 13 zgłoskowego z rytmem jambicznym. Epicznym wierszem staroindyjskim jest właściwie dwuwiersz „śloka“ zwany. Różni się on wszakże tém od greckiego dystychu, że w nim oba wiersze są równego charakteru, gdy tymczasem w dystychu pierwszy jest hexametr, a drugi pentametr. Ponieważ więc oba wiersze śloki ten sam mają charakter, dlatego można mówić o wierszu pojedyńczym.

Formę nazw zachowałem taką, jaka jest w sanskrycie, pisząc ją naturalnie polską ortografią, przyczém wszakże dla ułatwienia druku zastąpiłem mózgowe: *t*, *d*, *n*, zwyczajnemi zębowemi: *t*, *d*, *n*. Jednego tylko głosu sanskryckiego nie mogłem oddać polskim znakiem, tj. samogłoskowego „r“. Sanskryt posiada bowiem tak samo, jak jeszcze dziś język czeski (1), serbski, słowieński, samogłoskowe „r“ które, wymówione jak samogłoska, tworzy osobną zgłoskę, tak iż np. Bṛ-ha-da-śwa jest wyrazem czterozgłoskowym, co ze względów językowych i metrycznych zachować należało. Oznaczyłem dlatego to „r“ u dołu kropką: ṛ.

Zresztą starałem się tłómaczyć, ile możności, dosłownie, gdyż tylko w ten sposób oryginału się ani nie upiększa, ani nie oszpeca. Że nie wszędzie jednak mogłem dosłowne dać tłómaczenie, wypływa z natury rzeczy. Tłómaczyłem zaś wedle oryginału, wydanego przez prof. Jerzego Bühlera, w: „Third book of sanskrit“. Second edition. Bombay, 1877.

W końcu przychodzi mi wyrazić życzenie, aby nieudolna ta praca zachęciła zdolniejszych może do zajęcia się literaturą staroindyjską i rozszerzania jéj między nami. Jeżeli zdołam kogo do tego nakłonić, będę się czuł szczęśliwy. Do tego dołączam prośbę o pobłażliwość czytelników. Dokonanie tłómaczenia z każdego starszego języka jest trudne; cóż dopiero z sanskrytu, posiadającego nadzwyczaj wiele właściwości językowych, których oddać innym językiem i zachować tę samę piękność myśli i formy zupełnie nie podobna. A ja jestem pierwszy, który się pokusiłem z sanskrytu na polskie tłómaczyć. Na nowinie każdemu się ciężko orze.

Dr. Jan Leciejewski.

---

(1) Por. np. czeskie drn = pol. darń; brh = pol. bróg (stóg); tr - če - tl (trzyzgłoskowe) = pol. sterczeć.

Pieśń pierwsza.

Bṛhadaśwa rzecze:
Syn Wîraseny, Nala, królem był potężnym.
Bogaty w cnoty, piękny, znawca koni,
Przewyższał królów wszystkich, jako Indra bogów,
I jaśniał ponad wszystkich, jako słońce w blasku.
Cnotliwy książę ten Niszadhów znał i wedę (1)
I choć grał w kostki, mówił prawdę, wojskiem silny.
Był mężom i niewiastom miły, bo uprzejmy,
Był łucznik celny, słowem: drugi Manu (2) prawie.
Podobnym był mu u Widarbhów Bhîma mężny.
Bohatyr ten, obfity w cnoty, nie miał dzieci,
Choć, pragnąc ich, dokładał starań jak największych.
Odwiedził go raz brahman mądry, zwan Damana.
Przyjęli go potomstwa żądni, jak przystało,
Król Bhîma z żoną, królu, gościa czcząc zacnego.
Z wdzięczności za to zesłał im Damana w darze
Córeczkę jako perłę i trzech synów tęgich:
Cną Damajantę, Damę, Dantę i Damanę,
Cnotami wszemi słynnych, straszną mocą strasznych.
Najbardziéj jednak szczęściem, kształtem i kibicią
Wysmukłą zasłynęła piękna Damajanti.
Gdy doszła lat dziewiczych, sto służebnic zdobnych,
Sto przyjaciółek, jako Siaczę (3), ją obsiadło.
Błyszczała tam Bhîmówna, klejnotami lśniąca,
W tych dziewic gronie, cudna, jako błyskawica.
Ni między bogi, ni półbogi nie widziano
I nie słyszano o tak cudnéj krasawicy.
I Nala, jako tygrys, nie ma rówiennika.
Z postaci istny to Kandarpa (4) w ciele ludzkiém.
I stało się, że wobec Damajanty Nalę,
A wobec Nali Damajantę wysławiano,
Tak iż pochwały słysząc swe nawzajem ciągle.
Nie widząc się poczęli kochać, o Kauntejo! (5)
Nie mogąc ukryć dłużéj uczuć swych już Nala,

---

(1) Księgi religijne Indów. (2) Jeden z ojców rodzaju ludzkiego, których w każdéj „kalpie" (przeciąg 432 000.000 lat) było czternastu. (3) Siaczi, żona Indry, najwyższego boga Indów. (4) Przydomek Kâmy, boga miłości. (5) Przydomek Judhiszthiry, któremu Bṛhadaśwa opowiada i do którego się w mowie zwraca.

Do gaju poszedł izbom niewiast poblizkiego,
Gdzie ujrzał wnet łabędzie w złote pióra strojne.
Z chodzących w gaju ptaków gdy jednego schwycił,
Powietrzny goniec ludzkim głosem rzecze Nali:
„Ach! pozwól żyć mi, królu! oddam ci przysługę!
Twe imię sławić będę wobec Damajanty,
By myśli jéj zajęte tobą tylko były“.
Tak zagadniony puścił zaraz król łabędzia.
Łabędzie wtenczas podążyły w kraj Widarbhów.
W Widarbhów kraj przybywszy, blizko Damajanty
Usiadły wszystkie. I spostrzegła stado ptaków,
A widząc z gronem dziewic ptaki dziwnopióre,
Poczęła chwytać ucieszona je pośpiesznie.
Łabędzie wtenczas na wsze strony się rozpierzchły,
Tak iż za każdym jedno pogoniło dziewczę.
Za którym zaś pobiegła Damajanti chyżo,
Ten głosem ludzkim do niéj tako się odezwał:
„O Damajanti! Król Niszadhów, Nala zwany,
Jak Aświnowie (1) piękny; z ludzi nikt mu równy,
Małżonką jego gdybyś była, pięknolica,
Owoców pełen byłby żywot twój, przekrasna!
Gandharwów (2), bogów, ludzi, wężów i Rākszasów (3).
Oglądaliśmy; wszakże żaden mu nie równy.
Jak Nala męzczyzn krasą, tak tyś dziewic perłą!
Małżeństwo pięknéj z pięknym doskonałe będzie“.
Tak zagadniona od łabędzia Damajanti,
Odrzeknie jemu: „Powiédz równe słowa Nali!”
Przyrzekłszy to widarbhskiéj córce, mężowładco,
Odleciał łabędź i odpowiédź zaniósł Nali.

Pieśń druga.

Brhadaśwa rzecze:

Łabędzia słowy Damajanti upojona,
Miłości swéj dla Nali całkiem się oddała.
Chodziła smutna, blada, zamyślona ciągle,
Wychudła i zbiedniała od przeczęstych westchnień.
Jak obłąkana patrzy w niebo dzikiém okiem

---

(1) Bogowie światła, odpowiadają greckim Dyoskurom. (2) Śpiewacy niebiescy, coś w rodzaju naszych Cherubinów (3) Rodzaj półbogów, odpowiadających greckim Demonom.

A zżółkła twarz jéj świadczy o miłości szale.
Daremnie szuka w strawie, we śnie lub zabawie
Uciechy. Dzień i noc czuwając, we łzach tonie.
Widarbhów władcy wtenczas Damajanty drużki
Doniosły o żałosnym Damajanty stanie.
Gdy to usłyszał Bhîma od służebnic grona,
Głęboką uczuł boleść nad nieszczęsną córką.
Ujrzawszy wszakże sam ją, poznał, iż dojrzała
I nadszedł czas już, by wybrała męża sobie.
Zaprosił więc władyków, mężowładco, prosząc,
By udział wziąć raczyli przy wyborze męża.
Gdy władcy usłyszeli, że ma Damajanti
Wybierać męża sobie, wszyscy szli do Bhîmy.
Podwórze słońmi, końmi, wozy napełnili,
Ubrani będąc w wieńce strojne i klejnoty.
Władyków tych szlachetnych Bhîma silnoręki
Ugościł wedle stanu; we czci każdy mieszkał.
W tym samym czasie dwu brahmanów mądrych, świętych
Chodziło tu i owdzie po królestwie Indry:
Nârada i Parwata, obaj mądrzy, święci.
Zwiedzili także bogowładcę, w dom przyjęci.
Uczciwszy ich Maghawan (1), pytał, jak się mają
I jak im zdrowie służy i gdzie wszędzie byli.

Nârada rzecze:

„Szczęśliwie wiedzie nam się i byliśmy wszędzie!
I wszędzie, Maghawanie, są królowie zdrowi.“

Bṛhadaśwa rzecze:

Nârady mowę usłyszawszy, Wali-Wṛtry
Pogromca (2) rzecze: „A królowie, praw obrońcy,
Co z życia wzgardą w boju śmierć ponoszą chrobrze.
I których niebo jest i krowa szczęściodojna (3),
Gdzież są rycerze ci? nie widzę ich przybyłych
W gościnę do mnie, choć ich kocham i szanuję!
Po słowach Siakry (4) rzecze święty mu Nârada:
„Widarbhów króla córka, Damajanti, słynie
Pięknością nadzwyczajną między dziewicami.

---

(1) Przydomek Indry.

(2) Pogromcą Wali i Wṛtry jest Indra; Wala i Wṛtra są demonami bogom wrogimi.

(3) Wedle mitologii indyjskiéj istnieje w niebie krowa, która godnym tego zsyła szczęście i spełnia wszystkie życzenia.

(4) Przydomek Indry.

W niedługim czasie będzie męża wybierała,
I do niéj dążą króle, królewicze zewsząd.
Tę perłę dziewic chcą mieć króle, królewicze,
Chcą posieść ją usilnie, Wali-Wrtry gromicielu!"
Gdy to opowiadano, światowładcy z Agnim
Przybyli nieśmiertelni przed tron bogów króla,
I wszyscy usłyszeli mowę Nâradową.
I rzekli wszyscy: „Pójdźmy także tam z drugimi!"
I wszyscy światowładcy wraz z licznymi wozy
W Widarbhów kraj dążyli, jak królowie wszyscy.
I Nala usłyszawszy o władyków zjeździe,
Podążył także, marząc o swéj Damajancie.
Ujrzeli go bogowie w drodze, stojącego
Na ziemi; wtenczas równał się Manmacie (1) z wzrostu.
I widząc go jaśniejącego jako słońce,
Stanęli zadziwieni nad nim światowładcy.
A zatrzymawszy wozy w biegu nieśmiertelni,
I zszedłszy z wyżyn nadpowietrznych, zawołali:
„Stój, Niszadhczyku! królów królu prawdomówny!
Przysługę wyświadcz nam i posłem bądź-że naszym!"

Pieśń trzecia.

Brhadaśwa rzecze:

I obiecując rzecze Nala: „Spełnię wam to!"
A równocześnie pytał ich, pokornie stojąc:
„Kto wy jesteście? komu od was wieść poniosę?
I co mam działać dla was? opowiedźcie składnie!"
Na słowa Nali tak odrzecze mu Maghawan:
„Niebianów widzisz w nas dla Damajanty tutaj
Przybyłych. Jestem Indra, to jest Agni, a to
Wód władca; tamten Jama, ludzkich ciał niszczyciel (2).
Przybycie nasze oznajm Damajancie, mówiąc:
„„Bogowie tu przybyli, by pozyskać ciebie:
Król bogów Siakra, Agni, Jama i Waruna (3)
Jednego z bogów tych w małżeństwo wybierz sobie!""

(1) Przydomek Kâmy, boga miłości.

(2) Agni, bóg ognia; Jama, bóg śmierci i sędzia umarłych, równa się greckiemu Plutonowi.

(3) Waruna, bóg wód, jak u Greków Neptun.

Na słowa Siakry te pokornie odrzekł Nala:
„Nie ślijcie mnie, co w tymże celu tu przybyłem!
Jak może człowiek ze zdrowymi zmysły spełniać
Zlecenie takie za drugiego? Miejcie litość!“
Bogowie rzekli:
„Wyrzekłeś wprzódy: „„Spełnię wam to““, Niszadhczyku!
Dlaczegóż się więc wahasz? Idź bez zwłoki, Nalo!“
Brhadaśwa rzecze:
Na słowa bogów tak odezwie się Niszadhczyk:
„Jak zdołam wejść w dom czujną strażą otoczony?“
„Wstęp znajdziesz“—odpowiedział Siakra po raz wtóry.
I Nala rzekłszy: „Pójdę!“ szedł w dom Damajanty.
Zobaczył tam Bhîmównę w towarzyszek gronie
Urodą jaśniejącą i wdziękami piękną,
I delikatną i wysmukłą, długooką.
Zaciemniającą blask księżyca swą pięknością.
Gdy ujrzał nadto uśmiech jéj uroczy, zawrzał
Miłością tém silniejszą, lecz nieszczęsny rozkaz
Przytłumił ją. Na widok jego krasawice
Skoczyły z siedzeń wdziękiem jego uderzone.
Odezwać się nie śmiały, uwielbienia pełne.
„Jak piękny! Jaka postać! jaka męskość w twarzy!
Kto jest on? Bóg czy Jaksza (1), czy Gandharwa może?“
Tak myśląc nie zdołały słowa rzec żadnego
Z podziwu nad urodą jego krasawice.
Gdy uśmiechnięty stał tak, pierwsza Damajanti
Odezwie się do Nali uśmiechnięta także:
„Kto jesteś, cudny mężu, miłość wzbudzający,
Co jako bóg się zjawiasz? wiedzieć chcę od ciebie!
Jak wszedłeś tutaj od nikogo niewidziany?
Strzeżony dom mój pilnie, a król-ojciec srogi!“
Tak zagadniony Nala rzecze Widarbhównie:
„Przed sobą Nalę widzisz; posłem jestem bogów:
Bogowie: Siakra, Agni, Jama i Waruna
Żądają ciebie; wybierz więc jednego z bogów!
Ich mocą także wszedłem tutaj niewidziany.
Gdym wchodził w dom, nikt mnie nie widział, nikt nie wstrzymał.
Z tą wieścią, szczęsna, posłan jestem ja od bogów;
Słyszałaś rzecz mą; postąp wedle woli twojéj!“

(1) Rodzaj gieniuszów.

Pieśń czwarta.

Brhadaśwa rzecze:
Oddawszy bogom hołd, z uśmiechem rzecze Nali:
„Małżonkę pojmij! Cóż ci więcéj mam powiedzieć?
Osoba moja i co moje jest, za prawdę
To wszystko twoje téż! Wesele zgotuj chyżo!
Łabędzi mowa pali serce moję, władco!
Dla ciebie, bohatyrze, królów tu zwołano,
Jeżeli ty mną wzgardzisz, która cię ubóstwiam,
Nie wzdrygnę się przed wodą, ogniem lub trucizną.“
Na mowę tę odrzecze Nala Widarbhównie;
„Jak możesz chcieć człowieka w bogów obecności?
Kurzowi światotwórców tych szlachetnych, wielkich
Nie jestem nawet równy. Ku nim zwróć twe myśli!
Nie czyniąc woli bogów, człowiek śmierć ponosi.
Dla dobra mego wybierz z bogów męża sobie!
Niepokalane szaty i niebieskie wieńce
I dyamenty, boga wziąwszy, nosić będziesz!
Hutasię (1), bogów pana, który świat ten cały
Zdusiwszy, łykać przywykł, któraż nie chciałaby?
Lub boga, przed którego berłem drżą z bojaźni
Gromady wszystkie stworzeń, któraż nie chciałaby?
Lub Dajtjów i Dânawów gromiciela (2) cnego,
Książęcia bogów wszystkich, któraż nie chciałaby?
Lub jeźli wolisz, wybierz sobie z światotwórców
Warunę! słuchaj rady przyjaciela twego!“
Po słowach takich Nali rzecze Damajanti
Ze łzami w oczach głosem smutnym i żałosnym:
„Złożywszy hołd niebianom wszystkim, ludzi władco,
Wybieram ciebie mężem; ta jest wola moja!“
Do drżącéj i stojącéj ze czcią rzecze Nala:
„Jak mogę, ja posłaniec bogów, na to przystać?
Jak mogę, dawszy słowo zwłaszcza bogom, w sprawie
Ich własnéj działać, korzyść *moję* mieć na oku?
Nie to mi rozkazano! Gdy nastąpi ma rzecz,
Natenczas za mną mówić będę; czyż nie słusznie?“
Radosną łezkę kryjąc w oku Damajanti,

---

(1) Przydomek boga Agni.
(2) Przydomek Indry; Dajtje i Dânawy są demonami bogom przeciwnymi.

Królowi Nali zwolna uśmiechnięta rzecze:
„Znalazłam środek tobie nieszkodliwy, władco,
Przez który wina żadna cię nie spotka, królu!
Ty, mężu zacny, i bogowie z Indrą w przedzie
Przyjdziecie wszyscy razem na wyboru miejsce.
Ja wtenczas wobec bogów, ciebie, królu dzielny,
Wybiorę mężem; tak unikniesz następstw wszelkich."
Po słowach Widarbhówny Nala, o władyko,
Podążył tam, gdzie niebowładcy go czekali.
Wnet idącego zobaczyli światotwórcy
I nagląc o rzecz całą go wypytywali:
„Czyś widział, królu, Damajantę miłolicą?
Cóż każe nam oznajmić wszystkim? Powiedz królu!"
Nala rzecze:
„Posłany od was do mieszkania Damajanty
Przebyłem bramę wielką i strzeżoną pilnie;
Wstępującego mnie tam żaden człek nie widział
Z wyjątkiem córki króla;—wszak to waszą mocą.—
Widziałem drużki jéj i one mnie widziały.
Zdziwione były wszystkie, widząc mnie, niebianie!
Gdym was oznajmił, białogłowa owa, rzekłbym,
Szalona mnie wybiera, o bogowie święci;
Tak mówiąc: „„Niech przybędą z tobą, mężu dzielny,
Bogowie razem, tam gdzie wybór ma nastąpić.
W ich obecności ciebie ja wybiorę, Nalo!
W ten sposób ujdziesz, silnoręki, następstw wszelkich.""
Tak wypełniłem ściśle rozkaz wasz, bogowie;
We waszych rękach wszechmoc, bogi nieśmiertelne!"

Pieśń piąta.

Brhadaśwa rzecze:
Gdy nadszedł czas stosowny w biegu doby świętéj,
Rozkazał Bhîma zwołać królów na samobór (1),
Na wieść tę ludziowładcy wszyscy zakochani,
Pobiegli śpiesznie, chciwi zyskać Damajantę.
Złotymi słupy lśniącą i błyszczącą bramą
Na scenę weszli dumnie, jako lwy na górę.

(1) Samobór (po staroind. svajamvara) jest to zwyczaj, wedle którego panna, doszedłszy pełnoletności, wybiera sobie publicznie z przybyłych mężczyzn sama męża. Powyższa pieśń daje nam opis takiego samoboru.

Na ławach siedli wkoło chrobrzy możnowładcy,
Ubrani w woniejące wieńce i klejnoty.
Widziałeś tam ramiona silne jako pałki,
Foremne, gładkie i w pięć palców zakończone.
Jak gwiazdy lśniły twarze królów pięknym włosem
I okiem ślicznem i nadobnym nosem zdobne.
Na scenę weszła tedy Damajanti cudna,
Zwracając na się oczy i umysły królów.
Na członkach jéj zawisnął chciwy wzrok wielmożów.
I nikt z patrzących nie mógł stamtąd go oderwać.
Gdy wywołano nazwy królów, o Bhârato,
Ujrzała Damajanti pięciu mężów równych.
A widząc wszystkich całkiem podobnego wzrostu,
W zwątpieniu nie poznała, który z nich jest Nala,
Gdyż każden, na którego spojrzy, równy Nali.
Rozmyśla w duszy więc dziewica skłopotana:
„Jak poznam bogów? jak odróżnię króla Nalę?“
Tak myśli w głębi duszy smutna Widarbhówna
I znów rozważa znane jéj znamiona bogów:
„Ze znamion bogów, jakich starsi mnie uczyli,
Nie widzę żadnych u stojących tu na ziemi.“
Dumała długo, rozważała znów dokładnie,
Aż w końcu bogów samych prosić umyśliła.
Oddawszy cześć więc bogom mową, jak i myślą
I ręce wzniósłszy drżąc pokornym rzecze głosem:
„Przez prawdę, że łabędzie o tém mi doniosły,
Iż Nala mnie za żonę wybrał, wskażcie mi go!
Przez prawdę, że ni mową, ani myślą nawet
Nie kłamię, wskażcie mi go, o niebianie, przecie!
Przez prawdę, że od bogów on mi przeznaczony mężem,
Bogowie nieśmiertelni, wskażcie mi go wreszcie!
Przez prawdę, że co ślubowałam Nali, winnam
Dotrzymać także, wskażcie mi go, proszę,
I kształt przybierzcie wam właściwy, światotwórcy,
Bym poznać mogła ludziowładcę Punjaślokę (1)!“
Żałosną Damajanty skargą tą wzruszeni,
Bogowie postać swą na prośbę jéj przyjęli.
Widziała tedy bogów z okiem nieruchomém,
Bez kurzu, w wieńcach świeżych; ziemi nie tykali (2).

---

(1) Przydomek Nali.

(2) Po tych znamionach poznawano bogów; tuż za nimi są podane znamiona charakteryzujące człowieka.

Ż podwójnym cieniem zaś i wieńcem zwiędłym, spocon
Na ziemi stał Niszadhczyk, okiem chwiejném znaczny.
Poznawszy bogów zaś i króla Punjaślokę,
Wybrała Niszadhczyka mężem, o Pândawo (1)!
Wstydliwie potém szaty jego kraj schwyciwszy,
Prześliczny wieniec na ramieniu mu złożyła,
Spełniając w sposób taki wybór krasawica.
I głośny szmer podziwu rozległ się po scenie
Wśród bogów, ludzi i brahmanów, o Bhârato,
Podziwiających i sławiących piękność Nali.
Do Damajanty zaś Kaurawjo (2), pięknorosłéj,
Radośnym Nala głosem tako się odezwie:
„Ponieważ w bogów obecności, krasawico,
Mnie śmiertelnika bierzesz, wiernym będę tobie!
Dopóki tchnienia będzie w piersi méj, dziewico,
Dopóty będę z tobą; prawdę tę ci mówię!“
Słowami temi uszczęśliwił Damajantę.
Oboje dziś szczęśliwi; lecz i w szczęściu nawet
Wspomniawszy bogów, o opiekę ich prosili.
Bogowie święci téż zadowoleni całkiem
Z wyboru wszyscy, osiem darów dali Nali.
Dar oglądania bogów i szczęśliwość wieczną
Dał Nali Siakra, mąż najulubieńszy Siaczy.
Dar pojawiania się gdziekolwiek dał mu Agni
I ogień sam się zjawiający dał mu także.
Straw przyprawianie i cnót biegłość dał mu Jama.
Wód rządca wód dostatek w każdém miejscu dał mu,
I wieńce wonne; wszyscy wraz zaś parę dziatek.
Rozdawszy dary, bogi w niebo powrócili,
Władyki także, znając wybór Damajanty,
Wesoło odjeżdżali, jako byli przyszli.
Po bogów i władyków wyjechaniu sprawił
Wesele chętnie Bhîma młodym nowożeńcom.
Mieszkawszy tam do woli Nala, mąż niezrównan,
Odjechał, z Bhîmą pożegnawszy się, do domu.
Weselem i radością błyszcząc, jako słońce,
Poddanych jednał sobie, sprawiedliwym będąc.
Rumaki, jako król Jajati lub Nahusza (3),

(1) Przydomek Judhiszthiry, do którego opowiadający Brhadaśwa się zwraca.
(2) Przydomek Judhiszthiry.
(3) Jajati i Nahusza, dwaj królowie sławni ze składania rumaków na ofiarę.

W ofierze bogom składał lub też inne dary,
Lub też naprzemian w gajach ślicznych i ogrodach
Zabawiał się wraz z Damajantą boski Nala,
I zrodził Nala z Damajanty niezrównanéj
Chłopczyka Indrasenę z córką Indrasenką.
Tak ofiarując i rozkoszy używając
Panował nad szczęśliwym krajem król szczęśliwy.

Pieśń szósta.

Brhadaśwa rzecze:
Wracając z samoboru Damajanty bogi.
Dwâparę z Kalim (1) razem w drodze zobaczyli.
Kalemu rzecze tedy Siakra, wrogogromca:
„Z Dwâparą dokąd dążysz Kali, powiedz.“ Na to
Odpowie Kali: „Na samobór Damajanty;
Przybywszy tam wybiorę ją, jak serce każe.“
Odrzecze jemu z śmiechem Indra: „Już za późno!
Wybrany został Nala w naszéj obecności.“
To usłyszawszy Kali gniewem zawrzał wielkim
I bogom hołd oddawszy, rzecze słowa takie:
„Człowieka wobec bogów mężem wybrać śmiała?
Niech za to słusznie kara spotka ją straszliwa!“
Kalemu rzecze wszakże święte grono bogów:
„Za naszém pozwoleniem został wybran Nala.
I która-ż nie wzięłaby szlachetnego Nali,
Co prawa wszystkie zna i wielkie spełnił śluby,
Co czytał wszystkie księgi wedy i akhjanę? (2)
Bogowie w domu jego zawsze ofiar syci,
A on uczciwy, stały, zacny i spokojny,
I światotwórcom samym prawie wyrównywa!
Takiego Nalę kto przeklinać chciałby, Kali,
Ten sam przeklątby siebie, sam zabiłby siebie!
Takiego Nalę kto przeklinać chciałby, Kali,
Niech wpadnie lepiéj w trosk jaskinię, w mórz przepaście!“
To rzekłszy bogi, poszli. Kali zaś Dwâparze:
„Nie zdołam—rzecze—wściągnąć gniewu! wstąpię w Nalę,

---

(1) Dwâpara, personifikacya trzeciego wieku świata; Kali, demon i personifikacya gry w kostki. Miał on tylko władzę nad tym, kto zaniedbał oczyszczenia rytualnego przed spełnieniem czynności religijnych.

(2) Akhjana, tradycya religijna Indów.

Wyrzucę go z królestwa, żonę mu odbiorę!
Ty tylko w kostki wszedłszy, pomoc nieś skuteczną.

Pieśń siódma.

Brhadaśwa rzecze:
Umowę tę zawarłszy Kali i Dwâpara
Udali się na miejsce, gdzie król Nala bawił.
Szukając sposobności długo czekał Kali,
Aż wreszcie przecie w roku znalazł ją dwunastym,
Gdy Nala, choć po—moczu chodził, modły czynił,
Nie oczyściwszy nóg wprzód; wtenczas wszedł weń Kali
A w mocy mając Nalę, poszedł do Puszkary
I rzekł mu: Idź i zagraj z Nalą w grę kostkową!
Zwyciężysz bowiem Nalę, gdyż ci dopomogę,
I wygrasz w grze Niszadhów państwa, własność Nali!
Po słowach tych Puszkara udał się do Nali,
A Kali stał się bykiem (1) krów Puszkarze w kostkach.
Przybywszy zaś do Nali, rzecze mu Puszkara (2),
Pogromca wrogów: „Grajmy w byka, drogi bracie!"
Nie zdołał oprzeć się wezwaniu król szlachetny,
Z małżonki obecności szczęście sobie wróżąc.
W grze wszakże tak się był rozpalił, że z przyjaciół
Nie zdołał nikt od gry szalonéj go odciągnąć,
Mieszczanie nawet z doradcami, o Bhârato,
Przybyli ujrzeć króla w grze zapalonego.
Woźnica poszedł wtenczas do królowéj z wieścią:
„Mieszczanie nasi stoją przed pałacu bramą!
Niech Nali kto oznajmi: „„Naród twój się zebrał,
Nie znosząc klęski króla, praw ich strzegącego"".
Nieszczęściem tedy pchana i ze łzami w oczach
Królowa smutkiem przygnębiona rzecze Nali:
„O królu! naród twój u bramy z doradcami
Oglądać pragnie ciebie, pełen czci dla króla."
Lecz na błagania pięknookiéj owładnięty
Król przez Kalego nic nie odpowiedział nawet.
Doradcy wtenczas wszyscy z mieszczanami wśród mów:
„Nie ten, co dawniéj!" smutni do chat powrócili.

---

(1) Bykiem zwała się główna kostka, od któréj także owa gra tę samę nazwę otrzymała. Reszta kostek zwała się krowami.

(2) Puszkara był bratem Nali.

Gra Nali zaś z Puszkarą trwała, Judhiszthiro,
Miesiące całe. Punjaśloka wciąż przegrywał.

Pieśń ósma.

Bṛhadaśwa rzecze:
Tak szalonego widząc króla Damajanti
I w grze zapalonego, jakby był bez zmysłów,
Bojaźni i boleści pełna Bhîmy córa
Przemyśliwała, królu, nad szaleństwem męża.
A bojąc się nieszczęścia, chcąc mu też zaradzić
—Widziała bowiem Nalę, całkiem ogranego—
Odezwie się do Bṛhatseny, mamki swojéj,
Kobiety wiernéj, doświadczonéj i wymownéj:
„Idź, Bṛhatseno, i zwoławszy rajców, oznajm,
Ze skarbów co przegrano i co pozostało."
Na tę wiadomość rajcy wszyscy się zebrali
I mówiąc sobie: „O nas idzie!" szli do Nali.
I po raz wtóry przyszli wierni przed dom jego,
Lecz on, choć żona go błagała, został przy grze.
Na mowę swą głuchego całkiem widząc męża.
Do komnat zawstydzona poszła Damajanti.
Lecz słysząc, iż w grze Nala ciągle ma nieszczęście
I wszystko traci, rzecze mamce po raz wtóry:
„Idź, Bṛhatseno do Wârszneji, do woźnicy,
I przywiedź go; tak każe Nala dla spraw ważnych!"
Na słowa Damajanty Bṛhatsena wierna
Woźnicę przywieść rozkazała mężom mądrym.
Wârszneji zaś Bhîmówna pochlebiając rzecze
Łagodnym głosem, słabą stronę jego znając:
„Wszak wiesz, iż król twe słowo zawsze wielce ceni!
W nieszczęściu jego więc z pomocą śpiesz mu chętnie!
Im bardziéj władca nasz przegrywa w grze z Puszkarą,
Tym bardziéj jeszcze rośnie żądza jego do gry,
I w miarę jak Puszkarze kostki są powolne,
Tak w kostkach Nali wciąż nieszczęście się objawia.
Pokrewnych i przyjaciół mów nie słucha wcale
I na błagania moje nawet głuchym stał się,
—Choć Nali szlachetnego winą to nie będzie,
Że mowy méj nie slucha wcale w swém szaleństwie—
Pomocy twéj więc żądam; spełnij prośbę moję!
—Bo miłość ma dlań nie ustanie chyba z śmiercią—

Zaprzęgnij drogie Nali konie, szybkie jak myśl sama,
I dzieci nasze wziąwszy, podąż do Kundiny!
U krewnych oddasz tam me dzieci, wóz i konie
I mieszkać sam tam możesz lub iść, dokąd pragniesz."
Wârszneja, sługa Nali, Damajanty mowę
Ogłosił rajcom całą, rady ich żądając.
Po rozważeniu rzeczy dostał pozwolenie.
Zabrawszy zatém dzieci pędził do Widarbhów.
Oddawszy konie tu woźnica i skarb woza:
Dziewczynkę Indrasenkę z chłopcem Indraseną
Pożegnał Bhîmę, stroskan wielce o los Nali.
Odszedłszy stamtąd poszedł do Ajodhji miasta;
Tu udał się do króla Ṛtuparny, smutny,
I za woźnicę służył mu, o królu mężny!

Pieśń dziewiąta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Po wyjechaniu Wârsznejowém państwo całe
I wszystko mienie Punjaśloce wziął Puszkara.
I uśmiechnięty, królu, rzekł zgranemu Nali:
„Pograjmy jeszcze! Jaką stawkę stawisz teraz?
Masz tylko Damajantę, resztę już zabrałem.
O Damajantę grajmy więc, jeżeli pragniesz!"
Puszkary mową ciężko zranion Punjaśloka
Z boleści w sercu wielkiéj nic nie odpowiedział.
A myśl Puszkary odgadując, rozgniewany
Zdjął z ciała wszystkie swe klejnoty, mąż ten sławny,
I jedną szatą odzian, na pół nagi, smutny
Oddalił król się ścigan losem mu przeciwnym.
I Damajanti, w jednéj szacie téż, szła za nim.
Tułając się bez dachu przebył z nią trzy noce.
Puszkara zaś, o królu, w mieście głosić kazał:
„Kto z Nalą waży się przestawać, śmiercią zginie!"
Zakazu więc i złości bojąc się Puszkary,
Mieszczanie nie przyjęli go w gościnę, królu!
W sąsiedniém mieście także przyjąć go nie chciano.
Trzy noce więc się błąkał, wodą samą żyjąc.
Lecz chociaż z głodu drzew korzonki tylko jadał,
Szedł daléj jednak; Damajanti zaś wciąż za nim.
Po wielu dniach, znów głodu męczarniami trapion,
Zobaczył ptaków stado z pióry złocistemi.

Pomyślał tedy sobie mężny król Niszadhów:
„Dziś będę miał pokarmu dosyć! skarb to dla mnie!“
I szatą rzucił na nie spodnią swą jedyną.
Lecz ptaki szatę wziąwszy wzniosły się w powietrze.
A wznosząc się wołały słowa te do Nali,
Nagiego widząc go na ziemi i smutnego:
„Jesteśmy kostki, głupcze, żądne szaty twojéj;
Niemiło było nam, żeś z szatą odszedł jeszcze.“
Odlatujące widząc kostki te a siebie
Bez szaty Punjaśloka rzekł do Damajanty;
„Nieszczęsne kostki, które z państwa mnie wyzuły,
Że głodny i zmęczony darmo szukam strawy,
Dla których mnie w gościnę nikt dziś przyjąć nie chce,
I szatę mi unoszą, w ptaki się zmieniwszy!
W nieszczęście wielkie wprowadziłem cię bezmyślny!
Ja, mąż twój! słuchaj zatém rady ci życzliwéj!
Dróg wiele wiedzie do Dekhanu przez Awanti (1)
I przez skaliste szczyty góry Ṛkszawanta.
Tu góra Windhja i Pajosznja, rzeka morska;
Na drodze pustelń wiele, i owoców dużo.
Tu wiedzie droga do Widarbhów, tam prowadzi do Kosialów,
Lecz południowa wprost prowadzi do Dekhanu.“
Te słowa Nala, troskliw o los Damajanty,
Rzekł zrozpaczony żonie swojéj, o Bhârato!
Lecz Damajanti łzami się zalawszy, smutnie
Odrzecze Nali słowy z płaczem mieszanemi:
„Drży serce moje, członki wszystkie mi tężeją,
Gdy zamiar twój rozważam, królu i małżonku!
Jak zdołałabym cię opuścić, coś wyzuty
Z królestwa, bogactw, szaty tu w bezludnym lesie,
Coś znużon, zgłodzon i nieszczęściem twém przejęty?
Ja w lesie strasznym tym znużenie twe rozpędzę.
Małżonka bowiem wedle lekarskiego zdania
W dolegliwości każdéj środkiem jest najlepszym.“

Nala recze:

„Jak rzekłaś, niech się stanie, piękna Damajanti!
Nad żonę niéma przyjaciela, ni lekarstwa.
Ja nie opuszczę ciebie; czegóż się więc boisz?
Nie ciebie, ale mnie samego opuściłbym przez to!“

---

(1) Imię miasta, zwanego dziś: Uddżajini.

Damajanti rzecze:
„Jeżeli, królu, mnie opuścić nie chcesz tutaj,
Dla czegoś pokazywał drogę do Widarbhów?
Nie mogę pojąć, czemu mię opuścić pragniesz?
—Ach! zmysły straciłabym, gdybyś mnie opuścił!—
I czemu drogę mi wskazujesz ciągle, mężu?
Powiększasz przez to boleść mą, rycerzu boski!
A jeżli w myśli masz, ażebym szła do krewnych,
Toć pójdźmy razem do Widarbhów, masz li wolą!
Widarbhów król cię uszanuje, sławodawco,
I czczony, królu, mieszkać będziesz w domu naszym."

Pieśń dziesiąta.

Nala rzecze:
„Godnością równy-m ojcu twemu, bez wątpienia!
Lecz w biedzie będąc jakiéjkolwiek, doń nie pójdę.
Bogaty i szczęśliwy stamtąd odjechawszy,
Jak śmiałbym ja tam stanąć, powód smutku twego?"
Bṛhadaśwa rzecze:
Tak rozmawiając w drodze z Damajantą Nala,
Pocieszał wierną żonę swoję, na pół nagą.
Idąc tak odziani jedną tylko szatą,
Spragnieni, głodni przyszli do chałupy jakiéjś.
Do chaty wszedłszy bez wahania król Niszadhów
Z Bhîmówną, usiadł razem z nią na twardéj ziemi.
I choć bez szaty i bez łoża, okurzeni,
Zasnęli ze znużenia, na tle gołéj ziemi.
Szczególnie Damajanti trudem i nieszczęściem
Złamana i znużona snem usnęła twardym.
Jednakże nie tak smacznie, jako Damajanti,
Spał Nala, smutku pełne serce i myśl mając.
O stracie państwa, opuszczeniu przez przyjaciół
I o tułactwie w lesie myśląc, tak rozważał:
„Cóż mam uczynić teraz? jak postąpić sobie?
Cóż lepsze dla mnie, śmierć czy téż osamotnienie?
Z miłości tylko ku mnie cierpi ona smutek;
Beze mnie zaś się uda do rodziny może!
Wraz *ze mną* spotka ją *nieszczęście* bez wątpienia;
Beze mnie wątpię znowu, czy ją spotka *szczęście.*
Tak rozmyśliwszy i głęboko rozważywszy,
Opuścić Damajantę za najlepsze uznał.

„Nie może jéj na drodze dla postaci świętéj;
Dla cnoty z ócz świecącéj nikt nic złego zrobić!“
Tak myśląc wciąż o Damajancie przez Kalego
Niecnego dał się uwieść, aby ją porzucić.
Lecz widząc siebie bez ubrania, Damajantę
Zaś w szacie całéj, przeciąć szatę postanowił.
„Jak przetnę szatę, lubéj méj nie budząc ze snu?“
To myśląc wstał i obszedł chatę król wokoło.
I chodząc tu i owdzie znalazł w kącie chaty
Miecz Nala ostry, porzucony tam bez pochwy.
Uciąwszy nim połowę szaty, odział się nią
I, śpiącą zostawiając żonę, uciekł niecnie.
Lecz żal mu było; wrócił więc do chaty znowu,
A widząc Damajantę, płakać zaczął gorzko.
„Ta, któréj wiatr ni słońce dawniéj nie widziało,
Ta dziś na ziemi w kącie chaty śpi samotna,
Z uśmiechem w twarzy, piękna, w szczęścia krótkim szale!
Co powie, gdy się zbudzi i pół szaty ujrzy?
Przeze mnie opuszczona, sama jedna w lesie,
Żmij, zwierząt pełnym, błąkać będzie się nieboga!
Wasowie (1), Âditjowie (2), Rudry (3) i Aświny
Wraz z Marutami (4) niech cię strzegą; w cnocie tarcz twa“.
To rzekłszy do małżonki śpiącéj, niezrównanéj,
Pędzony przez Kalego uszedł śpiesznie Nala.
Lecz znów się wraca król do chaty, znów odchodzi,
Tu przez Kalego, tam miłości siłą ciągnion.
Jakoby rozdwojone było serce jego,
To biegnie, to ku chacie wraca, jak huśtawka.
Lecz przez Kalego odciągnięty odszedł Nala wreszcie,
Małżonkę śpiącą opuszczając wśród łez gorzkich.
Obałamucon przez Kalego i zamyślon
Szedł smutny lasem, żonę zostawiając samą.

Pieśń jedenasta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Gdy Nala poszedł, Damajanti odpocząwszy
Zbudziła się przecudna, sama jedna w lesie.

---

(1) Wasowie, nazwa ośmiu półbogów światła. 2) Aditjowie, dwunastu bogów światła, a zatém dobrych bogów. (3) Rudry, bogowie burzy; było ich jedenastu (4) Bogowie wiatrów.

Nie widząc wszakże męża, z smutku i boleści
Zaczęła wołać głośno Niszadhczyka, królu!
„Hej! mężu! królu! panie! czemuż mnie opuszczasz?
Zabiją mnie, zaginę tu w bezludnym lesie!
Czy tak twe słowo tylko dotrzymujesz, królu?
Wszak dałeś mi je, a dziś śpiącą mnie opuszczasz!
Jak mogłeś odejść bez małżonki wiernéj tobie,
Szczególnie, że nie ja, lecz inny ktoś zawinił.
Spełń przyrzeczenia, które w obecności bogów
Wyrzekłeś sam był dawniéj względem méj osoby!
Czas śmierci naszéj nie jest nam oznajmion, królu,
Dlatego ja zdradzona dłużéj żyć nie pragnę!
Lecz dosyć żartu tego, mężny bohatyrze!
Ja, śmiała, dziś się boję; pokaż mi się przecież!
Widziałam cię, widziałam, królu i poznałam,
Gdy kryłeś się za krzaki; czemu nie odpowiész?
Okrutnyś, ach! o królu! że mnie tu przybyłéj
W żałości cieszyć nie przychodzisz, o władyko!
Nie smucę się nad losem moim lub czémśkolwiek,
Lecz ciebie żal mi, że samotny będziesz, królu!
Że głodny i pragnący i trudami zmęczon
Wieczorem przy korzonkach drzew mnie mieć nie będziesz".
Boleścią zdjęta srogą, jakby gniewem wrząca,
Biegała tu i tam, płacząca i zmartwiona.
To skacze jak dziewczynka, to znów woła, płacze,
Nareszcie bólem zwyciężona, pośród westchnień
I we łzach tonąc rzecze wierna Damajanti:
„Kto klątwą swą nieszczęście to na Nalę zesłał,
Niech większéj jeszcze biedy dozna w swéj miłości!
Kto w złości Nalę niewinnego w nędzę wtrącił,
Niech w większéj jeszcze nędzy żywot wiedzie smutny!"
Tak lamentując żona króla szlachetnego:
„Hej, królu!" woła ciągle, tu i tam biegając.
Gdy tak nad miarę płacze, jak orlica morska
I nieustannie lamentuje i narzeka
Bhîmówna, chodząc po samotnym lesie,
Pochwycił wąż ją wielki, głodem rozjątrzony.
W objęciach węża i kłopotem skołatana
Nie myśli jeszcze tak o sobie, jak o Nali.
„Obrońco! czemu mnie ujętéj siłą węża
I opuszczonéj w lesie nie przybywasz w pomoc?
Cóż zrobisz, Niszadhczyku, gdy mnie wspomnisz sobie

Od klątwy wolny, przy rozumie i bogactwach?
Gdy zmęczon głodny i znużony będziesz, Nalo,
W zmęczeniu któż cię rozweseli, mój ty luby?"
Wtém łowiec jakiś w lesie owym gęstym chodząc,
Usłyszał krzyk jéj i natychmiast biegł na pomoc.
Czémprędzéj przeszył węża strzałą wyostrzoną,
A ubitego posiekł potém w drobne sztuki.
Tak wybawiwszy ją i wodą oczyściwszy
I strawą posiliwszy, spytał jéj, Bhârato:
„Kto jesteś, sarnooka ty niewiasto, i skąd
Do lasu przyszłaś? W nędzę taką jakże wpadłaś?"
Na zapytanie jego Damajanti, władco,
Opowiadała wszystko, jak się było stało.
Myśliwy przytém patrząc na pół nagie piersi,
Na biodra jéj okrągłe, członki delikatne
I twarz jak księżyc wpełni piękną i z rzęsami
Pięknemi oko, namiętnością się rozpalił.
Słówkami więc przymilać zaczął się pięknemi
Jéj łowiec rozkochany; lecz myśl jego zgadła,
I zrozumiawszy zamiar jego niecny, wierna,
Zawrzała gniewem strasznym jak i oburzeniem.
Myśliwiec wszakże pożądliwy i za słaby
Powstrzymać żądzę, z namiętnością patrzał na nią.
Lecz Damajanti z bólu nad utratą państwa
I męża w chwili gniewu klątwę nań rzuciła:
„Jak ja o Nali nie przypuszczam nic niecnego,
Tak nędzny ten nikczemnik niechaj w miejscu skona!"
Po słowach tych myśliwy martwy padł na ziemię,
Jak drzewo od pioruna nagle powalone.

Pieśń dwunasta.

Brhadaśwa rzecze:

Zabiwszy łowca, biegła daléj liliooka
W straszliwym i bezludnym lesie, pełnym zwierząt:
Tygrysów, panter, lwów, bawołów i niedźwiedzi
I ptaków różnych i złoczyńców i złodziei,
Zarosłym głogiem, mangą, lodhrą i akacyą
Padmaką, amalaką, plakszą i kadambą (1).
Widziała góry kruszców rozmaitych pełne,

(1) Nazwiska roślin w Indyach rosnących.

Potoki, wodospady, straszne widowiska.
Bawołów, dzików, wężów leśnych i niedźwiedzi
Widziała Widarbhówna stada bardzo liczne,
Chowana dawniéj w zbytkach i wygodzie wszelkiéj.
Lecz mimo tego długo się nie obawiała.
W gęstwinie wszakże zabłąkawszy się nieszczęsna,
Zaczęła smutne żale głosić Widarbhówna:
„Szerokopierśny, silnoręki królu Nalo!
Gdzie jesteś, czemuś mnie opuścił w dzikim lesie?
Ty, któryś bogom z koni i rozlicznych rzeczy
Ofiary składał liczne, czemuś dla mnie fałszyw?
Racz wspomnieć na przysięgi, dane mi przez ciebie,
Szlachetny mężu, zacny i rozumny księciu!
I co łabędzie tobie o mnie powiadały,
A mnie o tobie, racz przypomnieć sobie, królu!
Rycerzu! czy téż może wcale mnie nie kochasz?
I czemu w lesie dzikim tym się nie odzywasz?
Już pysk otwiera i pożera mnie okropny
Król boru, tygrys głodny! czemu nie ratujesz?
„ „Nad ciebie żadna droższa nie jest mi,“ “ mówiłeś;
Spełń teraz mowę twoję, dawniéj wyrzeczoną!
Rozpaczającéj i płaczącéj żonie twojéj,
Spragnionéj, pragnion, mężu, czemu nie odpowiész?
Jak sarną z trzody wyłączoną, wielkooki,
Pogardzasz mną płaczącą, wrogów gromicielu!
Mocarzu! w wielkim lesie ja tu Damajanti
Samotna wołam cię; dlaczego nie odpowiész?
Szlachetny z rodu i z postaci niezrównany,
Czyż nie zobaczę cię na górze téj, mój zbawco,
Lub w lesie tym okropnym, lwów, tygrysów pełnym,
Śpiącego, siedzącego lub téż stojącego?
I kogóż spytam nieszczęśliwa tu o ciebie:
„ „Czyś widział może króla Nalę tutaj w lesie?“ “
„ „Król Nala liliooki, o którego pytasz,
Jest tutaj w lesie.“ “ Któż mi taką wieść przyniesie?
Król boru, tygrys czterozębny, wielkoszczęki
Wprost do mnie pędzi; ja bez strachu stoję, mówiąc:
„ „Tyś zwierzów panem, tyś w tutejszym lesie królem!
Jam Damajanti, córka króla widarbhskiego,
Małżonka szukająca, smutna i strapiona.
Pociechy słowo powiédz, jeźliś widział Nalę
Lub jeźli, borów królu, nic o Nali nie wiész,

Ach! pożréj mnie i zakończ raz mój smutny żywot!" "
Lecz on na płacz mój i żałośne jęki głuchy,
Odchodzi sobie, borów król, do rzeki kryształowéj.—
Tę górę wielką, najeżoną wierzchołkami
Niebotycznemi, serce barwą nęcącemi,
Co jak proporzec jaki bór ten zdobi wielki,
Tę gór królową spytam ja o ciebie, królu!
„ „Ty, góro wielka, co aż prawie nieba sięgasz
Ty, góro piękna i obronna! cześć ci składam!
I witam cię; królewską córkę masz przed sobą,
Królewską żonę i zięciową, Damajantę.
Widarbhów król mym ojcem; rycerz to potężny,
Imieniem Bhîma; bogacz to i pan klas czterech.
Koronacyjnych i przeróżnych innych obiat
Ofiarnik szczodry, król wyborny, pięknooki,
Pobożny i szlachetny, prawdomówny, szczery,
Zdolności, męstwa pełen, prawy i szczęśliwy
Obrońcą jest Widarbhów i pogromcą wrogów.
Ty, góro święta, we mnie widzisz córkę jego.
Mym teściem zaś jest król Niszadhów sławny, mężny
Mający imię znane, imię Wiraseny.
Po ojcu prawnie odziedziczył rządy państwa
Pogromca wrogów Nala, Punjaśloką zwany.
I on pobożny; czyta wedę i czci ogień,
Ofiary składa liczne i jest królem dobrym,
Małżonkę jego, góro dobra, widzisz we mnie,
Małżonka szukającą. najlepszego z wszystkich!
Powietrze drące szczyty twoje, góro dobra,
Czy nie widziały może tutaj w lesie Nali,
Mężnego, jako słoń, mądrego i silnego?
Niszadhów króla Nalę czy widziałaś może?
Dlaczego pytającéj mnie, samotnéj, smutnéj
Dziś nie pocieszysz, góro, jakby córkę swoję?
Ach! kiedyż dźwięcznie - męski, jako szum obłoku
Usłyszę głos ja Nali, słodki jak amṛta?!" " (1)
To rzekłszy górze piękna córa władykowa
Szła daléj, kroki swe na północ skierowawszy.
Uszedłszy trzy dni i trzy noce, zobaczyła
Las pustelniczy, piękny jak gaj najcudniejszy,
Mający pokutników Bhṛgu i Wasiszcie (2)

---

(1) Amṛta, napój bogów, grecki nektar. (2) Dwaj pokutnicy staroindyjscy, sławni z ostréj reguły życia.

Podobnych; skromnych w jadle, lecz w pokucie wielkich.
Ujrzawszy pokutników, wielce się cieszyła
Przepiękna krasawica, ciemno-długooka.
I weszła do pustelni Nali wierna żona,
Najlepsza z kobiet, zacna Damajanti,
A pozdrowiwszy pokutników, stała cicho.
„Witamy“—pokutnicy wszyscy jéj odrzekli,
I pokłoniwszy się jéj: „Usiądź“, powiedzieli,
„I oznajm śmiało, co chcesz. byśmy uczynili?“
I rzecze pięknowzrosła: „Znajdę-ż pośród ogniów
Palonych bogom i pokuty tu zbawienie?“
„Zbawienie pewno, dobra i cna ty niewiasto!
Lecz powiédz, krasawico, ktoś ty i co żądasz?
Gdy piękność twoję i urodę ujrzeliśmy,
Zdumienie ogarnęło nas; lecz wprzód odpocznij!
Czy lasu tego tyś bogini, czy téj góry,
Czy rzeki téj? oznajmij, krasawico boska!“
Odrzekła tedy pytającym: „Nie jam boru
Boginią, ni téż góry, ni téż rzeki waszéj!
Śmiertelną jestem, wiedzcie, pokutnicy wszyscy!
Obszernie wam opowiem wszystko, pusłuchajcie!
Widarbhów królem jest władyka, Bhîma zwany;
Jam córka jego, wiedzcie, pokutnicy wszyscy!
Niszadhów królem jest rozumny, sławny Nala;
Niezwalczon ten bohatyr jest małżonkiem moim!
Brahmanów kocha on i bogów czci gorliwie.
Niszadhów ten obrońca słynny i potężny
Od ludzi niepoczciwych, chytrych i złośliwych
Ograny został, tracąc państwo i majątek.
Jam żoną króla tego, wiedzcie, pokutnicy,
Jam Damajanti; za małżonkiem moim tęskniąc,
Przebiegam lasy i wyżyny, nieszczęśliwa,
Szukając Nali, męża mego rycerskiego.
Czy jest tu może w gaju waszym, pokutnicy,
Czcigodny król Niszadhów, Nala ludziowładzca,
Za którym przyszłam w bór ten nieprzystępny, dziki,
Okropny, straszny, dzików i tygrysów pełny?
Jeżeli w kilku dniach nie znajdę króla Nali,
Połączę się z wiecznością, biorąc życie sobie.
Bo na co żyć mi bez małżonka, wrogobójcy?
I jakże będę żyła po utracie męża?“
Skarżącéj tak się w opuszczeniu córce Bhimy

Odrzekli pokutnicy, przyszłość przewidując:
„Szczęśliwa, och! szczęśliwa będzie przyszłość twoja!
My pokutnicy widzim to; wnet ujrzysz Nalę,
Niszadhów króla, wrogogromcę walecznego;
Bhîmówno! prawodzierżcę ujrzysz ty w radości,
Od klęsk wolnego i w klejnoty bogatego,
Nad miastem swojém władnącego, zwycięskiego,
Strasznego wrogom, przyjaciołom serdecznego!
Szczęśliwa ujrzysz w szczęściu męża królewskiego!“
To rzekłszy żonie Nali z rodu królewskiego
Zniknęli pustelnicy, ognie i pustelnie.
Ujrzawszy cud ten wielki, bardzo się zdziwiła
Synowa Wîraseny, śliczna Damajanti.
„Czy sen marzyłam? Jakże się to przygodziło?
Gdzie pokutnicy i gdzie ich mieszkania?“
Myślała długo tak Bhîmówna Damajanti,
Z żałości za małżonkiem blada i mizerna.
I poszła w inną stronę, wyrzekając smutnie
Płaczliwym głosem ciągle i ze łzami w oczach:
„Ach! drzewo każde jak szczęśliwe tutaj w lesie!
Licznemi błyszczy kwiaty, dumnie jak szczyt góry!
A ty asioko! czy widziałaś może króla,
Mężnego Nalę, wrogogromcę, męża mego?
Połową szaty odzianego, w niewygodzie,
Nieszczęściem dotkniętego, w bór ten przybyłego?
Bym bez kłopotu szła stąd, uczyń to, asioko!
Sprawdź nazwę twą, asioko(1)czyli trosk pogromco!“
Obszedłszy potém drzewo nieszczęśliwa, poszła
Bhîmówna piękna w stronę jeszcze okropniejszą.
Widziała drzew tam wiele, rzek widziała wiele,
Gór cudnych wiele i rozlicznych zwierząt wiele.
Przeszedłszy znowu Damajanti kawał drogi
Ujrzała karawanę, w słonie, konie liczną,
Przeprawiającą się przez rzeczkę czystą, miłą,
Szeroką, przezroczystą i zarosłą trzciną.
I widząc karawanę piękna żona Nali,
Wstąpiła w grono ich postacią czarująca,
Choć tylko skrawkiem szaty przyodziana, smutna,
Zwalana nawet i w obliczu zakurzona.

---

(1) Asioka, nazwa drzewa; asioka znaczy właściwie: nie mający smutku, troski zmartwienia; stąd powyższa gra wyrazów.

Ujrzawszy ludzie ją, zaczęli pierzchać jedni,
Zdumieni stali drudzy, inni zaś wołali,
Swywolnie szydząc jedni, przeklinając drudzy.
Lecz kilku, których litość zdjęła, zapytało:
„Kto jesteś? jak się zowiesz? czego szukasz w lesie?
Ujrzawszy cię zadziwiliśmy się! śmiertelna-ś?
Czy Jakszi, czy Râkszasi (1), czy niewiasta boska?
Ktokolwiek jesteś, szczęście przynieś nam i broń nas,
By karawana ta szczęśliwie stąd odeszła,
I uczyń, aby wszędzie szczęście nam służyło!“
W kłopocie swym nad stratą męża rzecze tedy
Wodzowi karawany i obecnym wszystkim:
„Śmiertelną jestem, lecz pochodzę z rodu królów,
I królem jest mój teść i królem mój małżonek.
Widarbhów królem ojciec, a Niszadhów mąż mój,
Przesławny Nala; właśnie jego szukam tutaj.
Jeżeli wiécie o nim coś, powiédzcie! proszę.
Pokażcie Nalę, wrogobójcę walecznego!“
Do krasawicy rzecze wtenczas wódz gromady,
Imieniem Siuczi: „Słuchaj mowy méj, królowo!
Jam kupiec i wódz karawany, o niewiasto!
Człowieka z nazwą Nala nie widziałem nigdy.
Pantery, słonie z bawołami i tygrysy
Widziałem w lesie tym bezludnym i straszliwym,
Lecz ludzi, oprócz ciebie, nie widziałem wcale!
Miéj nas w opiece Manibhadro (1), królu Jakszów!“
Odrzecze tedy kupcom wszystkim i wodzowi:
„Gromada wasza dokąd zmierza? racz powiedziéć!“
Przewodnik karawany rzecze:
„Subâhy, króla Czedów, jest ta karawana;
Za zyskiem ciągnie w kraje ludne, śmiertelniczko!“
(*d. n.*)

(1) Jakszi i Râkszasi, demony żeńskie.

(2) Manibhadra, bóg mający pod sobą duchów opiekuńczych, Jakszów. Mówiący zwraca się przy końcu swych słów do boga, aby zapobiedz nieszczęściu, któreby mogło może spotkać karawanę w skutek zejścia się z Damajantą.

BALONY

PO STULETNIM ROZWOJU.

Stuletnia rocznica wynalezienia balonów tylko co minęła. Pamiętały o niéj zaledwie nieliczne towarzystwa aeronautyczne,—nic nie przypomniało téj wrzawy, z jaką przyjęto pierwsze ich narodzenie. A żaden może inny wynalazek tyle co balony zapału nie wzbudził, na cześć ich pisano ody, bito medale,—tryumfy, które za dni naszych osiągnęła elektryczność, słabe tylko dać mogą pojęcie o tém ożywieniu, jakie balony śród ówczesnego społeczeństwa wywołały.

Do wrzawy téj niemało zapewne przyczyniła się i chwila, w któréj wystąpiły,—nastrój umysłów, podniecony wysoko oczekiwaniem zmian wielkich, które wkrótce nastąpić miały. Balony urzeczywistniały odwieczne pragnienie człowieka wyrażone w bajce o locie Ikara ku słońcu, budziły nadzieje wielkie, były obrazem swobody, któréj brakło na ziemi. Dziecię się narodziło, powiedział o nich Franklin, zobaczym, co nam przyniesie, gdy w młodziana wyrośnie.

Nadzieje te po stu latach nie urzeczywistniły się zgoła, dziecię dzieckiem zostało. Zawód ten był tém dotkliwszy, że inne wynalazki, których początek mniéj więcéj na téż same czasy przypada,—maszyna parowa, stos galwaniczny, chemia wreszcie cała, wyrosły bujniéj i wydały plon obfitszy, aniżeli najśmielsze rojenia przewidywać mogły. Niepowodzenia wszakże nie zdołały przełamać wytrwałości tych, co pierwotnym nadziejom wierni pozostali, i ledwie rok po stuletnim jubileuszu balonów upłynął, dowiedzieliśmy się, że słynne zadanie kierowania balonem rozwiązane nakoniec zostało. Zobaczmy, jak dalece cel ten osiągnięty został i przyjrzyjmy się dziejom zabiegów, które doń doprowadziły.

Historya balonów, jakkolwiek niedługi tylko okres czasu obejmuje, pełna jest szczegółów ciekawych, faktów wesołych i dramatycznych, drobnych powodzeń i wielkich zawodów; nie brak jéj nawet legendy. Legenda ta występuje skromnie, w postaci wyprasowanéj i wydętéj spódnicy pani Montgolfier, która synowi jéj Stefanowi pomysł balonu nasunąć miała; inna wszakże wersya pierwszy pomysł balonów wiąże ze słynném oblężeniem Gibraltaru 1799—82,—młody Stefan Montgolfier, który, zamiast mozolić się nad łaciną licealną, wolał zajmować się kwestyami mechaniki, marzył, jakby się z góry do oblężonéj twierdzy dostać. Jakakolwiek zresztą była podnieta, wespół ze starszym bratem swoim Józefem pomysł ten urzeczywistnił w Annonay, gdzie obaj bracia po ojcu oddziedziczyli fabrykę papieru. Balon ich, sporządzony z płótna, miał 39 stóp średnicy i ważył 490 funtów, u dołu posiadał otwór, wynoszący kilka stóp kwadratowych. W pewnéj odległości poniżéj tego otworu zawieszony był kosz z drutu metalowego, wypełniony materyałami palnemi; płomień ogrzewa powietrze, które stąd staje się lżejszém, wznosi się w górę i zwolna wypełnia balon, a skoro wraz z powłoką waży już mniéj aniżeli jednaka objętość powietrza otaczającego, balon wznosi się w górę, zabierając wraz z sobą materyały płonące, które mu siłę wzlotu nadają. W górze powietrze jest rzadsze, balon przeto oczywiście tak tylko wysoko podnosić się może, dopóki nie dojdzie do warstwy, w któréj ciężar jego wyrównywać będzie ciężarowi powietrza wypchniętego.

Po raz pierwszy balon taki wzniósł się w Annonay 5 czerwca 1783 r., a 19 września t. r. Montgolfier puścił balon swój w Wersalu w obecności króla;—do balonu przyczepiona była klatka, z owcą, kogutem i kaczką. Gdy ogień wygasł, a powietrze w balonie stopniowo stygło, balon się zwolna opuścił a zwierzęta bezpiecznie na ziemię wróciły.

Balony, wypełnione powietrzem ogrzaném, na cześć wynalazcy swego otrzymały nazwę *montgolfierów*, ale rychło ustąpić musiały balonom innego rodzaju.

Od dwudziestu już lat znano gaz zwany wodorem, o którym z doświadczeń Cavendisha wiedziano, że jest prawie czternaście razy od powietrza lżejszy, a ta nadzwyczajna jego lekkość nasunęła profesorowi fizyki w Paryżu, Charles'owi, szczęśliwą myśl użycia go do napełniania balonów. Wykonał to bardzo szybko, bo już 27 sierpnia 1783 r. pierwszy *szarlier* wzniósł się w górę na polu Marsowém. Wielkością wyrównywał prawie pierwszemu montgolfierowi i spadł w niedalekiéj wiosce skąd sprowadzony został w opłakanym stanie

poturbowany widłami przez chłopów, przerażonych niespodzianém tém zjawiskiem.

Montgolfier nie dał za wygraną i pod opieką akademii urządził balon, mający 57 stóp wysokości i 6.000 stóp sześciennych objętości, który dla doświadczeń puszczano codziennie w górę i ściągano przy pomocy sznura. W doświadczeniach tych brał gorliwy udział młody profesor fizyki z Reims, Pilatre de Rozier, zagorzały wielbiciel nowego wynalazku, i w galeryjce otaczającéj kosz płomienisty wznosił się często do wysokości 324 stóp.

Próby te ośmieliły go do kroku stanowczego,—wzniesienia się w górę balonem swobodnym. Zamiar ten wydał się wszakże zbyt ryzykownym ówczesnym władzom rządowym i zezwolenia odmówiły; postanowiono jednak wysłać w górę balonem przestępcę na śmierć skazanego, któremu, w razie szczęśliwego na ziemię powrotu, życie miano darować. Za pośrednictwem wszakże margrabiego Arlandes Pilatre uzyskał audencyą u króla i zdołał wymódz upragnione zezwolenie, przedstawiwszy mu, że niepodobna dopuścić, aby chwała, która niewątpliwie czeka pierwszego żeglarza powietrznego, dostała się w udziale złoczyńcy. Wreszcie tedy 17 października 1783 Pilatre wraz z Arlandes'em wznieśli się montgolfierem w krótce po zachodzie słońca; a w górze ujrzeli je znowu i po raz drugi byli świadkami zachodu słońca. Wznieśli się do wysokości 3.000 stóp, a skoro przestali ogień podsycać, balon zwolna na ziemię się opuścił.

W kilka tygodni później, 1 grudnia, odbył i Charles podróż powietrzną swoim balonem, w towarzystwie Roberta. W ciągu kilku minut aeronauci wznieśli się z Tuilleries na wysokość 3.000 stóp i w ciągu dwu godzin przebyli 5 mil. Ludność paryska była cała w poruszeniu, wszystkie place publiczne i dachy zapełnione były widzami, wydającymi okrzyki na cześć śmiałych żeglarzy, którzy im z góry ukłony przesyłali. Charles obmyślił dokładnie urządzenie balonu, które też odtąd istotnym zmianom nie uległo. Łódka uczepioną była u siatki pokrywającéj balon, klapka u góry służyła do wypuszczania gazu, jak u balonów dzisiejszych.

Odtąd podróże balonowe szybko się bardzo rozpowszechniły,—brali w nich udział często uczeni i ludzie chciwi wrażeń; przedewszystkiém jednak zachowały znaczenie prostego widowiska. W Warszawie po raz pierwszy puszczał się balonem słynny aeronauta Blanchard w towarzystwie Jana Potockiego w r. 1788.

Z powodu niebezpieczeństwa ognia i słabéj siły wzlotu mongolfiery wyszły niemal zupełnie z użycia, ale i balonami napełnionemi wodorem aeronauci rzadko się teraz posługują, za przykładem bowiem Greena od r. 1819 balony wypełniają się zwykle gazem oświe-

tlającym. Gaz ten jest wprawdzie od wodoru znacznie cięższy, ale posiada nad nim tę wyższość, że jako cięższy słabiéj dyfunduje, to jest nie tak łatwo przechodzi przez powłokę. Ztąd to *greeniery* posiadają mniejszą wprawdzie aniżeli szarliery siłę wzlotu, ale mogą się dłużéj w powietrzu utrzymywać. Balonami takiemi Green odbył 1.400 podróży, a uszedłszy wszelkich niebezpieczeństw, które mu nieraz śmiercią groziły, zmarł w 90 roku życia, we własnym zamku, nabytym z zysków, jakie mu podróże te przyniosły.

II.

Siła wzlotu balonu oblicza się bardzo łatwo, stosuje się tu bowiem bezpośrednio znana zasada Archimedesa, tycząca się ciał zanurzonych w wodzie. Ponieważ woda jest od korka cztery razy cięższa, kawałek przeto korka ważący łut jeden traci przez zanurzenie w wodę na ciężarze cztery łuty tj. tyle właśnie, ile waży ilość wody równéj mu objętości; niedostaje mu przeto trzech łutów, aby można było powiedzieć, że żadnego nie ma ciężaru; aby go zatém w wodzie utrzymać, trzeba doń przyczepić ciężar trzech łutów, inaczéj podnosi się na powierzchnię wody, a mianowicie z siłą trzech łutów.

Powietrze w warunkach normalnych jest około 770 razy lżejsze od wody; litr wody waży kilogram, litr powietrza zatém prawie 1,3 grama. Wodór znów jest od powietrza 14 razy lżejszy, litr przeto wodoru waży 1,3/14 tj. 0,09 grama, niespełna jeden decygram. Siła więc wzlotu jednego litra wodoru wyraża się przez różnicę obu powyższych liczb 1,3—0,09 czyli 1,21 grama. Małe baloniki, dla zabawy dzieci wyrabiane, posiadają objętość zaledwie jednego lub kilku co najwyżéj litrów a wzlot ich powstrzymuje się już ciężarkiem bardzo drobnym; balon wszakże, napełniony wodorem a obejmujący metr sześcienny czyli tysiąc litrów, udźwignąć już może tysiąc razy więcéj, zatém 1,21 kilograma. Wraz z wymiarami przeto balonu wzrasta i siła jego wzlotu; balon, którym wzniósł się Charles z Robertem zawierał obszar 500 metrów sześciennych, dźwignąć mógł przeto, licząc w to i ciężar saméj powłoki, 500×1,21 czyli 605 kilogramów, około półtora tysiąca funtów.

Balony napełnione wodorem, czyli szarliery, przedstawiają wszakże tę niedogodność, że otrzymywanie wodoru wymaga oddzielnego urządzenia i jest kosztowne; inną ujemną ich stroną jest, jakeśmy wspomnieli już wyżéj, silna dyfuzya wodoru, to jest szybkie przenikanie jego przez powłokę; pod obu temi względami ustępuje on

gazowi oświetlającemu, który w miastach większych wyrabia się fabrycznie i zawsze mieć go można na zawołanie, lubo z powodu większego ciężaru siłę wzlotu o wiele mniejszą przedstawia; metr sześcienny gazu oświetlającego w warunkach normalnych waży 0,82 kilograma, siła przeto wzlotu każdego metra sześciennego takiego gazu wynosi 1,3—0,82 czyli 0,48 kilograma; balon nim wypełniony téj samej objętości co balon Charles'a—500 m. sz., dźwignąłby tylko 240 kilogramów. Aby więc greenijery osiągnąć mogły tęż samę co szarliery siłę wzlotu, trzeba im nadawać większą znacznie objętość. Mniejsze tego rodzaju balony, używane do zwykłych widowisk, obejmują około 700 metrów sześciennych i ważą razem z łódką 150 kilogramów; zabierać mogą dwóch ludzi wraz z potrzebnym balastem. Największy z urządzonych dotąd balonów, „Orzeł" Godarda, miał 14.000 metrów sześciennych objętości i ważył ze wszystkiemi przynależytościami 1.300 kilogramów. Bardziéj zasłynął wszakże „Olbrzym" Nadara, złożony z dwóch, umieszczonych jeden nad drugim balonów, który obejmował 6.000 metrów sześciennych, a wysokością sięgał na 45 metrów, to jest dorównywał nieledwie wieży kościelnéj; z powodu wielkości swéj służyć mógł na podróż dwudniową, gondola zawierała dwie kajuty, dla kapitana i podróżnych. Długa na 4 metry, miała mniéj więcéj wymiary wagonu kolejowego i pomieścić mogła 35 do 40 osób. Największa podróż, olbrzymem tym podjęta, skończyła się niewesoło: 18 października 1863 r. o 5 po południu balon z dziewięciu podróżnikami wzbił się w Paryżu i przebiegłszy ponad Belgią i Holandyą opuścił się dnia następnego o 10 rano w królestwie Hanowerskiém,—sznur jednak utrzymujący kotwicę zerwał się, skutkiem czego łódka w gwałtownych podskokach wlokła się na znacznéj przestrzeni, przez pola i lasy, a kilku podróżnych uległo ciężkim poranieniom.

Znaczniejsza siła wzlotu pozwala balonowi nietylko większy dźwignąć ciężar, ale także i na większą wzbić się wysokość; w górze bowiem powietrze coraz staje się rzadszém, a balon dotrzéć może tylko do warstwy, od któréj gatunkowo już lżejszym nie będzie. W miarę téż jak gaz pod coraz mniejszém znajduje się ciśnieniem, rozszerza się i wydyma balon, grożąc jego rozerwaniem: dla tego téż balon nie powinien być nadmiernie wypełnionym, a u spodu należy pozostawić otwór, dozwalający ujście gazowi.

Znacznie jeszcze mniejszą siłę wzlotu, aniżeli balony wypełnione gazem oświetlającym, posiadają montgolfiery. W balonie takim, większych nieco wymiarów, powietrze ogrzewa się co najwyżéj do 60° lub 70° C, gęstość jego przeto niewiele tylko maleje, a siłę

wzlotu jednego metra sześciennego tak ogrzanego powietrza oceniać można na 0,26 kilograma, co dla balonu o 500 metrach sz. objętości wydaje siłę wzlotu 130 kilogramów zaledwie. Montgolfier tedy wysoko nigdy wzbić się nie zdoła.

Pod pewnym jednak względem przedstawia on wyższość nad balonami z wodorem lub gazem oświetlającym. U tych bowiem opuszczenie na ziemię sprowadzić można jedynie przez oswobodzenie gazu, za otwarciem górnéj klapki; a gdy znów zachodzi potrzeba wzniesienia się w górę, ulżyć należy balonowi przez wyrzucenie balastu, który stanowią zwykle wory z piaskiem. Ponosi się tu przeto bezustanną stratę gazu lub balastu, któréj w czasie podróży wynagrodzić już nie można, przez co zdolność przesuwania balonu w kierunku pionowym rychło ustaje. Téj właśnie ujemności mongolfiery nie przedstawiają przez podsycanie bowiem lub przytłumianie ognia sprowadzać można dowoli podnoszenie się lub opuszczanie balonu.

Oba więc rodzaje balonów okazują pewne korzyści i w pierwszych chwilach oba miały swoich stronników. Pilatre de Rozier, ów zuchwalec, co pierwszy na jazdę balonową się odważył, zapragnął połączyć zalety obu,—znaczną siłę wzlotu jednego ze swobodniejszą ruchliwością drugiego. Wielki tedy szarlier związał z małym mongolfierem umieszczonym niżéj, i takim szarliero-mongolfierem zamierzył 15 czerwca 1785 r. dostać się z Boulogne do Anglii. Z powodu nader łatwéj palności wodoru połączenie to dwóch balonów nad wyraz było ryzykownem i da się chyba wytłómaczyć niedostateczną jeszcze podówczas znajomością własności tego gazu. Rzeczywiście téż pierwsza iskierka, która z dolnego ogniska padła na balon górny, spowodowała wybuch wodoru, a aeronauta nierozważny zapewne krok swój życiem przypłacił. Pierwszy więc żeglarz powietrzny, pierwszy téż padł ofiarą téj żeglugi. Ofiar było po tém wiele jeszcze, często zapewne skutkiem zbytniéj zuchwałości lub nierozwagi. Pani Blanchard, wdowa po słynnym aeronaucie, o którym wspominaliśmy wyżéj, zmarłym 1808 r., zginęła w czasie 67 swéj żeglugi powietrznéj, gdy wzniósłszy się z Tivoli w Paryżu, podróż swą uświetnić chciała ogniami sztucznemi,—raca rzymska przebiła balon, a aeronautka znalazła śmierć na bruku paryskim.

Smutne wypadki nie zawsze wszakże były następstwem nierozwagi tylko,—nie brakło téż ofiar i śród aeronautów wzbijających się w górę w celach czysto naukowych.

III.

Pierwsza wyprawa naukowa podjętą została w lipcu 1804 r. przez Robertsona w Hamburgu. W tymże samym roku wznieśli się w górę dwaj znakomici uczeni francuscy, Gay-Lussac i Biot i dosięgli wysokości 4.000 metrów, a 14 września tegoż roku Gay-Lussac sam wzbił się do 7.000 metrów, dopiero w roku 1852 Barral i Bixio wznieśli się również wysoko.—Humboldt i Bonpland na Chimborasso zdołali się wedrzeć zaledwie na 6.100 metrów. Wysokość, w jakiéj się znajdują, oceniają aeronauci ze stanu barometru, a nawet ruch barometru stanowi jedyną dla nich wskazówkę, czy się balon wznosi w górę, czy téż opada.

Również w celach naukowych urządziło wyprawę balonową słynne obserwatoryum angielskie w Kew, gdzie w r. 1852 wzniósł się Welch i w 1858 w łonie stowarzyszenia naukowego brytańskiego zawiązała się komisya balonowa; z jéj inicyatywy Glaisher dokonał w latach 1862—1863 około 30 wzniesień, a w czasie jednéj z tych wypraw, wraz z Coxwellem, miał podobno dobić się do 11,000 m.;—na wysokości téj, najwyższéj, do jakiéj człowiek dotrzéć zdołał, Glaisher stracił przytomność, a towarzysz odmroził rękę.

W nowszych czasach wyprawy naukowe znalazły licznych miłośników między uczonymi, głośnych nawet nazwisk,—jak Flammarion, Fonvielle, zwłaszcza téż bracia Tissandierowie. Szereg tych wypraw upamiętniony został wypadkiem bardzo smutnym. W towarzystwie Gastona Tissandiera wznieśli się 15 kwietnia 1875 r. dwaj uczeni Sivel i Crocé-Spinelli. Jakkolwiek w wysokości téj aeronauci oddychali tlenem nabranym w pęcherzach, dwaj towarzysze Tissandiera ulegli zaduszeniu, a i on sam stracił na czas pewien przytomność, zdążywszy zaledwie otworzyć poprzednio klapę. Przyczyna zresztą wypadku tego należycie wyjaśnioną nie została.

Z tak licznych wypraw w sprawie nauki podjętych skorzystała ona niewiele, nie zdobyła faktów nowych, któreby skąd inąd znane nie były.

Im wyżéj się wznosimy tém bardziéj obniża się temperatura, wszakże nie wszędzie i nie zawsze jednakowo; z początku spadek ten jest szybszy, aniżeli w wysokościach znaczniejszych,—w pobliżu powierzchni ziemi termometr opada o 1° mniéj więcéj na każde 80 metrów, w wysokości 3.000 m. o 1° na każde 150 m., a w wysokości 6.000 dopiero na każde 300 m. Im wyżéj się wznosimy, tém ciemniejszym staje się błękit niebieski, a w znacznéj wysokości pozorne to sklepienie nieba staje się zupełnie niemal czarném, gwiazdy zaś świecą blaskiem niezwykłym; wszyscy téż żeglarze powietrzni z za-

chwytem opowiadają o okazałości zorzy i zmierzchu, o blasku chmur, o wspaniałości zachodzącego słońca i wschodzącego księżyca. Im wyżéj się wznosimy, tém suchszém staje się powietrze, tak, że papier i pergamin skręcają się, jakby pod wpływem gorąca. Powietrze przepływa w górze bezustannie, jakkolwiek wrażenia wiatru nie sprawia, gdyż balon unosi się wraz z prądem powietrza; ruchu tego aeronauta nie doznaje, jak nie czujemy ruchów ziemi. Ze szklanki do brzegów napełnionéj, podczas jednéj z najszybszych podróży, nie wypłynęła ani kropelka wody. Im wyżéj się wznosimy, tém słabszym staje się głos, tak że aeoranauci zaledwie porozumiewać się mogą; z ziemi jednak dźwięki dochodzą wyraźnie do tysiąca, a nawet dwóch tysięcy metrów. Im wyżéj się wznosimy, tém niższą staje się temperatura wrzącéj wody,— na wysokości kilku tysięcy metrów można rękę bezpiecznie zanurzyć w gotującą się wodę. Nieraz aeronauci przerzynali się przez chmury i stwierdzili, że chmura jest mgłą unoszącą się na wysokości, jak powiedziéć możemy, że mgła to chmura rozpostarta tuż na powierzchni ziemi.

Wszystkie te spostrzeżenia łatwo wyjaśnić się dają i są tego rodzaju, że wywnioskować je można z ogólnych praw fizycznych; meteorologia więc, bo o nią tu przecież głównie idzie, z wypraw balonowych istotnych korzyści nie odniosła. Stan pogody przedewszystkiém zawisł od kierunków, w jakich wieją wiatry, a stąd meteorologią określono jako dynamikę powietrza. Z obserwacyj wszakże, które nam balony przyniosły, wiemy tylko, że w różnych wysokościach i w różnych czasach wiatry wieją w różnych kierunkach, a szybkość ich często bardzo jest znaczna, 10 do 40 metrów na sekundę,—gdy pociągi pośpieszne rzadko biegną z szybkością większą nad 14 metrów. Balon koronacyjny Napoleona, który puszczono w Paryżu 1804 r., obwieszony trzema tysiącami lampek kolorowych, w ciągu 22 godzin dostał się do Rzymu; Green w 19 godzin odbył drogę z Londynu do Weilburga, a Tissandier przez pół godziny ubiegł ośm mil geograficznych.

Dorywcze spostrzeżenia, jakie za pomocą balonów prowadzić można. dla meteorologii nader podrzędne mieć mogą znaczenie. Czy, jak to sądzą niektórzy, w przyszłości obserwacye te będą tak obfite i systematyczne, że będą mogły stać się istotnym przyczynkiem do znajmości wiatrów. w górnych warstwach atmosfery wiejących,—trudno to teraz przewidziéć. Tymczasem, jest to mrzonka tegoż samego rodzaju, co projekt wyprawy balonowéj do niedostępnego wciąż jeszcze bieguna północnego.

IV.

Rozwój swój w ciągu lat ostatnich zawdzięcza aeronautyka wyłącznie tyłko usiłowaniom zastosowania jéj do celów wojennych. Usiłowania te zresztą rozpoczęły się bezpośreduio po odkryciu balonów, już w r. 1793 bowiem założoną została w Meudon pod Paryżem, pod kierunkiem kapitana inżynieryi Contelle, szkoła aeronautów wojskowych, a z wychowańców jéj powstała w roku następnym kompania aerostijerów, złożona z 24 osób, używana do rozpatrywania stanowisk nieprzyjacielskich. Istotne usługi kompania ta oddała mianowicie w bitwie pod Fleurus 24 czerwca 1794 r.; w ciągu dziewięciu godzin balon użyty był do rekognoskowania nieprzyjaciela, a wiadomości tą drogą dostarczane przyczynić się miały do zwycięstwa. Balon ten trzymany był przez żołnierzy, za pomocą sznurów, połączonych z siecią pokrywającą balon, i przesuwany z miejsca na miejsce. Następnie jednak kapitan Contelle nie tyle był szczęśliwym, burze uniemożebniały prowadzenie obserwacyj, a liczne trudności z całą tą rzeczą połączone skłoniły Napoleona I do rozwiązania kompanii aerostijerów i zniesienia szkoły w Meudon.

Przez długi czas potém balonami posługiwano się rzadko, ale nie zapomniano o nich zupełnie. Rosyanie w r. 1812, a Austryacy w 1849 (pod Wenecyą) puszczali balony, obciążone bombami, które z góry miały być na nieprzyjaciela rzucane; w obec niemożności jednak kierowania balonami, zamiar ten przeprowadzić się nie dał. Szczęśliwszym był Napolen III, który do zrekognoskowania pozycyj nieprzyjacielskich pod Solferino 1859 r. użył aeronautów Nadara i Godarda, a przy téj sposobności udało się téż po raz pierwszy zdjąć fotograficznie z balonu obraz okolicy, który się potém korzystnie dał zużytkować.

Na większą skalę działalność balonów wystąpiła w czasie wojny północno - amerykańskiéj 1861 r. Używane były tam wyłącznie balony uwiązane (tak zwane *ballons captifs*) na sznurze 100 do 200 metrów długim, które za pomocą drutów telegraficznych przesyłały bezustannie do kwatery głównéj wiadomości o wszelkich ruchach wojsk stanów południowych, a na zasadzie tych wiadomości również telegraficznie wydawane były rozporządzenia różnym oddziałom. Stanowcze zwycięztwo pod Richmond zawdzięcza armia północna przeważnie dokładnie urządzonéj téj służbie balonowo - telegraficznéj.

Pamiętne usługi, jakie balony oddały oblężonemu przez Niemców Paryżowi 1870—1871 w historyi ich stanowią istotną epokę.

Za pośrednictwem jedynie balonów, przebiegających po nad głowami wojsk oblegających, zdołał Paryż utrzymać związek pocztowy z prowincyą. Większa część tych balonów miała po 2.000 metrów sześciennych objętości; wyrabiane były z najlepszéj perkaliny—zbitéj a cienkiéj tkaniny bawełnianéj, powleczone pokostem lnianym. Balon zabierał cztery osoby z klatką gołębi i pocztą, ważącą 500 kilogramów. Aby uniknąć strzałów nieprzyjacielskich szybowały one w wysokości 1.600 do 1.800 metrów,—wysokość tę wskazywał barometr, do oznaczenia zaś kierunku biegu służyła igiełka magnesowa. Za każdy balon płacono z początku 4.000, następnie 3.500 fr., gaz oświetlający, używany do napełniania balonu kosztował 300 fr., narzędzia 300 do 600 fr., a aeronauci pobierali po 200 do 300 frank. Pierwszy balon wzbił się 23 września 1870, ostatni 28 stycznia 1871, ogółem było ich 64; z téj liczby pięć dostało się w ręce Niemców, dwa wpadły w morze. Jeden opuścił się pod Chrystyanią w Norwegii, przebiegłszy drogę 900 kilometrów w ciągu 15 godzin. Projekt przesłania balonu z Tours do Paryża, przy niemożności kierowania nim, spełznąć oczywiście musiał na niczém.

Oprócz balonów pocztowych posługiwano się w Paryżu także balonami uwiązanemi; jeden z nich, uczepiony u lokomotywy, przebiegał drogę obwodową dokoła Paryża. W początkach grudnia 1870 ustanowiono także kompanie aerostijerów przy armiach, zanim jednak działalność swą rozwinąć zdążyły, pokój został zawarty.

Doświadczenie zdobyte w czasie téj wojny na użyteczność balonów zwróciło bliższą uwagę, nietylko we Francyi, ale także w Anglii i w Niemczech,—jak dawniéj jednak, tak i teraz idzie wyłącznie o zastosowanie ich do celów wojennych. We Francyi ministeryum wojny ustanowiło w r. 1871, pod prezydencyą pułkownika Laussedat, specyalną komisyą, która założyła szkołę aeronautów wojskowych w Meudon. W Anglii od r. 1879 istnieje również kompania aeronautów pod kierunkiem półkownika Nobel. I w Berlinie zawiązało się 1880 r. stowarzyszenie aeronautyczne, zostające pod opieką generała Moltkiego. Istotne wszakże usługi balony wtedy dopiero oddawać by mogły, gdyby biegiem ich kierować można było.

V.

Nad wynalezieniem sposobów kierowania balonami pracowano już dawno, usiłowania te jednak powieść się nie mogły choćby dla tego, że sposoby służące do biegu statków po wodzie chciano bezpośrednio zastosować do żeglugi powietrznéj. Guyton de Morveau i książe Chartres używali wioseł, Vallet myślał o skrzydłach młyń-

skich. Stosunki jednak są tu zgoła odmienne; statek pływa po wodzie, balon unosi się w powietrzu. Wiosło znajduje w wodzie punkt oporu; wiatr, cisnąc na żagiel, posuwa statek wsparty na wodzie. Balon podpory takiéj nie posiada, nie przerzyna on w kierunku poziomym powietrza, ale posuwa się wraz z niém, unoszony jego prądami. Jest on poniekąd w położeniu takiém, jak kropla wody w mięszaninie wody z alkoholem, posiadającéj, tenże sam co ona ciężar właściwy; a powietrze jest-to środek nader ruchliwy, przybierać może wszelkie prędkości, zarówno w biegu wirowym, jak i postępowym,—wszystkim tym ruchom, wraz z niém ulega i balon. Łatwo ocenić, jakie przezwyciężyć musi trudności, aby mógł posuwać się w żądanym kierunku i ze stateczną zawsze szybkością.

Ze sposobów proponowanych do poruszania balonu przydatną okazała się jedynie szruba, a na pomysł użycia jéj do tego celu wpadł van Hecke, zanim jeszcze zastosowaną została do okrętów. Odegrywa tu ona zresztą rolę takąż samą,—obracając się, wkręca się ona niejako w powietrze, jak szrubka, którą w ścianę wkręcamy, i ciągnie balon za sobą. Plan olbrzymiego balonu szrubowego obmyślił generał Meusnier; szruba wszakże miała mieć znaczenie pomocnicze tylko, a głównie miał balon korzystać z prądów powietrza, które w różnych wysokościach wieją w różnych kierunkach. Do tego wszakże trzeba było ułatwić ruch balonu w kierunku pionowym, umożebnić swobodne podnoszenie się jego i obniżanie. W tym celu proponował Meusnier opatrzenie balonu powłoką podwójną,—przestrzeń wewnętrzna tylko miała być wypełniona wodorem, zewnętrzna zaś powietrzem; przez zagęszczanie lub rozrzedzanie za pomocą pompy tego powietrza, sprowadzać można było powiększanie lub zmniejszanie ciężaru balonu, a tém samém obniżać go lub podnosić. Pomysł Meusniera, lubo w zmienionéj formie, urzeczywistniony został w nowszych konstrukcyach.

Pojąć łatwo można, że do wprawiania w obrót szruby trzeba było siły potężniejszéj, nad pracę ręczną. Myślano tedy o zastosowaniu jedynego podówczas znanego motora — maszyny parowéj. Projekt ten urzeczywistnić pragnął Giffard w 1855 r., próba jednak na małą skalę przeprowadzona zgoła się nie udała. Giffard obmyślił wprawdzie środki dla ustrzeżenia gazu od niebezpiecznego sąsiedztwa ognia, ale w każdym razie maszyna parowa stanowi ciężar zbyt wielki dla balonu, a stopniowy ubytek zapasu węgla sprowadza ciągłą zmienność jego ciężaru.

Giffard zasłynął więcéj z balonu uwiązanego (*ballon captif*), który urządził podczas wystawy powszechnéj w Paryżu 1878 r. Kolosalny ten balon zalecał się doskonałém urządzeniem, mianowicie też

powłoką, prawie wcale dla gazu nieprzepuszczalną. Składała się ona z kilku warstw tkaniny bawełnianéj i gumy, z jednéj i drugiéj strony okrytych muślinem; po stronie zewnętrznéj balon powleczony był pokostem i pokryty bielą cynkową, aby jak najmniéj pochłaniał promieni słonecznych. Powłoka ta miała 11 milimetrów grubości,—oczywiście użycie jéj możliwém jest tylko przy balonach jak największych wymiarów. Lina utrzymująca balon miała 600 metrów długości, grubości zaś u dołu 76 milimetrów:—balon zabierał po 50 naraz podróżników. Za tym przykładem balony uwiązane urządzane bywają w różnych miastach i znajdują zawsze licznych amatorów podróży powietrznéj, nie grożącéj niebezpieczeństwem.

Ustęp o balonach uwiązanych przerwał nam historyą balonów szrubowych. Widzieliśmy, że jednę z głównych przeszkód stanowił brak stosownego, dostatecznie lekkiego motoru. Nietylko wszakże konstrukcya maszyny parowéj znacznie się w ciągu ostatnich dziesiątków lat udoskonaliła, ale powstały i motory innego rodzaju, jak maszyna gazowa. Ruch tej maszyny, która może być o wiele lżejszą aniżeli równéj siły motor parowy, polega na ciągłém spalaniu przeprowadzonego do niéj gazu oświetlającego, co powoduje bezustanny ruch tłoka. Podobną tedy maszynę gazową zastosował do balonu z pewném powodzeniem inżynier moguncki Hänlein; poważnie wszakże aeronautyka rozwijała się daléj tylko w istotnéj ojczyźnie balonów—we Francyi.

Już podczas oblężenia urządzeniem balonu, którym-by kierować można było, zajął się gorliwie naczelny konstruktor marynarki francuskiéj, Dupuy de Lôme. Opracował on dokładnie zadanie, które sobie założył i wystąpił daleko skromniéj aniżeli wynalazcy dawniejszych maszyn olbrzymich i fantastycznych, zamierzył zyskać na początek to tylko, aby balon posuwać się mógł pod pewnym kątem względem kierunku wiatru. Dla łatwiejszego pokonywania oporu powietrza zarzucił on dotychczasową formę kulistą i balonowi swemu nadał postać podłużną. Dla wzmożenia zdolności ruchu w kierunku pionowym przyjął dawną propozycyą Meusniera, umieściwszy wewnątrz balonu, wypełnionego wodorem, maly balonik dodatkowy (*ballonet*), w którym za pomocą prowadzącéj do niego rury i wentylatora powietrze może być zagęszczane i rozrzedzane; balonik ten więc kompensacyjny odegrywa niejako rolę pęcherza pławnego u ryb.

Pierwszą próbę z balonem swym przeprowadził Dupuy de Lôme 2 lutego 1872 r. Balon szedł pierwotnie z wiatrem, następnie szruba wprawioną została w ruch, ster ustawiono w kierunku prostopadłym do wiatru, a balon posunął się po przekątnéj dwóch sił, któ-

rym był poddany, pędu wiatru i działania szruby. Przy zupełnéj ciszy powietrza szruba, poruszana ręką, nadawała balonowi szybkość własną 2,2 metra na sekundę, wiatr w czasie doświadczenia sunął z chyżością 14—15 metrów, balon zdołał względem kierunku wiatru zboczyć o 12°.

Balon ten wykazał tedy w zasadzie możliwość walki z wiatrem; szwankował on na zastosowaniu pracy ręcznej do poruszania szruby, szło więc odtąd o wynalezienie motoru silnego a dostatecznie lekkiego.

Olbrzymi rozwój elektrotechniki, w ciągu niewielu lat ostatnich dokonany, wskazywał wyraźnie drogę, którą obrać należało. Maszyna dynamoelektryczna, wraz z obsługującą ją bateryą galwaniczną może być dostatecznie lekką, by balonu zbytecznie nie obciążała, zostawując przytém zawsze ciężar niezmienny. Pomysł ten urzeczywistnili gorliwi i biegli aeronauci, bracia Tissandier; pierwszą swą próbę wykonali 8 listopada 1883,—balon ich osiągnął szybkość własną 2,8 metra, przez czas jakiś posuwał się nawet przeciw wiatrowi.

Próby ich wszakże zaćmiło powodzenie, jakie osiągnąć zdołali dwaj kapitanowie francuscy, Karol Renard, dyrektor wojskowego zakładu aerostatycznego w Chalais pod Meudon, i współpracownik jego Artur Krebs. Podróż ich próbna, dokonana 9 sierpnia r. z., zyskała słuszny rozgłos i zwróciła na siebie powszechną uwagę, zdołali oni bowiem osiągnąć rezultat pomyślniejszy, aniżeli wszyscy ich poprzednicy. Balon ich, wzniósłszy się w górę w Chalais, w ciągu 23 minut przebiegł 7,6 kilometrów, a wykonawszy pewną ilość ewolucyj, wrócił do punktu, z którego wyszedł. Szczegóły konstrukcyi swéj wynalazcy zachowują w tajemnicy, treściwą tylko o niéj wiadomość złożyli akademii nauk.

Balon Renarda i Krebsa, którego rysunek przedstawiły niedawno wszystkie pisma ilustrowane, ma „postać cygara“, jest z obu stron zaostrzony i w ogóle niezbyt szeroki dla zmniejszenia oporu powietrza. Prąd elektryczny, wytworzony przez bateryą złożoną z 32 ogniw, wprawia w ruch maszynę dynamo-elektryczną, wywołującą obrót wielkiego wału, na końcu którego osadzoną jest szruba. Wał obraca się z siłą $8^1/_2$ koni parowych, szruba składa się z dwu skrzydeł mających razem około siedmiu metrów długości; w tylnéj części łodzi umieszczony jest ster, bardzo starannie zbudowany, podobnie jak i szruba, z rusztowania drewnianego, obciągniętego jedwabiem; ma on postać czworokątną, a powierzchnie boczne utworzone są z piramid nieznacznéj wysokości,—przy pomocy tego steru zmieniać można kierunek balonu. Balon sam ma długości $50^1/_2$ metra, szero-

kości $8^1/_2$ m., obejmuje 1864 m. sześciennych. Wraz ze sznurami waży 496 kilogramów, łódka 452, ogółem zaś, ze szrubą, bateryą, maszyną i różnemi przyrządami dodatkowemi 2.000 kilogramów.

Łódka, zbudowana ze sztywnéj trzciny bambusowéj, ma przeszło 30 metrów długości a dwa wysokości; w części środkowéj posiada trzy okna, pozwalające żeglarzom rozpatrywać okolicę, ponad którą się unoszą. Jest ona również obciągnięta jedwabiem chińskim, dla zmniejszenia tarcia powietrza. Z balonem związaną jest szeregiem sznurów, połączonych między sobą sznurem poprzecznym, który ma na celu zabezpieczenie łódki od ruchów bocznych. W tylnéj części, obok steru, znajdują się dwa wielkie wiosła; o przeznaczeniu ich wynalazcy w sprawozdaniu swém nie mówią,—służą one może tylko do ułatwiania manipulacyi ze sterem.

Od balonu do łodzi schodzą dwie rury; jedna z nich prowadzi do znanego nam już balonika kompensacyjnego,—jakie ma przeznaczenie druga, trudno się domyślić. Tissandier sądzi, że służy ona do wypuszczania nadmiaru gazu, gdy balon w górze, znajdując się pod mniejszém ciśnieniem, zbyt się wydyma.

Balon Rénarda i Krebsa odbył już kilka podróży, a lubo nie wszystkie zupełnie się powiodły, rzeczą jest niewtąpliwą, że może on skutecznie z wiatrem walczyć. Tak np. d. 8 listopada r. z. balon żeglował przeciw wiatrowi z bezwzględną szybkością 23 kilometrów na godzinę (przeszło 6 metrów na sekundę); że zaś szybkość wiatru wynosiła 8 km, balon posuwał się z istotną szybkością 15 km. na godzinę, i zatoczywszy ponad Billancourt półokrąg o średnicy 160 metrów, wrócił do zwykłego swego punktu wyjścia, do warsztatów Chalais-Meudon.

Z prób tych i z pobieżnych dosyć wzmianek pism paryskich istotne znaczenie wynalazku tego ocenić trudno. Jakkolwiek wiatr podczas podróży 8 listopada był bardzo łagodny, możliwość walki z prądami atmosferycznemi w zasadzie wykazaną została, ale dla skutecznego jéj prowadzenia trzeba zapewne motorów potężniejszych, z doskonaleniem przeto tych przyrządów związana jest przyszłość aeoronautyki.

Balon Renarda i Krebsa, jak widzieliśmy, jest wynikiem licznych poprzednich usiłowań i stanowi ogniwo w szeregu prac dalszych, dla których stanie się podnietą. W samém urządzeniu balonu niejedna zapewne zmiana zaprowadzoną jeszcze będzie. Słusznie zwrócono uwagę na to, że sposób przyczepienia łódki za pomocą łączników niedostatecznie sztywnych jest bardzo niekorzystny; gdyby ją

można było bezpośrednio połączyć z balonem, sprowadziłoby to nietylko ulżenie przez zarzucenie sieci i sznurów, ale miałoby jeszcze tę korzyść, że znajdująca się na niéj szruba działałaby bezpośrednio na balon; obecnie zaś, jak słusznie uważa Paweł Combes, rzeczy mają się tak, jakbyśmy konie u wozów przyprzęgali z boku, i to jeszcze za pomocą sznurów.

Niewątpliwą w każdym razie jest rzeczą, że aeronautyka w ostatnich latach znacznie postąpiła.

VI.

W dziedzinie téj Francya nieprzerwanie wszystkim innym krajom przoduje. Podczas wojny 1870 Niemcy pragnęli posługiwać się balonem przy oblężeniu Sztrasburga, i zaangażowali nawet aeronautę angielskiego Coxwella; wszelkie ich jednak usiłowania spełzły na niczém. W jesieni 1882 Baumgarten i Wülfert dokonali w Charlottenburgu próby z obmyślanym przez siebie sposobem kierowania balonem,—próba ta wszakże najzupełniéj się nie powiodła. W sierpniu znów 1883 r. Wald przedstawiał berlińskiemu towarzystwu aerostatycznemu model statku powietrznego, który ma być w olbrzymich rozmiarach zbudowany z cienkiéj blachy miedzianéj,—wątpić wszakże wolno, czy, znajdzie się kapitał na urzeczywistnienie tak niepewnego pomysłu.

Aeronauci angielscy w prostszy sposób usiłują osiągnąć możliwość podróży balonowych w żądanym kierunku. Pomysł, na którym metoda ta polega, nie jest zgoła nowy: idzie tu o zużytkowanie prądów powietrza, w różnych wysokościach wiejących w różnych kierunkach. Balon wznosi się w górę lub obniża, dopóki nie natrafi na żądany prąd wiatru. Kapitan J. Templer, jeden z oficerów angielskiego korpusu aeronautycznego, niejednokrotnie zdołał w ten sposób odbyć oznaczoną z góry podróż. Ze spostrzeżeń swych wnosi on, że do wysokości 1.500 metrów w ogólności napotkać można trzy różne kierunki wiatrów. Balon kompensacyjny Meusniera ułatwić wprawdzie może wyszukanie żądanego wiatru; na nieszczęście jednak o wiatrach wiejących w pewnéj nad ziemią wysokości wiemy zbyt mało, aby los podróży na ich łaskę zdawać można było. Kapitan Templer wygrał wprawdzie zakład, że w ciągu półtoréj godziny odbędzie podróż balonową z pałacu kryształowego na plac parad wojskowych w Barnet, w odległości 32 kilometrów; można to wszakże uważać tylko za rodzaj sportu angielskiego, który kwestyi podróży balonowych zgoła nie rozwiązuje.

Wspomnieć tu wreszcie wypada o usiłowaniach mających na celu wznoszenie się w powietrze zgoła bez balonów, przy pomocy przyrządów od powietrza cięższych. Lot ptaków i owadów możliwość zadania tego wskazuje. Im lepiéj wszakże naturę lotu ptaków badano, tém trudniejszém stawało się sztuczne naśladowanie ruchów ich skrzydeł. Człowiek uważany jako motor, przedstawia się korzystniéj aniżeli inne motory, posiada bowiem ciężar mniejszy, aniżeli maszyna parowa, wytwarzająca jednakową pracę; ustępuje wszakże znacznie pod tym względem ptakom, a więcéj jeszcze owadom. Korzystny ten stosunek tłómaczy możliwość lotu tych zwierząt. Drobne maszyny latające czyli ptaki mechaniczne, w których ruch skrzydeł wywoływano za pomocą skręconego sznurka kauczukowego, stanowią tylko ciekawostki mechaniczne; nie przechodziły one ciężaru jednego kilograma, ani nie wzbijały się wyżéj nad dwa metry w górę.

Do pomyślniejszych nieco rezultatów doprowadziło zastosowanie szruby; i szrubowe te jednak przyrządy, jakkolwiek nazwano je szumnie helikopterami, są także dotąd jedynie tylko zajmującemi zabawkami. Motylek papierowy przez całą swą długość ma przeciągniętą nitkę kauczukową, połączoną na końcu z dwoma skrzydełkami, szrubowato ułożonemi; nitka ta gdy po skręceniu się rozkręca, wprawia w obrót owe skrzydełka, co wywołuje w kręcanie się ich w powietrze i motylek do pewnéj wysokości podnosi się w górę.

Nieco okazaléj przedstawiają się inne przyrządy, nazwane aeroplanami, utworzone z dosyć wielkiéj płaszczyzny, która przy pomocy szybko obracających się szrub może wznosić się w powietrzu w kierunku ukośnym względem poziomu. Budową ciekawych tych przyrządów zajmowali się mechanicy francuscy Pénaud i Tatin. Ten ostatni przedstawił w roku 1879 aeroplan, którego płaszczyzna obejmowała 0,7 metra kwadratowego, i którego szruby obracane były za pomocą drobniutkiego motora o powietrzu ścieśnionem. Prace tego wynalazcy zyskały nawet niedawno nagrodę akademii, do rezultatów wszakże praktycznych daleko jeszcze, a motory, któremi dotąd rozporządzamy, nie przedstawiają widoków, aby przy pomocy przyrządów od powietrza cięższych człowiek zdołał w górę się wzbijać.

I balony zresztą, pomimo postępów w ostatnich latach dokonanych, nie prędko zapewne rywalizować zaczną z kolejami żelaznemi i okrętami. „Następcy nasi na scenie świata, mówi znany pisarz francuski Flammarion zwykłym swym stylem przesadnym, wi-

dzieć będą atmosferę przerzynaną lekkiemi statkami, w epoce, gdy przez harmonją spełnionych postępów, nie będzie już granic między narodami, a ziemia cała będzie konfederacyą stanów zjednoczonych, żyjących w blasku i wolności.“

Proroctwa takie nie wiele kosztują. Tymczasem, jak widzieliśmy i wynalazcom i tym co im poparcie dają, idzie jedynie o wyzyskanie balonu w celach wojennych:

Słowa Flammariona przed kilku zaledwie laty wypowiedziane dziś stanowią zapewne anachronizm, brzmią w uszach naszych jak dotkliwa ironia.

S. K.

OCENY PANA TADEUSZA.

(Pan Tadeusz Adama Mickiewicza. Studyum estetyczno - literackie przez dra Henryka Biegeleisena. Z dodaniem facsimile Karty z autografu „Pana Tadeusza", oraz podobizny medallonu i kart tytułowych pierwszego wydania „Pana Tadeusza" z r. 1834. Warszawa. Nakład Teodora Paprockiego. 1884).

W lipcu roku zeszłego minęło lat pięćdziesiąt od czasu, jak po raz pierwszy ukazało się w druku arcydzieło Mickiewicza „Pan Tadeusz". Gdy się pojawiło, nie powitano go tak jak na to zasługiwało; nie było wtedy ani rozgłośnych oklasków ani obszernych krytyk; a co ważniejsza nie było nawet zbyt wielkiéj liczby czytelników, coby je posiadać pragnęli, gdy w przeciągu lat dwudziestu pięciu wyszły dwa tylko nowe wydania „Pana Tadeusza" i to nie w osobnym przedruku, ale w edycyach zbiorowych dzieł Mickiewicza.

Natomiast po latach pięćdziesięciu, umyślnie w roku jubileuszowym, wydano rozległe, blisko 30 - arkuszowe dzieło, poświęcone wyłącznie szczegółowéj, a nawet drobiazgowéj analizie arcy - tworu, rozpatrującéj krytycznie zarówno dzieje jego utworzenia, jak i technicznego wykonania co do układu i stylu. Przed ukazaniem się zaś studyum tego było wiele ocen krytycznych i było wiele wydań „Pana Tadeusza" nie tylko w Dziełach zbiorowych, ale i oddzielnie, nie tylko tekstu samego, ale téż i ozdobionego ilustracyami.

Tak zestawione fakta zastanawiają wielce i pobudzają do szukania ich przyczyny czy téż przyczyn. Najzwyklejszém w podobnych wypadkach objaśnieniem bywa zdanie, za pewnik niemal poczytywane, że prawdziwe arcydzieła potrzebują czasu, ażeby je zrozumiano i oceniono. Zapewne, jest w tym aksyomacie jakaś cząstka prawdy; ale za niewzruszoną zasadę poczytywać go nie można, a posługiwać się nim wolno chyba tylko w mowach pochwalnych, tam

zwłaszcza, gdzie niepodobna odszukać czynników bliższych i szczegółowych które-by nam w dokładniéjszy sposób wytłómaczyły zjawiska zrazu niezrozumiałe.

Takie czynniki co do oceny „Pana Tadeusza“, co do losu, jaki go w przeciągu lat 50 spotykał, odnaleźć się dadzą; a poznanie ich nie tylko literacką, jak sądzę, ciekawość zaspokoić ale też rzucić niejakie światło na rozwój pojęć polityczno społecznych u nas może.

I.

W r. 1834 ziemie dawnéj Rzeczypospolitéj pozostawały jeszcze ciągle pod silném, przygnębiającém wrażeniem pogromu z przed lat kilku. Młodzież skupiała się wprawdzie w mniejsze lub większe kółka i tém namiętniéj przywiązywała się do haseł już to wyrobionych na miejscu, już to z emigracyi przejętych, im dotkliwiéj zato była prześladowana; ale ogół pogrążony był albo w gorączce niepokoju o byt materyalny, albo w apatyi. Życie umysłowo-literackie po dwuletniém uśpieniu zaledwie budzić się zaczęło w „noworocznikach“ i lichych czasopismach, których artykuły po większéj części były prostemi przekładami (jak np. w „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych“ lub „Magazynie Powszechnym“, „Lwowianinie“). Tam gdzie dla rozwoju narodowego najswobodniejsza stosunkowo nastała chwila, to jest w W. ks. Poznańskiém powstawało właśnie w połowie 1834 pisemko skromne rozmiarami, ale przynajmniéj oryginalnemi artykułami i rysunkami rzeczy ojczystych zasilone p. n. „Przyjaciel ludu“. I ono jednakże z początku o rzeczach bieżących i ludziach spółczesnych zachowywało ostrożne milczenie. Jedyny organ naówczas w polskim języku, dostępny dla wszystkich, jako wychodzący w stolicy Rosyi „Tygodnik Petersburski“, w tym roku dopiero zaczął umieszczać obszerniejsze opracowania literatury polskiéj dotyczące.

Zresztą gdyby nawet było więcéj pism naówczas w kraju, to i tak one-by nie mogły były mówić o „Panu Tadeuszu“, gdyż pod panowaniem rosyjskiém od roku nie dozwolono ani kupować dzieł Mickiewicza, ani pisać o nim w druku (1); pod panowaniem zaś austryackim i pruskim lubo specyalnego zakazu pod tym względem nie było, wystrzegano się wszelako wzmianek o pismach, wychodzących na emigracyi. Nieznajomość „Pana Tadeusza“ nawet

---

(1) Jeszcze w roku 1833 w Warszawie wyszło trzytomowe wydanie Pism Mickiewicza, nakładem Mersbacha.

wśród inteligencyi była tak wielka, że najgłówniejszy ówczesny krytyk Michał Grabowski, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie znał go jeszcze w roku 1840, gdy pisał recenzyą „Witoloraudy“, Syrokomla zaś poznał go dopiero około r. 1852—naturalnie w formie nie drukowanéj, ale rękopiśmiennéj. W kraju zatém „Pan Tadeusz“ nie mógł się ani rozchodzić w znaczniejszéj liczbie egzemplarzy, ani być ocenionym za pośrednictwem artykułów drukowanych.

Jedno i drugie stać się mogło jedynie na emigracyi.

Tu wogóle mówiąc „Pan Tadeusz“ z początku przyjęty został chłodno. Wprawdzie przyjaciele i najbliżsi znajomi Mickiewicza, Bohdan Zaleski, Witwicki, Januszkiewicz, którym on odczytywał swój poemat, prosząc o zdanie, unosili się nad jego pięknościami; wprawdzie szlachta, znając z wyjątków ten utwór, podobała w nim sobie;—ale pozewnątrz, w czasopismach emigracyjnych i w szerszych kołach rodaków zamieszkałych w Paryżu, nie było tego entuzyastycznego uznania. Zdaje się, że dwa głównie powody nie dozwoliły ogółowi emigracyjnemu ocenić należycie treści i wykonania „Pana Tadeusza“.

Jedni ubolewali, że Mickiewicz mając przed sobą obfitą kopalnię materyałów z dziewięciu wieków historycznych, kopalnię bogatą „tyloma sprzecznościami źle spojonych narodowości, dziwacznem życiem polskiego społeczeństwa, pełną jeszcze azyatyckich miazmów Żydowstwa, Ormian, Tatarów, a prawie nietkniętą od artysty, bo jeden dopiero Malczeski wydobył z niéj Miecznika“, że Mickiewicz „zwiedzając to Herkulanum nie ukochał tam żadnéj posągowéj postaci, ani przywódców Rzeczypospolitéj jak Sobieski, Zamojski, ani buntowników jak Zborowscy, Nałęcze, ani zdrajców jak Gliński; nie rozmiłował się w żadnym z dramatów wojenno-politycznych odgrywanych to na szwedzkiéj lub tureckiéj granicy, to sejmowych lub elekcyjnych;—ale się zapatrzył z rozkoszą w szary koniec naszych pokątnych dziejów i starannie odnowił obraz szlachty wylęgłéj pod czasy ostatniego z Augustów, kiedy krew przestała już obiegać żyły rzeczypospolitéj“ (1). Tym niezadowolonym chodziło więc o to, żo poeta nie uświetnił swoim talentem jakiéjś ważnéj postaci dziejowéj, jakiegoś wielkiego zdarzenia, w którém zajaśniała dawniejsza kraju potęga, że nie dał obrazu, w którymby wpatrując się pokolenia współczesne uczyły się czcić i wielbić przeszłość wiekopomnemi zapisaną czynami.

---

(1) Zob. „Wspomnienie o piśmiennictwie polskiém w emigracyi“ z r. 1840; oddruk z „Kalendarzyka Pielgrzymstwa“, wyd. A. Jełowickiego. Przytoczone w dod. mies. do „Czasu“, 1856, t. II, 417, 418,

Drudzy znów po autorze III części „Dziadów“ spodziewali się poematu, w którymby namiętne uczucia patryotyczne jeszcze dzielniejsze, jeszcze ognistsze znalazły podsycenie. Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem téj chwili (1). kiedy poeta „uniesiony natchnieniem pragnął wydrzéć przyszłości jéj tajemnice, kiedy podnosząc się prawie do tonu wzniosłego szału wizyonerów, myślą szturmował do nieba, wyzywał Boga do walki, rozwijając potęgę natchnienia dotychczas nieznaną i taką siłę umysłu, że ją musiał skierować ku niebu, gdyż na ziemi nie mogła znaleźć zastosowania“. Po tym entuzyastycznym wybuchu, który stawiał poetę na „trójnogu proroczym, na takiéj wyżynie, jakiéj dosięgnąć żaden z poprzedników nie marzył nawet“, ujrzano ze zdziwieniem, że poeta ten „przenosi się gieniuszem do sfery czysto materyalnéj i ironicznemu rozsądkowi Cervantesa poświęca najświetniejsze natchnienie liryczne, jakie kiedykolwiek oświeciło Polskę“. Spółcześni uginając się pod brzemieniem cierpień, nie mieli ogółem biorąc ani ochoty ani możności spokojnego rozpamiętywania scen życia prywatnego swych ojców, tak szeroko w poemacie roztoczonych. Od człowieka górującego gieniuszem domagali się oni kordyału, któryby pokrzepił ich siły, roznamiętnił uczucia, rozentuzyazmował duszę nękaną zarówno niedostatkiem, przygnębieniem jak i niezgodą wewnętrzną. Odsłonięcie „strony materyalnéj w przeszłości“ nie wystarczało temu znękanemu społeczeństwu; ono potrzebowało głosu proroczego, coby działając na jego uczucie utrzymywał w naprężeniu siły do walki nieustającéj.

Wreszcie był i trzeci, daleko słabszy od poprzednich co do swego ogólnego znaczenia, ale dla wielu umysłów wstrząsniętych objawami niezgody ważny powód, który sformułował przyjaciel poety, Stefan Witwicki pisząc o powiatowszczyznie (2). Raziło go samo rozpoczęcie poematu, samo ograniczenie treści na pewnéj tylko cząstce kraju. Ten—powiada Witwicki—„którego wiersze cała nasza młodzież umie na pamięć, który po Niemcewiczu, jakby obyczajem kapłaństwa, zostaje wieszczem i piastunem narodowym, by urokiem swych pieśni wychował ducha w pokoleniu nadchodzącém, jakże np. zaczyna ostatnie swoje dzieło: Litwo, ojczyzno moja! Prawdziwie, dziwne to poety roztargnienie, jakiemu żaden Polak nie uwierzył i nie uwierzy. Nie mógłże Mickiewicz zawołać Polsko, ojczyzno moja. Takiém wyłącznem opasywaniem się litewszczyzną grzeszy dwojako: nasamprzód, że mimo chęci i wiedzy zasiewa

---

(1) Zob. „La Pologne captive et ses trois poëtes“, 1864, str. 79, 80.

(2) „Wieczory Pielgrzyma“, tom I, r. 1837, a właściwie już 1835.

wśród braci kąkol prowincyonalizmu; powtóre, że swoim przykładem wciąga do tegoż młodych pisarzy. Kto wié, może niezadługo który nowy poeta, naśladując niby Mickiewicza, zacznie jaką epopeję od słów: O ziemio czerska, ojczyzno moja! — albo: o powiecie latyczowski, hajsyński, ojczyzno moja! itp.“

Byli wreszcie i tacy, którzy nie głośno wprawdzie, nie w druku, ale prywatnie w listach, lekceważąco mówili o poemacie Mickiewicza, jako o utworze zawierającym treść błahą, rozwlekle opowiedzianą. Tak sądził poeta Franciszek Morawski, zajęty wówczas tłómaczeniem Byrona. „Mickiewicz — powiada on — w *Tadeuszu*, a zwłaszcza w pierwszym tomie tak często nieznośnie jest długi, że zdaje się, iż nigdy wygadać się nie może, czyni to nawet bez przyczyniania obrazowości i wdzięku, słowem, więcéj niż *dormitat* (drzémie). W poemacie miałby krytyk prawo błąd ten wytknąć; nikt przecież tego nie uczynił. A dlaczego? Dlatego jedynie, że autor nie nazwał *Tadeusza* poematem, lecz kroniką szlachecką, przez co zyskał prawo do wybajania się *ad libitum*“.

Takie było zdanie przeciętnego ogółu inteligencyi. Gienialne tylko umysły potrafiły ocenić naówczas poemat Mickiewicza, a najprzód zazdroszczący mu sławy Juliusz Słowacki. Lubo miał srogą do niego urazę za wystawienie w bardzo złém świetle swego ojczyma w III części „Dziadów“, idąc jednak za szlachetnemi popędami swego kapryśnego skądinąd serca, natychmiast po odczytaniu „Pana Tadeusza“ pisał do matki: „Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski glos. Adama nowy poemat obudził we mnie wiele dźwięków przeszłości. Bardzo to piękny poemat, podobny do romansu Walter Skota wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świéżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą. Mieści wiele opisów nieba, stawów, lasów i jest mistrzowską ręką skreślony; natura cała żyje i czuje. Poemat raczéj żartobliwy niż smutny, a jednak często z najweselszych napozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca dmącego w róg myśliwski: cudowny opis trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie, — i drugi opis żyda grającego na cymbałach, także prześliczny. Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli“.

Drugi gienialny poeta Zygmunt Krasiński po pierwszém już odczytaniu „Pana Tadeusza“ miał dla niego słowa uznania; lubo nie ogarniał poematu w całéj jego doniosłości. Dnia 30 października 1834 pisał z Medyolanu do Gaszyńskiego: „*Pan Tadeusz* jest epopeją

drobnéj szlachty naszéj, jest wiecznym jak Don Quixote, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy Monachomachię, jedyném jest dziełem dla Polski. Wallenrod jest poema arystokratyczne, Pan Tadeusz jest poematem drobnéj szlachty". W sześć lat jednak potém uwielbienie jego wzrosło do zachwytu: „Odczytałem niedawno *Pana Tadeusza*—pisał do przyjaciela — to epopeja. Znam trzy epopeje wielkie. Iliadę, Don Quixota i Pana Tadeusza, który jest środkującym zlewkiem Odysei i Don Kiszota... Poeta stał na przesmyku między znikającém pokoleniem a między nami. Nim umarli, widział ich, a teraz już ich niéma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku. To plemię umarłe uwiecznił. Ono już nie zaginie. Temu lat sześć, czytając Pana Tadeusza, nie pojmowałem całéj wielkości; dziś biję czołem i mówię, że to jest epopeja. Więcéj powiedziéć nie można, ani potrzeba".

Gdy się te pojęcia o „Panu Tadeuszu" w społeczeństwie naszém na wychodztwie wyrabiały, Niemcy uczuli potrzebę przyswojenia sobie téj „historyi szlacheckiéj", jak ją sam poeta nazwał. Spazier przetłómaczył i już w r. 1836 wydał jéj tłómaczenie w Lipsku. Znakomity powieściopisarz niemiecki, znany pod pseudonimem Wilibalda Alexisa napisał z powodu tego przekładu w „Blätter für litterarische Unterhaltung" dobry rozbiór. Równocześnie i w pismach francuskich pojawiły się pochlebne oceny dla zapoznania cudzoziemców z dziełem polskiego poety, pisane przez emigrantów, najprzód w dzienniku „Le Polonais" r. 1835, potém w „Brise du Nord" r. 1838 (przez J. Wysłoucha). Do czasopisma angielskiego „Monthly Magazine" napisał artykuł o „Panu Tadeuszu" Stanisław Worcell, który zawiadamiając o tém Mickiewicza, nazwał poemat jego „kamieniem grobowym, położonym ręką gieniuszu na staréj Polsce naszéj, który tak uderzający obraz przed oczami jéj synów nieboszczki matki ich przedstawia, że nie tylko całą jéj duszę wyczytać w niéj mogą, ale jeszcze i te rozeznają rysy rodzinne, które w nichże samych przelała i które stanowią przejście ze zmarłego do żyjącego pokolenia, bratając tym sposobem przeszłość z przyszłością, a z grobu wydobywając zaród przyszłego naszego życia (1).

Z kraju, a mianowicie z W. księstwa Poznańskiego doszedł poety bardzo pochlebny głos znanego mecenasa literatury, Edwarda hr. Raczyńskiego, który 28 lipca 1836 tak do niego pisał: „Od pięciu lat, jak się pan z naszych stron oddaliłeś, zrobiłeś współziomkom swoim upominek, który tak długo niezawodnie trwać będzie jak polski język. Ja Tadeusza wszędzie z sobą wożę; uważam go jak gale-

(1) Korespondencya Mickiewicza, 1872, t. II 136.

ryą obrazów narodowych, i pragnąłbym, abyś pan talent swój podobnym poświęcił przedmiotom" (1). Odtąd w każdym niemal liście donosił poecie, jak się utworem jego rozkoszował, odczytując codzień po obiedzie, jakby na wety, z jakie dwieście wierszy (2).

Zważyć jednak wypada, że te pochlebne zdania były albo prywatnie tylko autorowi komunikowane, albo też były pisane pod adresem zagranicy. Krytyka emigracyjna publiczna musiała naturalnie odczuć wpływ tych objawów, musiała powody, które wywołały chłodne przyjęcie „Pana Tadeusza" przez ogół emigrantów, uznać za niezupełnie uzasadnione, albo przynajmniéj niezdolne obniżyć znaczenia utworu jako dzieła sztuki; — ale mimo to uznania swego nie posuwała do stopnia zapału. Najwymowniejszém w tym względzie świadectwem jest ocena, pomieszczona w „Kalendarzyku Pielgrzymstwa" na r. 1840 napisana prawdopodobnie przez znanego w swoim czasie na emigracyi krytyka Ropelewskiego. „Pan Tadeusz" traktowany tu jest w tonie pobłażliwéj wyższości; nazwano go „pierwszym romansem prawdziwie polskim i pierwszym dobrym romansem w naszém piśmiennictwie", ale odmówiono mu tytułu „poematu", choć często „poetyckie barwy przybiera i wierszowaniem strojny": co więcéj odmówiono mu godności „wysokiego romansu", takiego np. jak Walter - Skota Ryszard w Palestynie, Iwanhoe, Purytanie „epopeje, które największy twórca z nowoczesnych pisarzy zakreślił od ręki, śród zatrudnień około roli i budowli". Nie wahano się powiedzićé, że Pan Tadeusz jest to „coś nakształt *Pana Czerwonki*", dziś całkowicie już zapomnianego utworu, „tylko posunione do majestatu ksiąg dwunastu i opatrzone rymem, wyborną zbroją przeciwko razom czasu". Zdaniem tedy krytyka emigracyjnego „Pan Tadeusz" jest sobie „romansem obyczajowym i jeszcze nie bardzo wglądającym w duszę człowieka, ale zatrzymującym się chętnie na powierzchni téj różnobarwnéj, dziwacznéj społeczności szlacheckiéj". Krytyk czuje nawet potrzebę usprawiedliwienia szczegółowości w obrazkach Pana Tadeusza. „Skromne to założenie— powiada—poeta wypełnił z rozrzutnością talentu. Czując, że jest przy schyłku towarzystwa, które maluje, nie zaniedbał żadnego szczegółu, naznaczył najlżejsze odmiany, wszystkie jego ruchy uchwycił i w tak dokładnie urobiony manekin tchnął życie dawne. Nie można mu też brać za złe drobiazgowości w opisach; nie był tu do niéj skłoniony powszechną dziś chorobą poezyj, ale samą naturą rzeczy. W sztuce mówność idzie w odwrotnym stosunku wagi przedmiotu: wielkie charaktery wyraża się kilkoma zarysami; ale mienione

(1) Tamże str. 119. (2) Tamże str. 132.

draperye całéj społeczności potrzebują szczegółowéj, pracowitéj roboty. Kiedyś wyobraźnia potomków naszych odbudowywać będzie z Panem Tadeuszem domową i szarą stronę historyi naszéj: jaskrawo błyśnie przed ich oczyma, jak szlachta piła, jak się pieniała, jak bronią, którą już nie błyskała u granic kraju, umiała dochodzić krzywd osobistych, a potém odrysują się na tle przeszłości obce im już postacie ówczesnych ekonomów, kluczników, wojskich, wreszcie sędziów i podkomorzych, nie w powadze urzędu, ale w niedbałym stroju, w codziennéj zwyczajności zachowanych. Zaścianki zahuczą próżniackim i hałaśnym rojem, zabrzęczą szablami. Jeśliby nielitościwa cywilizacya wygnała od nas wschodnią architekturę i wschodnie stroje, mistrzowski porównawczy opis karczmy i figury żydowskiéj przechowa ich pamięć potomności. Jeżeli wreszcie, jak mniemam, późne wnuki pomimo czasu oddali, nie będą bardzo smakowały w tak wydanych pradziadach, to przecie dojrzą z rozczuleniem, że nawet śród pieniactwa, hulanek i bezładu przechowała się tam świętość rodziny i pobożna cześć poświęcenia." W końcu stając w obronie wolności poety, iż taki temat nie zaś bohaterski wybrał do utworzenia poematu, powiada, że Mickiewicz „kaprysowi swojemu dogodził w sposób przynoszący zaszczyt piśmiennictwu."

Był-to najumiarkowańszy zapewne sąd, jaki w sferach emigracyjnych a stąd późniéj i w krajowych się ustalał; ogół inteligencyi nie czuł jeszcze wówczas jego powierzchowności i jednostronności. Chociaż bowiem zaczęto i w druku nazywać „Pana Tadeusza" epopeją, jak np. Hipolit Cegielski, który go nazwał „jedyną epopeją po Iliadzie i Odyssei, żywym obrazem narodowego życia Polski;" (1)—to przecież szczegółowiej zajrzéć w ten obraz nikt nie próbował, a Wojciech Cybulski, który w uniwersytecie berlińskim około r. 1842 miał odczyty o literaturze polskiéj wieku XIX, lubo bardzo szeroko rozprawiał o wszystkich innych poezyach Mickiewicza, o „Panu Tadeuszu" zaledwie w kilku pobieżnych wzmiankach napomknął.

Sąd ów w „Kalendarzyku Pielgrzymstwa" z r. 1840 wygłoszony utrzymał się jeszcze w całéj widocznie sile nawet w r. 1856, po śmierci poety, kiedy autor piszący w dodatku miesięcznym do „Czasu" (podobno Julian Klaczko) o „rękopismach po Adamie Mickiewiczu i niedrukowanych ustępach z Pana Tadeusza" (t. II, 408—434) uważał za stosowne przytoczyć go w całéj rozciągłości i nawet słówkiem nie dał poznać, iż go nie podziela. Taki-to silny wpływ wywierały na zdanie o utworach sztuki okoliczności społeczno-polityczne, w których nie pożądano spokojnych, epicznych obrazów, ale inwektyw lub hymnów bojowych.

---

(1) Zob. „Orędownik Naukowy," 1845, N. 25.

II.

Po śmierci poety, konieczność zapewnienia dzieciom jego wychowania lub wykształcenia, przytém otrzymana możność drukowania pism jego w Warszawie, a tym sposobem rozpowszechnienia ich jawnie po całym kraju, otworzyły i dla „Pana Tadeusza" nowy okres.

W r. 1859 ukazuje się pierwszy osobny druk tego poematu w Toruniu, dokonany nieprawnie, bo bez zezwolenia rodziny poety. A w tymże roku Gruszczyński mając odczyt w Poznaniu o Wojnie Chocimskiéj Wacława Potockiego, dla porównania rozwinął w krótkim ustępie swój pogląd pełen zachwytu na epopeję Mickiewicza, którą śmiało zestawia z Odyseją, twierdząc, że Pan Tadeusz „obejmuje całość życia narodowego wieku swego, w najdrobniejszém rozgałęzieniu i w najdelikatniejszych odcieniach plastycznie wyrzeźbionego", i dowodząc tego ostatniego zdania za pośrednictwem rozbioru głównych poematu postaci: Robaka, Zosi, hrabiego (1). To zatém, co w poprzednim okresie było poglądem nielicznych, a raczéj wyjątkowych jednostek, teraz przeszło na własność duchową ogółu inteligencyi, za przedstawiciela któréj można było słusznie poczytywać Gruszczyńskiego, występującego z takim poglądem w odczycie publicznym.

Odtąd zgodziwszy się na taki sąd ogólny, zabrano się do rozbioru szczegółów.

Pierwszą w tym kierunku próbę uczynił Fr. R. pisząc artykuł trochę zaszumnie „studyum" zatytułowany, p. n. „Czas w Panu Tadeuszu" (2). Wychodzi tu już autor wprost z założenia, że poemat Mickiewicza jest epopeją, bada zaś, „czy i o ile potrafił się utrzymać Mickiewicz co do czasu wśród szranek epikowi dozwolonych." Autor pierwszy zwrócił tu uwagę czytelników i badaczów, że „Pan Tadeusz" rozpoczyna się w czas żniw żytnich, to jest w ostatnich dniach lipca, albo pierwszych sierpnia, że dzień przybycia Tadeusza do Soplicowa był piątkiem, że poeta popełnił omyłkę przedstawiając sobotnie śniadanie w r. 1811 na Litwie złożone z wędlin, półgęsków,

(1) Dwie Prelekcye Gruszczyńskiego. Poznań 1860.

(2) „Tygodnik poznański" pod redakcyą Kazimierza Szulca: r. 1862 str. 271 i nst. Winieniem tu sprostować błąd dwukrotnie w książce p. Biegeleisena pojawiający się. Raz na wstępie str. LXXXV powiedziano, że artykuł ten ukazał się w „Roku Poznańskim" z 1844 i ma napis „Chronologia Pana Tadeusza." Drugi raz kazano go szukać w czasopiśmie, które w téj formie nigdy nie istniało p. t. „Rok, tygodnik poznański" i to niby w r. 1846 pod redakcyą *Dominika* Szulca; strona tam podana 438 jest również mylna.

ozorów itd., ale że ta omyłka niknie zupełnie wobec tak świetnie przeprowadzonego planu kompozycyi, że w przeciągu dni pięciu zdołał nam pokazać „olbrzymi obraz życia, obyczajów całego narodu", gdy akcya Iliady spotrzebowała dni jedenaście. Wywody autora są wogóle cenne, dają nam bowiem możność jasnego ogarnięcia wypadków i związania ich z odpowiedniemi dniami tygodnia, czego poeta sam nie uczynił, raz tylko jeden wzmiankując o niedzieli. Błędném jest atoli wyjaśnienie daty w epilogu. Autor sądzi, że dzień Najświętszéj Panny Kwietnéj, to dzień Zwiastowania. Chociażbyśmy bowiem przyjęli jego rozumowanie, oparte zresztą na kalendarzu nowego stylu, iż to święto przypadło w kwietniu, to i tak jeszcze zupełnie niezrozumiałą byłoby rzeczą, jakim sposobem wojsko polskie, idące pod rozkazami króla westfalskiego, Hieronima Bonapartego, mogło się w kwietniu 1812 znaleść w Soplicowie, gdy jeszcze wojna Rosyi nie była wypowiedziana, gdy to wojsko, jak z historyi wiadomo, około 29 czerwca znajdowało się dopiero w okolicy Grodna, a książę Poniatowski 4 lipca ucierał się z tylną strażą korpusu Bagratyona między Grodnem a Lidą (1)... Z samego zresztą poematu wiadomo, że ów dzień Najświętszéj Panny Kwietnéj lubo wielce uroczysty, był jednak tylko „świętem kościelném (ks. XI, w. 105), i że pobyt jeneralicyi polskiéj w Soplicowie przypadł na ówczas, kiedy król Westfalski i książę Poniatowski „już zajęli część Litwy do Grodna po Słonim" (ks. XI, w. 83). Przypuścić więc należy, że pod nazwą Najświętszéj Panny Kwietnéj rozumiał Mickiewicz święto kościelne Nawiedzenia Najświętszéj Maryi Panny, przypadające 2 lipca.

W tym samym roku w czasopiśmie francuskiem „Revue Contemporaine" ukazał się artykuł napisany przez Chojeckiego pod pseudonimem Charles Edmond, a zatytułowany „De l'esprit poétique de la Lithuanie. L'oeuvre de Mickiewicz" (2). Oprócz ogólnikowego wstępu, który miał usprawiedliwić szeroki tytuł, mamy tu właściwie pobieżny rozbiór Pana Tadeusza z przytoczeniem dwu obszernych wyjątków (opis puszczy, gra wojskiego) w przekładzie. Chojecki należał do pokolenia gorącego i namiętnego, a chociaż z biegiem czasu znacznie ochłódł, w sądzie jego atoli o Panu Tadeuszu słychać jeszcze echa poglądów emigracyjnych. „Charakter wszystkich postaci poematu—powiada on—jest może trochę powierzchowny i pospolity. Mickiewicz nie podniósł żadnéj z nich do wyżyny własnéj swéj godności; wszystkie one, z wyjątkiem Robaka i Hrabiego, odlane na

---

(1) Zob. Czwarty i piąty buletyn wielkiej Armii (Kalend. polit. pijarski na r. 1813 str. 299, 304.

(2) Przedrukowany w La Pologne captive et ses trois poètes. Lipsk, 1864.

formę tak materyalną, że w żadnéj nie dostrzegamy nawet iskierki prawdziwéj duchowości; jakiekolwiek okoliczności wpływałyby na ich życie, jakiekolwiek objawionoby im prawdy, wszystkoby przeszło ponad nimi, nie sprawiłoby w nich zmiany, tak są one, że tak powiem, z jednéj sztuki i tak zamknięte dla wyższych aspiracyj moralnych. Poeta na całém swém dziele wycisnął pieczęć rozsądku prozaicznego i ironicznego podobnie jak Cerwantes „który swoim Don Kiszotem „wygnał wprawdzie z Kastylii wszystkich błędnych rycerzy, ale zarazem zabił egzaltacyą, dowodząc, że tylko życie praktyczne było stosowne dla narodu rozumiejącego swe zadanie na ziemi.“ Stąd nie podoba mu się wcale ironia, z jaką 'poeta mówi o przygodach hrabiego. W wykonaniu poematu wyróżnia trzy rodzaje natchnienia: 1) indyjski, polegający na ożywianiu przyrody i nadawaniu najdrobniejszéj nawet rzeczy roli czynnéj; 2) homeryczny, mianowicie w opisie serwisu; 3) romantyczny, głównie przejawiający się w postaci Robaka a raczéj w jego przygodach. Autor żałuje, że tego trzeciego rodzaju natchnienia tak mało jest w „Panu Tadeuszu.“

Z powodu wypadków r. 1863 nastąpiła dziesięcioletnia przerwa w badaniach dotyczących „Pana Tadeusza.“ A w tym przeciągu czasu powoli dokonywała się zmiana w zapatrywaniach politycznych inteligentnego ogółu. To, czego pragnęli od Mickiewicza emigranci po r. 1831, stawało się mniéj pożądaném a niekiedy przez zbyt gorliwych neofitów wyklinaném; namiętne wybuchy zaczęto ganić i potępiać, a pracę spokojną podnosić i wielbić. Ta zmiana w poglądach politycznych przyczyniła się do zmodyfikowania sądów o arcydziełach poezyi nowożytnéj; a między innemi powodami wpłynęła także na mocne zaznaczenie wartości „Pana Tadeusza“ w przeciwstawieniu do III części „Dziadów“. Zwrot, jaki w pojęciach się objawił już przed r. 1862, nabrał wtedy siły i świadomości.

W r. 1872 najprzód w „Dzienniku Poznańskim“ a potém oddzielnie ukazały się „Uwagi nad Panem Tadeuszem“ (str. 90) napisane przez Hugona Zatheya. Było-to już studyum na szerszą skalę podjętém, mającém na celu umiejętne udowodnienie, że Pan Tadeusz jest epopeją, oraz scharakteryzowanie głównych cech poematu. Przyznając, że z powodu wybujałego indywidualizmu był w narodzie naszym materyał na epopeję, temperamentem sangwinicznym tłómaczy, dlaczego ona u nas tak długo nie powstawała. Dopiero w czasie wojen napoleońskich naród stanąwszy u pewnego kresu granicznego mógł spojrzéć w epokę poniekąd już zamkniętą i skończoną i ożywić to w pieśni, co zamierało w życiu. Następnie autor, opierając się na wywodach Hegla, wyjaśnia właściwości epopei, a stosując określenie jéj do Pana Tadeusza, widzi w naszym utworze wszystkie cechy

prawdziwego eposu, przyczém Jacka Soplicę (Robaka) utożsamia z ojczyzną; historya jego bowiem, zdaniem Zatheya, wyobraża los całego narodu w jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Niebawem wszakże opowiadając szczegółowo tę historyą i dając bliższe określenie charakteru Jacka, popada z sobą w sprzeczność mieniąc Jacka przedstawicielem nie już całéj ojczyzny ale tylko „skompromitowanych.“ Roztrząsa potém autor religijność, surowość obyczajów, przywiązanie sług, stosunek rezydentów do rodziny, stosunek wieśniaków do szlachty, rozbiera charaktery, analizuje obrazy natury. Wytyka brak w poemacie kobiety—gospodyni i brak uwydatnienia ciemnéj strony wpływu żydowskiego. Zanadto silnie akcentuje przedmiotowość utworu, „Słyszymy—powiada—natchnione słowo poety, a nie widzim jego twarzy; czujemy ciepło jednostajnie rozlane po całém dziele a nie widzimy *ani piersi ani serca* (?) poety; dotykamy się kształtów, które wyrzeźbił, a nie znać ręki rzeźbiarza.“ Ostatecznie zaś formułując swe zdanie, mówi z zapałem: „Pan Tadeusz jest szczytem twórczości Mickiewicza, jest najważniejszym i najznakomitszym faktem w historyi polskiéj poezyi—i jedyny ten poemat ma warunki ziszczenia pięknego marzenia poety: że kiedyś nawet wieśniaczki wezmą do ręki: te księgi proste jako ich piosenki... Po Iliadzie i Odysei nie było i niemasz epopei wyższéj i bardziéj oryginalnéj jak Pan Tadeusz. Nie idąc śladem wielkich poematów Homera, równą im jest co do wartości pod każdym względem i możemy być pewni, że bezstronny sąd całego świata postawi Pana Tadeusza w jednym szeregu z epopejami Hellenów.“

W tym kierunku zestawiania „Pana Tadeusza“ z epopejami greckiemi następcy poszli daléj; nie tylko chcieli go widziéć „w jednym szeregu“ z niemi, ale zażądali, żeby go postawiono wyżéj nad nie. W r. 1873 miał w Tarnowie odczyt nauczyciel gimnazyalny Fr. Habura p. n. „Pan Tadeusz a Iliada“ i w szumnych frazesach zaczął zestawiać Zosię z Heleną, Tadeusza z Eneaszem... dowodząc wyższości cywilizacyi chrześcijańskiéj nad klasyczną, a zarazem Pana Tadeusza nad Iliadą. Mianowicie, zdaniem prelegenta, wzniosła postać Robaka, którą poeta nasz zastąpił bogów homerowskich nie chybiając wierze w opatrzność, wyższość tę poematowi naszemu nadaje. W obu epopejach widnieje wielka piękna idea „ludzkości“ (Achilles i Pryam; Jacek i Gierwazy), ale ludzkość Achillesa nie wynikała z serca, jako wolą bogów nakazana; u Mickiewicza przeciwnie rodząc się w sercu przechodzi w czyn. Jako najwspanialszą ideę pana Tadeusza przedstawia emancypacyą kmieci. Za bohatera uważa Tadeusza, „co wyrósł sercem nad innych, co miał serce ogarniające całą ludzkość.“ Pomijając inne tego rodzaju określenia, zaznaczyć

wypada, iż p. Habura dojrzał podmiotowość w niektórych miejscach naszego poematu, wbrew twierdzeniu Zatheya, i że podmiotowość tę nie za wadę, lecz za zaletę utworu poczytał (1).

Odmiennym tonem przemówił w r. 1874 Albert Gąsiorowski w książce p. n. „Adam Mickiewicz od wyjazdu z Petersburga i Pan Tadeusz“ (tom pierwszy, Wadowice str. 192). Nie jest ta praca dotychczas ukończona; nie znamy zatém ogólnego sądu o poemacie, ale z rozbioru szczegółów, w obszernym zakresie podjętego, widać, że się autor do bezwarunkowych wielbicieli epopei nie zalicza. I on przecież uważa „Pana Tadeusza“ za wybitny obraz życia narodowego w stanowczéj chwili. W jakim stosunku zostawał poeta do swojéj kreacyi, tego w dotychczas wydanéj części swego studyum nie określił stanowczo; wyróżnił tylko trzy punkty zapatrywania się, które w poemacie dostrzegł. Najprzód zdaje się mu twórca Pana Tadeusza być epikiem „który jak drugi Homer ociemniawszy, zerwał wszelki stosunek z teraźniejszym światem, w sercu jego zastygło uczucie a zatopił się cały we wspomnieniach; więc je odtwarza z dokładnością i pilnością człowieka, który wierzy, że spełnia miły cieniom przodków uczynek.“ Lecz czasem zdaje mu się, że poeta „stworzył według swego pomysłu obrazy przyrody i życia ludzkiego, idealne a piękniejsze od rzeczywistości.“ Najczęściéj wszakże autorowi przychodziło na myśl, że poeta „okiem pogardy patrzy na stworzone przez siebie postacie,“ że „szyderstwo ściąga jego usta do gorzkiego uśmiechu“, że „obrazuje wady i słabości narodu, aby je gryzącą chłostać satyrą.“ Na tę stronę utworu najbaczniejszą zwrócił uwagę Gąsiorowski, twierdząc i starając się dowieść, że „*żadna* z osób będących przedstawicielami charakteru narodowego nie jest tak czystą i wzniosłą moralnie, aby za idealny wzór dobrego służyć mogła,“ że „jeżeli jaka z wielkich cnót upiększa którą z postaci, to w téj saméj przy cnocie, wystawione są słabości niezgodne z prawem życia rodzinnego i społecznego,“ że „co najwięcéj umysłowa strona tych ludzi z krwi i kości, żyjących i działających w poemacie to jak ugór zarośnięty chwastem, potrzebujący sprawienia; a stąd dążenia tych ludzi przy wielkich małe, przy szczytnych nizkie, cele ich życia często tak drobnostkowe, że litość bierze nad nimi i radzibyśmy im mówili: życie wasze mogło być tak piękne wśród waszych stosunków i otoczenia, a wyście je tak nizko przeżyli“ (95, 96). W rozbiorze charakterów stara się autor wykazać ich ułomność mianowicie pod względem moralnym. Jacek to „rubaszna, egoistyczna natura,

---

(1) „Pan Tadeusz a Iliada.“ Odczyt publiczny Fr. Habury, miany 21 listopada 1873 w Tarnowie. Odbitka z „Dziennika Mód.“ Kraków, 1874 str. 33.

niezdolna do szlachetnych porywów i uniesień," nie mająca miłości bliźniego ani przed zabiciem Stolnika ani późniéj, gdy przywdział habit bernardyna. Duma niepohamowana przejmowała nawskróś jego istotę; nawet w habicie wstydzi się oddać prawéj dziedziczce to, co mu się od Targowiczan dostało; istota jego pokuty „zupełnie jest fałszywa, bo on się stosownie do potrzeby nie skruszył wewnętrznie, nie złagodniał, nie zwyciężył swojéj gwałtowności, nie zniżył się do pokory; nie miał w sobie nawet nic z chrześcijanina." Sędzia—to wprawdzie człowiek wielce uzdolniony do życia praktycznego, ale jest porywczy, gwałtowny, upornie trwa na stanowisku wyłączności szlacheckiéj, ma szczególną do pieniactwa skłonność, a co ważniejsza moralność jego jest mocno podejrzana, jeżeli przyjmuje darowiznę dóbr od Jacka, z wiedzą, jak się dobra te bratu jego dostały. Tadeusz—to chłopak pełen kaprysów, uporu i nie bardzo miłosierny. Zosia byłaby arcydoskonałym typem dziewczęcia szlacheckiego „gdyby choć trzy lata upłynęły od owéj chwili, gdy ujrzawszy niespodziewanie Tadeusza w swoim pokoiku, krzyknęła jak dziecko przestraszone we śnie, do pożegnania relikwiarzykiem i łzami wyruszającego na wojaczkę młodzieńca." Słowa Zosi wypowiedziane wówczas do Tadeusza:

Niechaj pan zawsze z sobą relikwie nosi
I ten obrazek, a niechaj pamięta o Zosi—

słowa tak proste, tak szczere wydają się Gąsiorowskiemu niewłaściwemi z powodu wieku Zosi; tak wypowiedziane uczucie uważa za „obrażające w nierozwiniętém dziewczęciu." Ależ choćby z Pamiętników Ewy Felińskiéj wiedziéć było można, że w epoce, w któréj rzecz poematu się odbywa, trzynastoletnie nawet panny wychodziły już za mąż, a bardzo wcześnie wprowadzane były między gości i obznajmiały się z mową serca a raczéj komplementów.

Takie i tym podobne krytyczne uwagi, z uporem starające się wyszukać ujemności moralne w postaciach poematu zarówno głównych jak i drugorzędnych (np. Podkomorzy) rzadko kiedy mogą się ostać wobec bezstronnéj rozwagi. Z uwag innego rodzaju zasługuje na podniesienie to, co mówi Gąsiorowski o braku przedstawicieli płci niewieściéj i o chronologii w „Panu Tadeuszu." Nie tyka on kwestyi dni w tygodniu jak Fr. R., ale roztrząsa wiek niektórych osób. Nie można się wprawdzie i tu zgodzić na jego wywody, gdy np. mówi, iż Sędzia nie mógł skończyć retoryki w jezuickiéj szkole z powodu, że zakon jezuitów zniesiono w r. 1773, i gdy poprawia poetę, zamieniając szkołę jezuicką na pijarską; bo pod tym względem poeta może być najzupełniéj usprawiedliwionym, jeżeli np. Sę-

dzia kończył szkoły u jezuitów na Białéj Rusi, gdzie, jak wiadomo, przetrwali do r. 1820. Nie pisząc się jednak na rozumowanie Gąsiorowskiego, zauważyć trzeba, że poruszył kwestyjkę ciekawą, a dotychczas przez nikogo nie dotkniętą. Istotnie wynalezienie objaśnienia co do lat sędziego i Jacka jest bardzo trudne, a może nawet niepodobne. Jeżeli bowiem Sędzia siedział retorem u jezuitów, kiedy Jacek prowadził życie hajdamackie tj. około r. 1793, toby w r. 1811 nie mógł mieć chyba więcéj nad lat 30, gdy tymczasem w poemacie występuje jako stary, poważny obywatel mający co najmniéj pięćdziesiątkę.

W r. 1875 wyszła w Paryżu bardzo interesująca broszurka p. n. „Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania Pana Tadeusza; list do syna Adama przez J. B. Zaleskiego.“ W niéj mamy szczegółowo skreślone zewnętrzne dzieje powstania i rozwijania się arcydzieła poety naszego. Obok korespondencyi Mickiewicza jestto najważniejsze źródło do oznaczenia dat napisania pojedyńczych ksiąg Pana Tadeusza, jako téż okoliczności, wśród których poeta je tworzył.

W r. 1877 ukazał się w „Ateneum“ artykuł Władysława Nehring o „Panu Tadeuszu.“ Dwa mianowicie przypuszczenia miał na myśli autor: jedno, że Mickiewicz znał krytykę Schlegla na Hermana i Dorotę Goethego, i że według zasad tam rozwiniętych pisał swoję „piękną i wzorową epopeję“; oraz drugie: że poeta nasz napisał był przed Panem Tadeuszem inny poemat: „Legionista,“ w którym główną figurą był Jacek Soplica, że pierwotnie Robak nie był przeznaczony na główną osobę w „Panu Tadeuszu, nigdzie bowiem w pierwszych trzech pieśniach nie ma żadnych napomknień o stosunku Robaka do Tadeusza; że z „Legionisty“ weszły do Pana Tadeusza takie np. sceny jak narada u Maćka w Dobrzynie, znaczna część treści dwu ostatnich ksiąg i Robak w karczmie. Gdy poeta wsunął ten ostatni ustęp, gdzie była wzmianka o niedzieli, nie spostrzegł się, że poprzednie zdarzenia przypadną na piątek i sobotę, a stąd owo mięsne śniadanie w dzień postny. Oprócz szczegółowego rozwinięcia tych dwu przypuszczeń, którym pewnéj podstawy odmówić niepodobna, Nehring raz jeszcze zwrócił uwagę na brak kobiet w Panu Tadeuszu, pierwszy dotknął podobieństwa pomiędzy Pamiątkami JPana Seweryna Soplicy a arcydziełem Mickiewicza, oraz wykazał życiowe wpływy w niém odbite. Nehring w portrecie Telimeny widzi psychiczną brzydotę i zarzuca poecie jako fałsz w obrazie Litwy z 1811 i 1812 wprowadzenie takiéj postaci; pytając, czy możliwa aby jéj podobnych było w Litwie na początku naszego wieku tak wiele, że mogła uchodzić za typ Litwinki. Pod tym względem, zdaje mi się, że

Nehring zapatruje się niewłaściwie; poecie w obrazie Telimeny o typ nie chodziło, ale o jednostkę, która mu była nieodbicie potrzebna dla kontrastu poetyckiego.

W „Roczniku Słowiańskim“ na rok 1878 w Kijowie wyszedł obszerny „Rozbiór poematu Mickiewicza Pan Tadeusz z historycznego punktu widzenia“ napisany w języku rosyjskim przez Emiliana Kala (1). Po wstępie, bardzo żywo przypominającym poglądy Zatheya, brane nie wprost z jego rozprawy, ale ze skróconego wyciągu zamieszczonego w „Rysie dziejów literatury polskiéj“ Zdanowicza-Sowińskiego, autor podaje osnowę poematu z początku szczegółową, potém zwięzłą, a następnie, lubo uważa historyą Jacka Soplicy za treść i węzeł całego utworu, przyznaje wszakże, że myślą jego zasadniczą było zobrazowanie spolonizowanéj Litwy ze wszystkiemi jéj prywatnemi i społecznemi polskiemi urządzeniami. Widzi subjektywny pierwiastek i nie gani go, a ze słów poety wzdychającego do jazdy, która wojuje szaraki, i piechoty, która nosi broń na ptaki, wyprowadza wniosek, że Mickiewicz „trzeźwo patrząc na rzeczy ganił zagraniczną działalność emigrantów polskich i był przekonany, że ojczyzna daleko więcéj zyska, jeżeli rodacy zamiast za oręż chwycą za sierp i kosę, a zamiast gazetami zajmą się rachunkami domowemi.“ Z analizy obrazów natury, życia wewnętrznego szlachty i jéj zewnętrznych stosunków niewiele mamy do zaznaczenia oryginalnych spostrzeżeń. Kal zauważył, że niektóre przymioty szlachty, jak np. religijność, czystość obyczajów a szczególniéj wierność małżeńską Mickiewicz przedstawił „zbyt idealnie“ (2). Hrabia zdaniem Kala, miał być w myśli poety „przedstawicielem téj części młodzieży, która szukając na Zachodzie cywilizacyi i oświaty, nie wyrzekała się przecież uczuć narodowych i przyswoiwszy sobie pewne małoznaczące cudzoziemskie przywyknienia, mogła wnieść do kraju nie jednę pożyteczną zasadę, nie jednę zdrową myśl“ (3). Autor sądzi, że jeżeli domowe życie szlachty przedstawił poeta drobiazgowo, to nie zrobił tego względem objawów życia społecznego, gdyż wyprowadził tylko na jaw zajazdy, porządki prawne i staropolskie sejmiki (4). Przyznaje Mickiewiczowi bezstronność w odmalowaniu Rosyan w przeciwieństwie do Niemców, których tylko z komicznéj przedstawił strony; a lubo widzi, iż poeta polski chciał wykazać wyższość swoich rodaków nad Rosyanami, nie poczytuje mu tego za złe, uważając to za rzecz naturalną (5).

---

(1) Slawianskij Jeżegodnik 1878, str. 70—115: „Razbor poemy Mickiewicza Pan Tadeusz s istoriczeskoj toczki zrenja.“

(2) Tamże, str. 100.—(3) Tamże, str. 103.—(4) Tamże, str. 104.—(5) Tamże, str. 114.

W poście r. 1878 Stanisław Tarnowski wystąpił z trzema odczytami o Panu Tadeuszu. Z samego przeznaczenia téj pracy wynikało, że nie mógł to być naukowy rozbiór poematu, ale tylko estetyczna pogawędka o arcydziele. Tarnowski jako mówca mistrzowski zebrał wszyskie kwiaty wymowy, ażeby z nich upleść wspaniały wieniec i złożyć go u stóp wielkiego poety ku podziwowi ogółu. Odznaczając się delikatném i subtelném poczuciem piękna wykazał wszystko, co tylko było wielkiego, wspaniałego lub prawdziwego i trafnego w kompozycyi, w charakterystyce osób, w opisach natury, w przedstawieniu bitwy. Była-to świetna mowa pochwalna tém się różniąca od zwykłych tego rodzaju utworów, że odnosiła się do przedmiotu ze wszech miar godnego pochwały (1).

W r. 1883 p. Adam Bełcikowski zamieścił w „Nowéj Reformie" (N. 72—75) „Kilka myśli o Panu Tadeuszu" (2). Wykazał tu różnice sposobu tworzenia Mickiewicza od techniki Goethego: odrzucenie stałych „epitetów", skrócenie długich mów, przyśpieszenie tempa akcyi, barwność języka. Co do powtarzania dłuższych ustępów, autor mniema, iż „możnaby posądzić Mickiewicza, że temi powtarzaniami chcial wywołać jedynie: komiczne wrażenie przez delikatną, pełną uszanowania dla Homera i gienialną parodyą sposobu przez niego w innych okolicznościach używanego". Za bohatera poematu poczytuje nie Tadeusza lub Jacka, ale całą ojczyznę. To tłómaczy, zdaniem autora, dlaczego postacie poematu stoją w równym z sobą rzędzie, dlaczego liryzm tak ważne w nim znajduje miejsce, dlaczego są w nim tak szerokie opisy natury. „Ludzie XIX wieku—powiada on—my nie jesteśmy Grekami klasycznéj epoki; nasze uczucie jest delikatniejsze i tkliwsze; co Grek pokrywał i pochłaniał w sobie olimpijskim spokojem, z tém my musimy się wywnętrzyć i wyrzucić z siebie jako ciężar nazbyt nas ugniatający."

W tymże roku p. D. Zgiński napisał i wydał rozprawkę „O humorze w Panu Tadeuszu".

W roku 1884 w „Dzienniku Poznańskim" (N. 120 — 136) drukowało się studyum Aëra. Zestawia on Pana Tadeusza z Homerem; podaje charakterystykę osób, sądzi, że „ani w Polsce ani na Litwie istnieć nie mógł" taki hrabia jakiego Mickiewicz wystawił, gdyż pan wychowany za granicą proces zdałby na plenipotenta, samby w gwarne towarzystwo polującéj szlachty nie wchodził i dla zdobycia serduszka Zosi po łopuchach-by i trawach się nie czołgał. Uważa za pomysł znakomity, iż Tadeusza przedstawił poeta jako *tabula ra-*

(1) Zob. moje sprawozdanie z odczytów Tarnowskiego w „Niwie" 1878, t. I. 794—804.

(2) Przedrukował je w 1884 „Tygodnik Powszechny."

sa, na któréj przyszłość dopiero ma niezatarte głoski wypisać, Zosię poczytuje za najpiękniejszą z postaci kobiecych, jakie poezya nasza wystawiła. I on sądzi, że bohaterem poematu jest cały naród i dowodzi, że domaganie się wyraźnego indywidualnego bohatera w epopei nie jest rzeczą słuszną. Humorystyczny charakter epopei, będący czysto-narodowego pochodzenia jest, zdaniem Aëra jéj „największą zaletą". Historycznie zaś biorąc jedną z głównych zalet Pana Tadeusza były słowa miłości i pokoju wśród niesnasek emigracyjnych.

Równocześnie ze wzmożonym ruchem na polu studyów nad Panem Tadeuszem ukazywały się nowe wydania poematu z ilustracyami i bez nich; a prócz tego wyszły dwa nowe przekłady na język niemiecki (Weissa i Lipinera), na język rosyjski (Berga) i czeski (Krasnohorskiéj). Z powodu tych przekładów rozprawiano naturalnie o poemacie naszym i w obcém czasopiśmiennictwie.

Wobec takiego zainteresowania się „Panem Tadeuszem" podjęcie specyalnéj o nim pracy było rzeczą wielce pożądaną. Dokonał jéj p. Henryk Biegeleisen, młody uczony, który w krótkim przeciągu czasu pracami historyczno-literackiemi i wydawnictwami pozyskał sobie rozgłos. Pracy jego jako najszczegółowszéj, przyjrzymy się bliżéj.

III.

Autor rozpoczyna studyum swoje od wstępu, w którym zebrał starannie z korespondencyi samego poety i z opowiadań spółcześników wszystkie szczegóły z życia Mickiewicza w czasie pisania „Pana Tadeusza". Jestto najdokładniejsza i najwszechstronniéj przedstawiona historya powstania tego poematu i wypadków, wśród których Mickiewicz go pisał. Z konieczności dotknąć tu autor musiał początkowych dziejów emigracyi. Wobec braku krytycznie opracowanéj historyi naszych wychodźców, autor poszedł za poglądem, który w ostatnich kilkunastu latach ze względów politycznych bardzo niekorzystnie działalność ich wystawić usiłował; a na potwierdzenie tego poglądu przytacza p. B. liczne wyjątki z listów Mickiewicza. Zdaje mi się, że p. B. zbyt pochopnie a niekrytycznie uogólnia jaskrawe szczegóły i na ogół działań emigracyi je przenosi, i sądzę, że gdyby się był ograniczył na zaznaczeniu, jak ruchy emigracyjne na Mickiewicza oddziaływały, bliższym byłby prawdy. Listy, jako wyraz chwilowego usposobienia i nastroju, spowodowanego jakimś faktem pojedyńczym lub kilku faktami, nie mogą być brane nie tylko za zdanie historyi ogarniającéj całość znaną faktów danéj

chwili, ale nawet za zdanie zupełne i całkowite pewnéj osobistości po przejściu tego lub innego usposobienia. Są one bardzo cennym materyałem w ustaleniu szczegółów dziejowych zewnętrznych i usposobienia osób, ale w oznaczeniu poglądu ogólnego wymagają szczególnéj baczności krytyka. Mickiewicz nie był w tém położeniu na emigracyi, ażeby mógł całkiem bezstronne o niéj wydawać zdanie, już przez to samo, że w wypadkach, które ją poprzedziły, nie brał udziału. Jako objaw reakcyi przeciwko przecenianiu znaczenia emigracyi potępianie jéj daje się wytłómaczyć; ale obecnie jest ono już spóźnioném i winno ustąpić miejsca spokojnéj historycznéj ocenie.

Co się tyczy dziejów powstania poematu są one nadzwyczaj sumiennie spisane, o ile naturalnie starczyły materyały. Jednę tylko wadę zarzucić-by im można, wadę, która całemu wogóle dziełu zaszkodziła niemało, a mianowicie brak dobrze obmyślanego planu. Z początku zamierzył widocznie autor historyą tę obrobić krótko ale w miarę pisania znajdując coraz to nowy materyał, robota rosła; zabrakło mu cierpliwości do dokładnego przejrzenia tego, co już napisał, więc posługiwał się frazeologicznemi przejściami, ażeby nowe wiadomości, które powinny były znaleźć się już dawniéj, dołączyć dopiero w dalszym ciągu. I tak na str. V—VII dotyka autor sprawy opóźnienia w pisaniu „Pana Tadeusza“ z powodu zajęcia się przygotowaniem do druku i korektą pism Stefana Garczyńskiego. Zdawałoby się rzeczą słuszną, iż po raz pierwszy wspominając nazwisko Garczyńskiego powiedzieć wypadało, jakie stosunki łączyły go z naszym poetą, jeżeli się nie chciało uważać téj okoliczności za znaną czytelnikom specyalnego studyum o „Panu Tadeuszu“. P. B. tymczasem dopiero na str. XXIX, kiedy już o bardzo różnorodnych a z Garczyńskim związku nie mających rzeczach wypisał się, uważał za potrzebne dać objaśnienie, kiedy i wśród jakich okoliczności Garczyński poznał Mickiewicza. Dokonał tego za pośrednictwem łącznika frazeologicznego, mówiąc bowiem, że Mickiewicz wyjechał dla pielęgnowania chorego przyjaciela, dodaje objaśnienie, odkąd Garczyński miał już początki suchot. Ze względów czysto formalnych nic takiemu związaniu zarzucić nie można; ale ze względu na naturalne połączenie, pożądaném byłoby objaśnienie o Garczyńskim wcześniejsze. Podobnież rzecz o emigracyi na str. IX—XI właściwsze miejsce znalazła-by wcześniéj, to jest tam, gdzie po raz pierwszy mówi autor o pobycie poety naszego w Paryżu.

Te dwa przykłady nie są bynajmniéj odosobnione; mają owszem liczne towarzystwo we wstępie. Nie myśląc tu szczegółowego robić wykazu, poprzestaję na nich dla scharakteryzowania układu i sposobu wiązania w grupy wiadomości pracowicie zbieranych. Autor

zanadto się daje opanowywać kojarzeniem się wyobrażeń, a w skutek tego bardzo często zawcześnie rozprawia o tém, coby przy ściślejszém zachowaniu planu musiało być odłożoném na późniéj, lub téż w niestosownem miejscu podnosi szczegóły, których właściwa doniosłość okazałaby się wyraźniéj, gdybyśmy je w innem połączeniu poznali. Np. wpływ Giaura na Pana Tadeusza, o którym mówi autor zaraz na początku wstępu (VII, VIII), mógłby daleko stosowniéj być wykazanym tam, gdzie autor starał się wykazać różnorodne czynniki, jakie się na wytworzenie poematu złożyły (str. XLV — LXXVIII).

Po tym wstępie historycznym rozpoczyna się rozbiór estetyczny. Zgóry przedewszystkiém zaznaczyć potrzeba, co i autor w liście prywatnym zastrzegł, iż rozbiór ten nie jest zupełny, że dotyka tylko niektórych kwestyj. Zdziwić się tylko można, że p. B. przedsiębiorąc tak obszerne i tak pracowite studyum nad „Panem Tadeuszem“, odłożył na późniéj rzecz najważniejszą, to jest analizę psychologiczną i estetyczną charakterów w tym poemacie występujących. Co prawda, charaktery te dotychczas bywały najczęściéj w studyach nad „Panem Tadeuszem“ przedmiotem roztrząsania; myślał więc zapewne autor, że przedewszystkiém zająć się potrzeba temi pytaniami, które najmniéj do téj pory zwracały uwagi. Ze względu jednak metodycznego takie pomijanie rzeczy już roztrząsanych nie może zasłużyć na pochwałę. Od zrozumienia bowiem charakterów w poemacie zależy przeważnie ocena jego wartości i doniosłości estetyczno-społecznéj; a że charaktery te rozmaicie bywały i mogą być rozumiane, stąd téż wyniknąć muszą różnice w ocenie całości. W skutek pominięcia téj najważniejszéj kwestyi w rozbiorze estetycznym, książka p. B. przedstawia się jako zbiór rozpraw luźnie ze sobą zestawionych, nie zaś jako całość zaokrąglona, lub téż część pierwsza takiéj całości.

Wszystkich rozpraw jest dziewięć: 1) Obraz życia szlacheckiego w Panu Tadeuszu, 2) Plan i kompozycya poematu, 3) Przedmiotowość Mickiewicza w P. T., 4) Podmiotowość Mickiewicza w P. T., 5) Malowniczość M-a w P T., 6) Epizody w P. T., 7) Dyalog w P. T., 8) Technika Homerowska w P. T., 9) Styl Mickiewicza w P. T.

Dlaczego w takim porządku rozprawy te zostały ułożone, trudno określić. Jeżeli pierwsza rozprawa miała na celu przedstawić treść poematu, w przeciwstawieniu do dalszych, zajmujących się jego techniką, to jest na to zaszczupła i wygląda bardzo nieproporcyonalnie względem reszty dzieła. Jeżeli zaś miała dostarczyć materyału, na którym mógłby autor osnuć wszystkie dalsze wywody, to zamiaru tego przez nią nie osiągnięto; autor do niéj się nie odwo-

łuje, a jeżeli mu potrzeba, to powtarza nie raz i nie dwa też same cytaty. Dlaczego o technice Homerowskiéj mówi autor na 8 miejscu, i dlaczego wogóle robi z tego osobną rozprawę, nie wiadomo, gdyż pisząc o przedmiotowości, o dyalogu i o stylu, wszystko co tu osobno powiedział autor dałoby się stosowniéj zużytkować. Podobnież niepodobna zrozumiéć, dlaczego dyalog odłączony został od stylu i traktowany osobno; naukowo rzeczy biorąc, dyalog jako jedna z form stylu powinien był jedną być objęty rozprawą; uniknęłoby się tym sposobem niejednego powtórzenia. O „epizodach“ mówi autor na 6 miejscu, gdy po temu najodpowiedniejszy był rozdział, w którym plan i kompozycya poematu rozbiorowi poddaną została. Przy takiém drobieniu i rozłączaniu kwestyj ściśle do siebie należących, nie znajdujemy natomiast wcale rozdziału o sytuacyach. Czyżby o nich w „Panu Tadeuszu“ nic nie było do powiedzenia? Bynajmniéj. Mówi o nich autor, ale w rozproszeniu, przy sposobności. gdy o innych kwestyach rozprawia.

Jako estetyk zrozumie p. B., dlaczego tak nastaję na układ dzieła. Gdzie układ jest jasny, przejrzysty i na pewnéj zasadzie oparty, tam i czytelnik oryentuje się łatwo, chwyta w lot pogląd autora, przyswajając go sobie lub z nim do walki występując; ale gdzie są różnorodne rzeczy złączone a jednorodne rozłączone, tam uwaga czytelnika nuży się, a w skutek tego z trudnością goniąc za myślą autora, zna ją i pojmuje dopóki czytanie się odbywa; potém wrażenia się zacierają — i po złożeniu książki szczegóły tylko pojedyncze utkwią w pamięci, pogląd zaś ogólny ulatnia się z łatwością; książka zatém nie osiąga skutku zamierzonego i pożądanego przez autora.

Przejdźmy do saméj treści. We wstępie p. B. parokrotnie z naciskiem zaznaczył, że uważa „Pana Tadeusza“ nie za epopeję, ale za powieść (str. XXXIV, LXXXV), powiadając, że ją „niewłaściwie“ i „sztucznie“ wyniesiono do znaczenia epopei narodowéj, oskarżając „nowszą krytykę“ o popełnienie tego estetycznego błędu. W samém dziele autor roztrząsa wszędzie poemat nasz ze stanowiska reguł, określających treść i formę epopei, wytykając braki, jakie z zaniedbania czy pominięcia tych reguł w „Panu Tadeuszu“ dostrzega. Obraz całego narodu—powiada—odmalowany do najdrobniejszych szczegółów może najpiękniéj w Iliadzie i Odysei, *poznał* (?) teoretycznie pierwszy Hegel. Goethe poszedł w Hermanie i Dorocie inną drogą, rozszerzając szczupłe ramy swego obrazka za pomocą nieskończonéj perspektywy. Mickiewicz, niezadowolony tą idealną formą, przedstawił realnie całe bogactwo narodowego życia w rozmiarach i masach *heroicznéj epopei*. Z otwartém sercem *obejmuje* tu

poeta *cały strumień* narodowego życia w epoce najwyższéj chwały Napoleona, z prawdziwą epiczną wszechstronnością ogarnia i tuli do łona, nie opuszczając żadnéj właściwości, żadnego charakterystycznego rysu... Pan Tadeusz to ognisko, do którego schodzą się promienie z całéj Polski" (str. 4, 6). Jeżeli zestawia Pana Tadeusza z jakimi utworami, to ma na widoku tylko epopeje takie jak Iliada i Odyseja, albo sielankę epiczną taką jak Herman i Dorota. Porównywując zdanie we wstępie wyrażone z tém, co w dziele saméni mówi p. B., dostrzegamy sprzeczność, któréj nigdzie nie tylko znieść się nie stara, ale nawet jéj złagodzić. Ponieważ autor przywiązuje wielką wagę do określeń i reguł, sprzeczność ta témbardziéj razi uważnego czytelnika, który znajduje się w kłopocie co do poglądu samego autora. Co do mnie, to jakkolwiek widzę w „Panu Tadeuszu" brak wszechstronnego obrazu życia narodowego w danéj epoce, brak mianowicie kobiety dojrzałéj z dodatnim charakterem i przedstawiciela mieszczaństwa, które już przynajmniéj od roku 1794 swoje polityczne stanowisko zaznaczyło, uznać go jednak muszę nie tylko za „historyą szlachecką", ale i za epopeję zarówno ze względu na treść jak i ze względu na formę. Gdybyśmy byli zmuszeni uważać „Pana Tadeusza" tylko za powieść epiczną, to wówczas musielibyśmy zganić cały sposób traktowania przedmiotu, zbyt poważny i podniosły w wielu miejscach względnie do treści, rozpatrywanéj tylko w jéj jednostkowém znaczeniu jako wypadek nie zaś jako cecha znamienia życia narodowego. Z drugiéj zaś strony przy takiém rozumieniu rzeczy historya miłosna w „Panu Tadeuszu" wydałaby się nam jako zbyt pobieżnie przedstawiona, a więc stosownie do przypuszczalnego założenia niewyzyskana. Łatwo wszelako dowieść, że takie zapatrywanie się jest całkiem mylne, jeżeli przyjmiemy, że „Pan Tadeusz" jest epopeją. Wówczas w obrazie życia narodowego miłość będzie musiała odegrać taką tylko rolę, jaką ma w ogóle tego życia, które się przeważnie składa z powikłania spraw i interesów innego niż erotyczny charakteru. Wówczas też owe ustępy o położeniu politycznem Europy, działalność Robaka, wkroczenie wojsk Napoleońskich wydadzą się nam nie tylko potrzebnemi, ale koniecznemi.

Wié o tém wszystkim p. B. i dlatego w samém dziele nie robi „Panu Tadeuszowi" zarzutów jako powieści epicznéj, ale tylko jako epopei. Wypowiada je w sposób bardzo dosadny, rozprawiając o planie i kompozycyi poematu. Krytyk twierdzi, że „całość poematu działa *więcéj*, jak mozaika z przecudnych epizodów ułożona, nie zaś jak jednolita architektoniczna ludowa" (str. 31). Ażeby dowieść tego twierdzenia, autor opiera się na aksyomacie staréj poe-

tyki, że „akcya poematu jest wtedy tylko jednolitą, jeżeli wychodzi jak z centralnego organu od bohatera poematu i stąd rozpościera się na wszystkie strony coraz dalej i dalej, jak fale około wrzuconego w wodę kamienia“. Według téj teoryi „od początku aż do końca utworu powinna występować jedna wybitna osoba, do której się odnoszą wszystkie zdarzenia pośrednio i bezpośrednio“. Twierdzenie to, lubo przez wielu powtarzane, jest zupełnie dowolne. W pierwszéj europejskiéj epopei, Iliadzie, Achilles od II do XVIII pieśni nie występuje czynnie wcale, siedząc w namiocie; bo téż nie o niego chodzi, lubo w inwokacyi o nim pieśniarz i o jego gniewie śpiewać pragnie. W Iliadzie nie osoba pojedyńcza wytwarza jedność poematu, ale przedstawienie stosunków Greków z Trojanami; starcie się obu narodów, oto wątek poematu wywołujący jednolitość akcyi. Podobnież i w naszéj epopei nie jest bohaterem ani Tadeusz ani Robak, ale szlachta polska w chwili promiennych przyszłością nadziei. Wykazanie zatém, że Jacek dopiero właściwie czynnym jest w IV pieśni, że w V i VI niéma go zgoła, w VIII tak jakby go nie było, a nie może już być w XI i XII, nie dowodzi zgoła braku jednolitości akcyi. Inne wywody krytyka, mające na celu dowiedzenie, że „Pan Tadeusz“ to tylko „prześliczna mozaika przedmiotów i figur“ nie mają bynajmniéj siły przekonywającéj. Tadeusz nie jest bohaterem aż do V pieśni tak samo jak nim nie jest Hrabia, Sędzia lub Telimena: są to poprostu różni tylko przedstawiciele szlachty polskiéj, mający swoję odrębną indywidualność. Spór Asesora z Rejentem biegnie równolegle z główną akcyą, nie będąc z nią połączony—to prawda, ale niesłusznéni i nieuzasadnionem jest domaganie się autora, iżby poboczne osoby działały „tylko pod wpływem stanu i dominujących stosunków, spowodowanych przez główną osobę“. Tak wystawione działanie pobocznych figur dowodziłoby owszem, że poeta tworzy sztucznie manekiny tylko, nie zaś żywe, własnym indywidualizmem nacechowane osobistości. Jest to chyba wielką naszego poety zaletą, iż każda jego osoba, lubo z całością związana, ma swój własny charakter, ulegający mniéj lub więcéj wpływom otoczenia i wypadków, lecz ogólnych nie zaś „spowodowanych przez główną osobę“. Spór Asesora z Rejentem jest tak samo potrzebnym do scharakteryzowania usposobienia i narowów szlachty, jak spory w karczmie o herby lub krój taratatki; przyczyniają się one do wszechstronniejszego odmalowania życia szlacheckiego, co było głównem poety zadaniem. Równie błędnem jest zapatrywanie się autora na stosunek historyi miłosnéj ze sprawą zajazdu. Krytyk gorszy się, że cała akcya od V pieśni począwszy nie ma ściślejszego związku z „zawikłaniami Tadeusza“. Ależ one tego „ściślejszego“ związku mieć na-

wet nie mogły, chociaż się z niemi łączyły za pośrednictwem obudzonéj w Hrabi zazdrości. Poeta dobrze zrobił, że interesa materyalne i podrażnioną miłość własną, niknącą wszakże wówczas, gdy wspólna myśl wyższa lub potrzeba obrony przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi łączy powaśnionych, odmalował szerzéj niż miłosne zapały, gdyż tak było i tak jest w świecie rzeczywistym. Ponieważ poeta pragnął odtworzyć życie ogółu szlachty polskiéj, nie zaś przygody miłosne Tadeusza lub hrabiego, nie potrzebował zatém mówić o nich we wszystkich księgach i czynić ich sprężyną wszystkich wypadków. Zapaliwszy się raz do robienia zarzutów, krytyk popada nieraz w sprzeczność sam z sobą. I tak np. str. 13 twierdzi i dowodzi, że „osoby poematu są ściśle związane z wypadkami politycznemi“ i że „na powszechno-dziejowym gruncie obraca się *cała powieść*“; a na stronie 53 ubolewa nad tém, że „cały stan polityczny nie odbija się na osobach powieści.“ Na tém miejscu mówi wprawdzie krytyk tylko o zarysie stanu politycznego, umieszczonym w I księdze „Pana Tadeusza“; ale wobec takiego twierdzenia, owe ogólne zdania na str. 13 wyrażone musiałyby być znacznie zmodyfikowane, jeśli krytyk chciał uniknąć zarzutu o nieścisłość wyrażenia. Gdyby był rozważył chłodno a dokładnie cały układ poematu, toby przyznał zapewne, że tło polityczne traktował Mickiewicz po mistrzowsku, że potrafił bardzo umiejętnie złączyć sprawę całego kraju z interesami powaśnionych rodów i z historyą miłosną, że w rozmowie przy stole, w obecności Rykowa, nie mogły być sprawy polityczne poruszane inaczéj niż tak jak je Mickiewicz przedstawił.

Pomijając drobniejsze zarzuty, wypływające wogóle z mylnego założenia, iż w poemacie potrzebnym był nieodzownie „jeden główny bohater,“ przystępuję do rozpatrzenia tych, które z innego punktu widzenia wyniknęły.

Najważniejszym byłby zarzut, że w Panu Tadeuszu akcya „wogóle nie rozwija się z charakterów“ (str. 33), gdyby się okazał uzasadnionym. Mojém zdaniem tak nie jest. W stosunkach politycznych akcya wypływa istotnie z usposobienia i charakteru narodu, który pomimo wszelkich wad swoich ma jednę wielką zaletę: kocha kraj nadewszystko i gotów zapomnieć o swoich waśniach i interesach, gdy ojczyzna poświęceń i działania wymaga. W stosunkach sąsiedzko-społecznych wszystko, co się dzieje w poemacie, jest skutkiem zalet lub wad osobistości, które w nim występują, zarówno rozmowy przy stole, jak spory, zarówno polowanie, jak zajazd i bitwa, zarówno przyjęcie gościnne sztabu polskiego jak oswobodzenie włościan przez Tadeusza i uwagi Gierwazego tym aktem wywołane. W stosunkach wreszcie indywidualno-miłosnych wszystkie postępki

przygody i zawikłania są rezultatem charakteru Tadeusza, Hrabiego, Telimeny i Zosi. Tadeusz jako młodzieniec świeży, nieobeznany jeszcze ze światem, nieśmiały, łatwo się daje ująć uśmiechowi podstarzałéj, ale zręcznéj kokietki, umiejącéj nadać sobie wdzięk młodości i zainteresować do swojéj osoby; ale jako nieodrodny syn Sopliców, będąc gwałtownym, prędkim i szorstkim, poznawszy omyłkę, bez ceremonii daje uczuć Telimenie zmianę swoich popędów, a wiedząc że popełnił złe, chce się czémprędzéj z domu oddalić zwyczajem wszystkich ludzi krewkich, którzy uniknąć chcą konsekwencyj swego nierozważnego postępowania. Jego ostatnia rozmowa z Telimeną odkrywa nam jego trzeźwe a w wyrażeniach rubaszne zapatrywanie się na miniony z nią stosunek. Podobnież możnaby wykazać, iż sentymentalny Hrabia widzący wszystko przez szkła konwencyonalnéj poezyi, ale w gruncie człowiek dobry, Telimena zepsuta życiem petersburskiém, ale z sercem litościwém, Zosia prosta, bierna, ale w małych rzeczach rezolutna, działają i mówią zgodnie ze swoim charakterem.

P. B. nie ocenił widocznie doniosłości swego frazesu, którego zresztą niczém nie poparł, wypowiadając zarzut mogący zniszczyć wszystkie zachwyty nad „Panem Tadeuszem“ nie tylko bezwzględnych chwalców, ale nawet i jego samego. Przeciwnie, w poemacie naszego poety widzimy doskonale przedstawioną zależność wszystkich słów i postępków, całéj słowem akcyi od charakterów w niéj udział biorących. W „Panu Tadeuszu“ nic się nie dzieje przypadkiem ani témbardziéj nic takiego, coby z charakterem osób było niezgodne. Ta właśnie zaleta sprawia, że opowiadanie i malowanie wywiera wrażenie takie jak rzeczywistość, że wszystkie szczegóły wydają się nam jakby powtórzeniem znanych i widzianych rzeczy, osób lub zdarzeń.

Zarzut, że charaktery nie rozwijają się w dyalogu, gdyż poeta zarówno główne jak podrzędne osoby oraz ich czynności „sam opisuje zamiast je przedstawiać“ (str. 33)—w tak ogólném wyrażeniu nie może być również za słuszny uznany. Sam krytyk na następnéj stronicy zaznacza, że poeta z Hrabią i Gierwazym, z terytoryum i z całą historyą przed zaczęciem powieści zapoznaje nas w dyalogu, a w osobnéj rozprawie dyalogowi poświęconéj (str. 283—298) przytacza wiele innych przykładów i modyfikuje swoje pierwotne zdanie, powiadając, że „akcya i charaktery Pana Tadeusza rozwijają się w części przynajmniéj za pomocą rozmowy.“ Gdyby był to zdanie sformułował trochę rozciągléj, gdyby zamiast „w części przynajmniéj“ był powiedział „w znacznéj części“ byłby jeszcze bliższym prawdy.

W oznaczeniu nastroju, w jakim trzymany jest Pan Tadeusz, nie okazał się p. B. zdecydowanym i pewnym siebie. Raz utrzymuje, iż „tęskno-radośnym, na pół elegicznym tonem tak właściwym epicznemu poecie tchnie całe opowiadanie o tém dzielném pokoleniu, które znikło już nazawsze“ (str. 11), drugi raz w przeciwstawieniu do naiwnego Homera nazywa Mickiewicza „humorystycznym poetą“ (23). trzeci raz twierdzi, że Mickiewicz w Panu Tadeuszu „jest na wskroś realistą“ (291), czwarty raz widzi w nim „wiele duchowego pokrewieństwa z Ariostem“ (49), a po wielekroć akcentuje tę okoliczność, że poeta był romantykiem. Taka różnorodność określeń wywołuje zamieszanie w umyśle czytelnika, który nie może sam tych różnorodnych, nieraz wprost ze sobą sprzecznych i wyłączających się właściwości zlać w jednę całość i wyobrazić sobie poetę takim, jakim się w Panu Tadeuszu przedstawia. A gdy jeszcze z tą rozmaitością oznaczeń połączą się bardzo nieokreślone pojęcia, jakie krytyk do wyrazów romantyczność, realizm, humor przywiązuje, to trudno doprawdy zdać sobie sprawę, czém się według p. B. epopeja nasza znamionuje. Krytyk gdzie tylko ujrzy księżyc lub brak dokładnego wyjaśnienia wypadku, wytyka zaraz romantyzm, humor miesza z żartobliwością i ironią, a za właściwość realizmu poczytuje posługiwanie się karykaturą i „przewróceniem wszystkiego na wspak“ (str. 137). Zdaje się, że krytyk sam nie wyrobił sobie wyraźnego i ściśle określonego pojęcia o charakterze poematu, a rozbierając szczegóły, do nich tylko różne swe oznaczenia stosował, nie zważając, jak one w połączeniu i skupieniu się przedstawią.

Faktem jest, iż Mickiewicz w Panu Tadeuszu traktuje ludzi i rzeczy realistycznie; ale realistą „na wskroś“ nie jest i być nie mógł, jako wychowaniec klasycyzmu a twórca romantyzmu naszego. Pomimo przekonania, że poeta odtwarzać winien rzeczywistość w jéj charakterystycznych objawach i odtwarzać tak, ażeby w zestawieniu wypadków i w ich połączeniu jaknajmniéj było dowolności artystycznéj; pomimo usposobienia już w samém zaraniu twórczéj działalności uwydatnionego do kreślenia przedmiotowo postaci ludzkich, działania ich, myśli uczuć i mowy; nie mógł się przecież Mickiewicz i nie potrzebował wyzbywać ani nawyknień poetyckich, przejętych z czytania epopei greckich, ani téż tego podmiotowego nastroju, jaki rozwinął i z liryki do epiki wprowadził romantyzm. Taką mi się wydaje gieneza sposobu artystycznego tworzenia, jaki się odbił w Panu Tadeuszu. Z niéj wynika ta nowa charakterystyczna cecha, jaką wniósł do poezyi naszéj Mickiewicz, a mianowicie realizm, miarkowany wspomnieniami klasycyzmu i dążeniami romantyzmu. Tak pojęta, może ułatwić pogodzenie tych różnorodnych twierdzeń,

jakie w książce p. B-a napotykają się obok siebie niezharmonizowane i nieujęte w jeden ogólny pogląd. P. B. zdaje się niekiedy żałować, że Mickiewicz wprowadzając liryzm i dramatyczność do swojego utworu zamącił spokój epickiego opowiadania, i rozprawiając o malowniczości i dyalogu w Panu Tadeuszu, niejednokrotnie różne objawy nie-epickiemi nazywa; ale niekiedy znowuż staje na właściwém w ich ocenie stanowisku objaśniając je rozwojem życia wewnętrznego, które u epików starożytnych nie uwydatniało się z taką siłą i z taką głębią, jak w czasach nowszych. Wprawdzie nie piszę się wcale na mniemanie p. B., że „świat wewnętrzny nie był jeszcze za Homera znany“ (str. 67), bo istnienie uczuć rodzinnych i rodowych, wiara w bogów itd. itd., głośno przeczą takiéj opinii, która nawet ze stanowiska Hegla nie dałaby się usprawiedliwić, ale bądź-co-bądź uważam za rzecz niewątpliwą, iż świat ten wewnętrzny w daleko prostszych wyrażał się objawach niż dzisiaj i mógł być plastyczniéj i przedmiotowiéj ujęty i przedstawiony. Było-to dziejową niemal koniecznością, że w „Panu Tadeuszu“ podmiotowość zajęła dość znaczne miejsce; a ponieważ podmiotowość ta nie zaszkodziła bynajmniéj ani planowi dzieła, ani charakterystyce osób, ani rozwojowi wypadków, nie możemy na nią sarkać; ze względu zaś na ogólny jeszcze, uczuciowy stan umysłowości narodu, uważać ją za dobrą i odpowiednią zamiarowi poety. Całkiem objektywne utwory poezyi u nas dziś jeszcze niezupełnie dobrze są oceniane i rozumiane.

Z kwestyą podmiotowości łączy się kwestya tak zwanego „humoru“ w Panu Tadeuszu. W poemacie tym niéma, zdaniem mojém, humoru w estetyczném znaczeniu tego wyrazu, niéma owego „uśmiechu z poza łez“, jaki charakteryzuje taki nastrój; jest natomiast dobroduszna ironia, a czasami, w bardzo rzadkich wypadkach, sarkazm. Ironia ta różni się od ironii romantycznéj tym właśnie przymiotem, jaki był właściwością naszego poety, to jest dobrodusznością. Ona to unosi się łagodnie uśmiechnięta ponad tym rozgwarem życia, jaki wre czy-to w Soplicowie we dworze lub w karczmie, czy w Zaścianku wśród mniejszych i większych, oświeceńszych i ciemnych; ona wskazuje nam w poecie mędrca, który lubo sam przebywa na wyżynach myśli, rozumie i uznaje objawy najprostszych, mało co od stanu pierwotnego różnych form uspołecznienia i rozwoju duchowego; ona to sprawia, że nie czujemy zbyt dotkliwie rozstępu, jaki zachodzi pomiędzy codziennemi, potocznemi zajęciami, zabawami i rozmowami ludzi zapełniających widownię „Pana Tadeusza“, a spowiedzią Jacka lub ukazaniem się sztabu polskiego, gdyż towarzysząc tamtym powszednim objawom, szeroko rozprowadzonym, sprowadza je do właściwego ich znaczenia, zakreśla im odpowiednie miejsce na skali życia narodowego.

Najobszerniejszą, najszczegółowszą, prawdziwie wyczerpującą przedmiot rozprawą jest w książce p. B. rozdział o „Malowniczości w „Panu Tadeuszu“ (str. 113—266). Jest to rzecz tak dalece w sobie zaokrąglona i luźnie tylko z innemi rozprawami zestawiona, że w niéj autor rozszerza się nad okolicznościami, wśród których powstał Pan Tadeusz (str. 182—187), a więc raz jeszcze przedstawia to, co we wstępie napisał. Wyróżnia tu naprzód opisy osób i miejscowości, „przyobleczone w historyczną sukienkę“ od opisów, tamujących tok opowiadania. Za przykład pierwszych podaje opisy gry Wojskiego, Jankiela i inne, za przykład drugiego opis dworku Maćka nad Maćkami, Karczmy i innych. Następnie zastanawia się nad rozmaitemi środkami techniki poetyckiéj w malowaniu ludzi i rzeczy, jako to: uwydatnianie miejscowości, oznaczenie położenia i otoczenia, ubioru, użycie kontrastów. Najobszerniéj wszakże rozwodzi się nad krajobrazami, które bardzo szczegółowo i trafnie analizuje, oparłszy się zasadniczo na uwagach Brandesa w dziele: Główne prądy literatury wieku XIX. Oddając należną pochwałę pracowitości autora i trafności jego szczegółowych spostrzeżeń, nie mogę i tutaj nie wytknąć zdań sprzecznych, które ogólny pogląd zaciemniają. Na pytanie: jakie oświetlenie przeważa w obrazach Pana Tadeusza znajdziemy po kolei następujące odpowiedzi:

1) Mickiewicz „jako *prawdziwy romantyk* rozjaśnia niby, to znów zaciemnia urocze zjawisko, nie pokazując go nigdy w pełném oświetleniu słoneczném (1), w którémby rozwiało cały urok poetycznego *clair-obscur*“ (str. 147).

2) „Koloryt i oświetlenie krajobrazów Mickiewicza, są *jasne* i ciepłe“ (str. 147).

3) U Mickiewicza „zasadnicze oświetlenie jest łagodne, jasne i promieniejące“ (str. 245).

4) W krajobrazach Pana Tadeusza „najczęściéj spotykamy romantyczne zjawisko światłocieni, *clair-obscur*“ (str. 246).

5) „Ulubioném oświetleniem Mickiewicza jest błyszczenie, migotanie (2) i odbicie światła“ (str. 247).

6) „Krajobrazy Mickiewicza odznaczają się przedewszystkiém tęczowym i błyszczącym kolorytem“ (str. 251).

---

(1) Słowa te wypowiada autor z powodu Zosi. Otóż trzy karty przedtém (str. 141) powiedział autor te słowa: „Zosia występuje *zawsze* w *promienistym blasku słonecznym*, otaczającym jéj główkę“.

(2) Nawiasem dodam, że p. B. poczytujący błyszczące i migotliwe oświetlenie za właściwe romantyzmowi tylko, myli się. Przykład z Pana Tadeusza (str. 243) „Dach *złocił się* od słońca“ itd. ma swój odpowiednik w II ks. Przemian Owidyusza przy opisie pałacu słońca „clara micante auro, flammasque imitante pyropo“ etc.

7) Natura w Panu Tadeuszu „odmalowana przeważnie w żywych i jasnych kolorach“ (str. 253).

8) Wreszcie autor w kilkunastu miejscach powtarza z naciskiem, że w obrazach przyrody Mickiewicz był realistą (str. 181, 198, itd. itd.). Podobne zagmatwanie panuje w dziele p. B-a i co do orzeczenia, czy podmiotowość w krajobrazach jest uprawnioną i o ile Mickiewicz jest podmiotowym w malowaniu przyrody. Raz zdaje mu się, że „subjektywne pojmowanie (!) natury jest dziś jedynie uprawnione“ (str. 164), drugi raz sądzi, że nawskroś liryczne krajobrazy „nie licują z epicznym nastrojem“ (str. 237), z czegoby oczywiście wynikał wniosek, że jeżeli podmiotowe, a więc liryczne przedstawianie natury jest jedynie uprawnione, to w poematach epicznych nie powinno być krajobrazów wcale. Raz utrzymuje, że „Mickiewicz przedstawił nam przyrodę taką, jaką jest, była i będzie zawsze i *dla każdego*“ (str. 195), z czegoby wynikało, że w krajobrazach jego niéma podmiotowych pierwiastków, ale niebawem odkrywa krytyk u Mickiewicza humorystyczny sposób traktowania obrazów natury (str. 216), a więc już indywidualny, od chwilowego nastroju zależny.

Wykaz takich sprzeczności, a może tylko nieścisłości mógłby być dość pokaźnym; nie zamierzam jednak go wypisywać; zwłaszcza że i tak już zbyt długo o ujemnych stronach dzieła mówiłem. Nie chciałbym, ażeby czytelnicy zbyt pochopni do uogólnień, mieli niekorzystne o niém wyobrażenie, gdyż obok błędów są tu tak wielkie i tak rzadkie u naszych pisarzów przymioty, że autorowi wdzięczni być winniśmy za pracę sumienną, szczegółową i na wiele dotychczas nierozpatrywanych kwestyj zwracającą uwagę. Wadą główną w wykonaniu całości jest brak dobrze obmyślanego planu, ten brak, który p. B. wytyka nie tylko innym poematom naszym, ale nawet samemu Panu Tadeuszowi... Zalety zaś są w szczegółach; w pracowitéj i umiejętnéj analizie całéj technicznéj strony poematu. Za wybornie obrobiony rozdział uważam rzecz o stylu w Panu Tadeuszu, dotkniętą przez autora po raz pierwszy, a wykonaną dokładnie z całą znajomością przedmiotu. Autor określiwszy ten styl jako „indywidualny i charakterystyczny“ uważa go za „wprost przeciwny epickiemu nastrojowi“. Pogląd ten jest w związku z kwestyą realizmu Mickiewicza i stosownie do jéj rozwiązania może być pochwalonym lub zganionym. Ale nie na nim opiera się wartość rozdziału, tylko na wskazaniu różnych środków stylowych, któremi się Mickiewicz w Panu Tadeuszu posługiwał, jako to: inwersyj, antytez, onomatopei, epitetów, przenośni, porównań, anafor, gradacyj itd. Na każdą niemal uwagę autora zgodzić się tu można, tak, iż ten rozdział wolno poczytywać za trwały nabytek naszéj krytyki stylistycznéj.

Język i styl samego autora za piękny uchodzić nie może; lubo nie brak mu ożywienia, zręcznych zwrotów i subtelności analitycznéj. Pod względem poprawności i czystości za wzór służyć nie będzie: takie nieznośne giermanizmy jak: „z reguły" (zam. zazwyczaj, pospolicie), „przychodzą" (zam. znajdują się) itp. są tu dość częste. Niektórych wyrażeń autor dobrze widać nie rozumie, kiedy np. mówi na str. XXXV o „ostatniém pomazaniu" Pana Tadeusza przed jego „chrzcinami"; albo kiedy wyznaje (str. 47), że niejasnym dla niego jest wiersz z Pana Tadeusza: „Lis wznosi kitę i wiatr *nią*, jak wachlarzem, ku *swym* nozdrzom tuli", nie domyślając się, że *wiatr* jest tu biernikiem zależnym od słowa *tuli*.

Na tych uwagach poprzestaję. P. Biegeleisen książką swą, ogłoszoną w 50-ą rocznicę wyjścia z druku Pana Tadeusza rozpoczął okres szczegółowych, krytycznych studyów nad najznakomitszym naszym poematem; jest-to największa pochwała, jaką pracy jego oddać można; torowanie bowiem drogi jest sprawą najtrudniejszą, w któréj popełnione błędy nie mogą zadziwiać, a okazane zalety na tém większe zasłużyć powinny uznanie.

P. Chmielowski.

TABLICA ŚMIERTELNOŚCI

MIESZKAŃCÓW MIASTA WARSZAWY,

ułożona na podstawie jednodniowego spisu ludności, odbytego w dniu 9 lutego 1882 roku.

Warunki wśród których człowiek żyje, zarówno klimatyczne jak ekonomiczne i wywiązujące się z obyczajów, nawyknień i porządku życia, oddziaływają bardzo stanowczo na jego organizm a zatém na stan zdrowia i długość życia. Dla tego téż przeciętna długość życia ludzkiego okazuje się rozmaitą w różnych krajach i miejscowościach. Zbadać jak się faktycznie przedstawia długość życia ludzkiego jest rzeczą bardzo ważną dla celów naukowych zarówno jak i praktycznych; medyk hygienista, porównywając przeciętne lata umierających w rozmaitych miejscowościach, znajduje wyjaśnienie, jakie warunki są korzystne dla zdrowotności ogólnéj i może dawać wskazówki co robić należy żeby oszczędzić ludziom cierpień fizycznych a przysporzyć im zdrowia i siły. Ekonomista, rozważając liczbę ludzi dojrzałych, do pracy zdatnych, w stosunku do dzieci i starców, rozporządza materyałem do wniosków o możliwym stopniu wzrastania bogactwa w danym kraju i o kierunku w którym praca wytwórcza może być korzystniéj użytą. Nowoczesne instytucye społeczne ubezpieczenia życia oparte są już specyalnie na faktach śmiertelności, operują one nad nimi zapomocą rachunku prawdopodobieństwa i zapewniając zyski kapitalistom, ofiarują z drugiéj strony publiczności jednym więcéj sposobów oszczędzania się w wydatkach i zapewniania jakich takich środków dla swego potomstwa, które bez tego, przy śmierci głowy rodziny, pozostając w nędzy łatwiéj by uległo niszczącym jéj wpływom i opłakanym skutkom, daje więc to spo-

łeczeństwu możność lepszego rozwijania sił własnych i osiąga się przez to większy pożytek dla ogółu.

Dla tych powodów, wielu uczonych, pojmując dobrze całą ważność badań nad ludzką śmiertelnością, pracowało usilnie nad ułożeniem, o ile można jaknajściślejszych, tablic, wskutek czego wiele krajów i miast europejskich posiada już, dla różnych epok, mniéj lub więcéj ścisłe cyfry. Warszawa pozostała w tyle i co gorsza, nie bardzo zanosi się na to, aby brak ten wkrótce, w pożądany sposób, uzupełniony został.

Praca niniejsza ma być maleńkim krokiem naprzód, jaki ośmieliłem się, o ile na to posiadane przezemnie materyały pozwoliły, uczynić. Ponieważ jednak sam przedmiot mało jest znany naszemu społeczeństwu, zatém, chcąc być zrozumianym przez jaknajszersze koło czytelników, uważam za właściwe przedewszystkiém, w kilku chociaż wyrazach, dać pewne pojęcie o tém, co się przez prawdopodobieństwo zejścia (śmierci) rozumi i co przedstawiają tak zwane tablice śmiertelności.

Wyobraźmy sobie 10.000 osób, które jednocześnie skończyły lat 30 i przypuśćmy, że z nich w ciągu roku umarło np. 100. Stosunek liczby drugiéj do pierwszéj, tj. 100 : 10000=0,01 nazywa się prawdopodobieństwem zejścia w ciągu roku dla 30-letniéj osoby. Znając to prawdopodobieństwo, obrachować można liczbę osób, jaka z pośród pewnéj liczby 30-letnich, jednocześnie żyjących, umrze w ciągu roku; dość bowiem tę ostatnią liczbę pomnożyć przez prawdopodobieństwo śmierci 30-letniéj osoby. Przyjmując np. 0.01 za prawdopodobieństwo śmierci dla 30-letniéj osoby, z pośród 4.000 takich osób, w ciągu roku najprawdopodobniéj umrze: $4000 \times 0{,}01 = 40$.

Przypuśćmy daléj, że dla każdego wieku znamy prawdopodobieństwo zejścia w ciągu roku. Wówczas z łatwością obliczymy, ile osób np. z 10.000 nowonarodzonych umiera w ciągu pierwszego roku życia, a więc téż, ile dożyje jednego roku; z ostatniéj liczby—ile umiera pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia i ile dożyje dwóch lat itd. Gdy otrzymane rezultaty tak zestawimy z sobą, że w pierwszéj kolumnie stać będą liczby: 0, 1, 2, 3, itd., oznaczające lata, a obok nich liczby osób, dosięgających lat życia, liczbami pierwszéj kolumny wskazanych, to mieć będziemy tak zwaną tablicę śmiertelności.

Zachodzi teraz pytanie, z jakich dat statystycznych i w jaki sposób tablicę śmiertelności otrzymać można?

Pomijając Halley'a metodę, jako całkiem już zaniedbaną, bo nie wytrzymującą krytyki, wszystkie inne sposoby dają się sprowadzić w swéj zasadzie, do dwóch następujących.

Pierwszy polega na tem, żeby posiadać liczbę wszystkich urodzonych, w pewném społeczeństwie, ludzi w ciągu pewnego szeregu po sobie idących lat, np. w ciągu 100-u lat, i liczby zmarłych w ciągu pewnego roku, z podziałem tych ostatnich ze względu na ich wiek. Znając bowiem liczbę zmarłych w pewnym wieku i liczbę jednocześnie z nimi urodzonych, iloraz, otrzymany z podzielenia liczby pierwszych osób przez liczbę drugich, wskaże nam prawdopodobieństwo z jakiém nowonarodzony umrze w pewnym wieku, co—jak wiemy—posłuży do ułożenia tablicy śmiertelności.

Sposób ten, jakkolwiek ścisły i jasny w zasadzie. jest jednak bardzo trudny do przeprowadzenia w praktyce, bo wymaga długoletniéj (około 100-letniéj) obserwacyi, w czasie któréj wielu z pośród współcześnie urodzonych opuszcza rodzinne społeczeństwo, utrudniając tém samém obserwacyą, która musiałaby więc być przeprowadzoną z nadzwyczaj mozolną i niezmiernie wytrwałą starannością. Zresztą sposób ten, jako w części zależny od śmiertelności, panującéj przed wielu latami, nie daje zupełnie dokładnego wyobrażenia o téj śmiertelności, jaka istnieje w chwili, gdy tablica jest układaną.

Sposób drugi polega znów na tém, aby w danéj chwili oznaczyć liczbę żyjących każdego wieku (spis ludności) i liczbę zmarłych, również każdego wieku, w ciągu bezpośrednio po spisie następującego roku. Wtedy bowiem, dzieląc odpowiednie sobie liczby ostatnie przez pierwsze, otrzymamy prawdopodobieństwa zejść dla każdego wieku w ciągu roku, które widzieliśmy—również służą do ułożenia tablicy śmiertelności.

Drugi ten sposób, jak łatwo dostrzedz, usuwa pierwszą a zmniejsza drugą trudność poprzedniéj metody, posiada więc warunki, które przypuszczać pozwalają, że wydać może bardzo cenne owoce.

Oba jednak opisane sposoby przedstawiają inną jeszcze, wspólną sobie, trudność, która, chociaż nie odbiera im ważności to jednak, jeżeli nie zostanie usuniętą, osłabia bardzo ścisłość otrzymanych rezultatów.

Aby to zrozumieć, wyobraźmy sobie raz jeszcze 10000 żyjących, ale obecnie już tak jak się w rzeczywistości przedstawiają, tj. nie mających jednocześnie ukończonych 30-u lat życia, lecz będących w wieku od 30 do 31 lat, w dniu, dajmy na to 1 stycznia 1882 r. i pewną liczbę. np. 100-u, zmarłych w tymże wieku, w ciągu 1882 roku. Według ogólnéj zasady drugiego sposobu układania tablic śmiertelności, stosunek 100 : 10000 = 0,01 będzie prawdopodo-

bieństwem zejścia w ciągu roku dla 30-letniego człowieka. Łatwo jednak zauważyć można, że sposób ten nie daje zupełnie ścisłego rezultatu, gdyż pomiędzy 100-u zmarłymi w ciągu 1882 r. są tacy, którzy dopiero po 1-ym stycznia 1882 r. skończyli 30 lat, a więc zostali zaliczeni do téj setki zmarłych pomimo, że się nie mieszczą pomiędzy 10000-mi żyjących w dniu 1-ym stycznia 1882 r., w wieku od 30 do 31 lat. I naodwrót, niektórzy z pośród 10.000 żyjących w d. 1-ym stycznia 1882 r., w wieku od 30 do 31 lat, zmarli w ciągu 1882 roku już po skończeniu 31-u lat, a więc nie zostali wliczeni do 100-u zmarłych w tymże czasie pomimo, że są zaliczeni do 10.000 żyjących w d. 1 stycznia 1882 roku.

Okoliczności te wymagają uwzględnienia, jeżeli omawiane sposoby układania tablic śmiertelności mają dać zupełnie ścisłe rezultaty.

A jednak do niedawna nie zwracano na to uwagi tak, że dopiero dr. G. F. Knapp (1) i dr. Gustaw Zeuner (2) dokładnie ten przedmiot wyświetlili i podali zupełnie ścisłe sposoby usunięcia tych niedokładności, objaśniając, jak powinna być prowadzoną statystyka śmiertelności, aby dała możność pokonania opisanych trudności.

Jakie to są sposoby, o tém nie tu miejsce mówić i dla tego też odsyłamy ciekawych do naszéj broszury (3), w któréj znajdą treściwy opis sposobu, podanego przez dr. Zeunera.

Tutaj nadmienimy tylko, że do ułożenia dokładnéj tablicy śmiertelności nie wystarcza jeden spis. Przeciwnie, im więcéj takich spisów uwzględnimy, tém bogatszy zbierzemy materyał, który w końcu pozwoli nam ułożyć wysokiéj wartości tablicę.

Na nieszczęście dotąd daty statystyki śmiertelności nie są zbierane w dość racyonalny sposób, doniosłość prac obu powyżéj wzmiankowanych uczonych nie została jeszcze dostatecznie ocenioną i uwzględnioną, wskutek czego układający, pod naciskiem potrzeby, tablice śmiertelności są zmuszeni uciekać się do różnych hipotez i wymyślać rozmaite, że tak powiem, spekulacye rachunkowe, byle dojść do rezultatów, więcéj lub mniéj zbliżonych do rzeczywistego stanu rzeczy. Te zaradcze sposoby bywają bardzo rozmaite, zależą od pomysłowości autorów, a więc ważną jest rzeczą, aby każda w ten sposób powstała tablica była zaopatrzoną w objaśnienie, jaką ją drogą otrzymano.

---

(1) Ueber die Ermittlung der Sterblichkeit aus den Auszeichnungen der Bevölkerungs-Statistik. Lipsk, 1868 r.

(2) Abhandlungen aus der Mathematischen Statistik. Lipsk, 1869 r.

(3) Z dziedziny statystyki matematycznéj, Warszawa, 1884.

Jednéj z takich spekulacyjnych dróg postępowania użyliśmy do ułożenia tablicy śmiertelności dla mieszkańców Warszawy i dla tego też, przed jéj podaniem, opiszemy posiadane przez nas materyały i sposób przeprowadzenia rachunku.

Za materyał, do ułożenia tablicy śmiertelności, posłużyła mi liczba żyjących mieszkańców miasta Warszawy, oznaczona przez odbyty w dniu 9 lutego 1882 r. spis ludności, oraz liczba zmarłych w czasie od d. 9 lutego 1882 r. do d. 9 lutego 1883 r., podawana tygodniowo i rocznie w specyalnie wiadomościom statystycznym poświęconych dodatkach do „Gazety policyjnej“ miasta Warszawy.

Z wydrukowanéj już części I „Rezultatów spisu jednodniowego ludności miasta Warszawy“ (tablica Nr. 1) dowiadujemy się mianowicie, że w d. 9 lutego 1882 r. Warszawa posiadała stałych i niestałych (oprócz przyjezdnych) mieszkańców (1):

W wieku od lat—do lat:	Mężczyzn:	Kobiet:	Razem:
0 — 5	22738	22980	45718
5 — 10	16533	17352	33885
10 — 20	40169	44016	84185
20 — 30	36573	40954	77527
30 — 40	25647	28683	54330
40 — 50	18858	21264	40122
50 — 60	12098	14650	26748
60 — 70	6119	7774	13893
70 — 80	1589	2453	4042
80 — 100	385	589	974

Ponieważ jednak, jak to późniéj zobaczymy, powyższe liczby porównywać nam przyjdzie z liczbą zmarłych w ciągu bezpośrednio następującego po spisie roku, a w liczbie zmarłych, w wieku od 0 do 5 lat, znajdują się téż dzieci, urodzone po spisie, z których jednak nie wszystkie, zmarłe w ciągu roku od chwili ich urodzenia się do liczby zmarłych w ciągu 1882 roku są zaliczone,—zatém, dla zmniejszenia ztąd powstać mogącego błędu, do liczby żyjących w wieku od 0 do 5 lat dodamy po połowie liczby urodzonych w ciągu bezpośrednio następującego po spisie roku, mianowicie: 3709 chłopców i 3562 dziewcząt, gdyż od 9 lutego 1882 r. do 9 lutego 1883 r. urodziło się: 7418 chłopców i 7124 dziewcząt.

Ze sprawozdania o ruchu ludności miasta Warszawy za rok 1882 (2), pokazuje się, że w ciągu 1882 r. (według kalendarza starego stylu) zmarło w Warszawie:

(1) Liczbę osób, posiadających więcéj, jak 100 lat — pomijamy.

(2) Dodatek do Nr. 54 „Gazety policyjnéj“ (23 marca 1883 r.)

W wieku od lat—do lat:	Mężczyzn:	Kobiet:	Razem:
0 — 5	4131	3677	7808
5 — 10	229	235	464
10 — 20	272	250	522
20 — 30	523	387	910
30 — 40	420	346	766
40 — 50	466	355	821
50 — 60	424	348	772
60 — 70	374	339	713
70 — 80	196	214	410
80 — 100	156	183	339

W tych liczbach mieszczą się jednak przyjezdni i mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy należą do parafii Warszawskich. W sprawozdaniu wykazaną jest tylko ogólna ich liczba: 1094, którą strącić należy w stosunku proporcyonalnym do ogólnéj liczby zmarłych, skoro żadnych innych, pod tym względem, wskazówek nie posiadamy. Nadto, ponieważ podane wyżéj liczby obejmują zmarłych w ciągu 1882 roku (v. s.), nam zaś są potrzebne liczby zmarłych w czasie od 9 lutego 1882 r. (n. s.) do 9 lutego 1883 r. (n. s.), przeto potrącić jeszcze należy zmarłych w ciągu pierwszych czterech tygodni 1883 r. (v. s.), co uczyniwszy, otrzymujemy na liczbę zmarłych w czasie od 9 lutego 1882 r. (n. s.) do 9 lutego 1883 r. (n. s.) następujące daty:

W wieku od lat—do lat:	Mężczyzn:	Kobiet:	Razem:
0 — 5	3776	3330	7106
5 — 10	196	204	400
10 — 20	246	229	475
20 — 30	496	365	861
30 — 40	398	314	712
40 — 50	424	326	750
50 — 60	396	326	722
60 — 70	347	321	668
70 — 80	173	195	368
80 — 100	145	173	318

Zaznaczyć tu musimy *jednę* ze słabych stron naszéj Warszawskiéj statystyki ludności — mimo, że jéj wykazy są zastosowane do szematów zalecanych przez budo-peszteński kongres statystyczny z 1876 r., mianowicie zwyczaj wykazywania liczby zmarłych, z podziałem na takie odstępy wieku, jak od 5 do 10 lat, gorzéj jeszcze od 10 do 20, od 20 do 30 lat itd., a najgorzéj od 80 do 100 lat. Lepiéj byłoby za-

chować odstępy jednoroczne: od 5 do 6, od 6 do 7 itd., albo przynajmniéj *jednostajnie* pięcioletnie.

Dla nas nawet odstępy pięcioletnie, ale *jednostajnie* pięcioletnie, byłyby bardziéj pożądane (które zresztą z jednorocznych sami sobie wyprowadzićbyśmy potrafili), bo nie mogąc, z powodu braku odpowiednio zebranych dat, zastosować ulepszonéj przez Knapp'a i Zeuner'a metody i nie mogąc nazbyt ufać ścisłości naszych dat statystycznych, mniejsze zapewne popełnimy błędy, zachowując odstępy pięcioletnie, aniżeli trzymając się odstępów jednorocznych, gdyby się nawet takowe w sprawozdaniu znajdowały.

Z tego samego powodu i dla dzieci w najmłodszym wieku zachowaliśmy odstęp od 0 do 5 lat, mimo, że sprawozdanie dzieli je na zmarłe w wieku od 0 do 6 miesięcy, od 6 do 12 miesięcy, od 1 roku do 2 lat i od 2 do 5 lat.

Dzieląc liczby zmarłych w czasie od 9 lutego 1882 r. do 9 lutego 1883 r. przez liczbę żyjących odpowiedniego wieku, w dniu 9 lutego 1882 r., otrzymujemy następujące przeciętne prawdopodobieństwa zejścia w ciągu roku dla mieszkańców Warszawy:

W wieku od lat—do lat:	Dla mężczyzn:	Dla kobiet:
0 — 5	0,14278	0,12546
5 — 10	0,01185	0,01175
10 — 20	0,00612	0,00520
20 — 30	0,01356	0,00891
30 — 40	0,01552	0,01095
40 — 50	0,02248	0,01533
50 — 60	0,03273	0,02225
60 — 70	0,05671	0,04129
70 — 80	0,10887	0,07949
80 — 100	0,37662	0,29202

Chodzi teraz o oznaczenie prawdopodobieństw zejścia w ciągu roku dla ludzi każdego wieku po szczególe, a więc dla nowonarodzonych, dla 1, 2, 3 letnich itd.

Do tego użyjemy ku pomocy jednéj z tablic zagranicznych, mianowicie tablicy śmiertelności mieszkańców miast belgijskich, ułożonéj przez Quetelet'a (1), dla tego właśnie, że jest ułożoną specyalnie *dla miast.*

Z tablicy téj, na przeciętne prawdopodobieństwa zejścia w ciągu roku przez mieszkańców miast belgijskich, otrzymujemy następujące liczby:

---

(1) Zaczerpnęliśmy ją z dzieła p. Eugeniusza Pereire: Tables de l'intérêt Composé, des annuités et des rentes viagéres. Paryż, 1873.

W wieku od lat—do lat:	Dla mężczyzn:	Dla kobiet:
0 — 5	0,11787	0,09661
5 — 10	0,01273	0,01240
10 — 20	0.00659	0,00724
20 — 30	0,01492	0,01184
30 — 40	0,01453	0,01468
40 — 50	0,01822	0,01565
50 — 60	0,02836	0,02237
60 — 70	0,05035	0,04095
70 — 80	0,09567	0,08934
80 — 100	0,18768	0,017928

które porównawszy z odpowiedniemi liczbami, otrzymanemi dla mieszkańców Warszawy, przekonamy się, że stosunki przeciętnej śmiertelności mieszkańców miasta Warszawy do śmiertelności mieszkańców miast belgijskich są następujące:

W wieku od lat—do lat:	Dla mężczyzn:	Dla kobiet:
0 — 5	1,21116	1,29862
5 — 10	0,93087	0,94758
10 — 20	0,92868	0,71823
20 — 30	0,90885	0,75253
30 — 40	1,06813	0.74591
40 — 50	1,23381	0,97955
50 — 60	1,15409	0,99463
60 — 70	1,12631	1,00830
70 — 80	1,13797	0,88975
80 — 100	2,00671	1,62885

Liczby te wskazują poprostu, ile razy śmiertelność mieszkańców Warszawy, w różnych latach życia, jest większa lub mniejsza od śmiertelności mieszkańców miast belgijskich, np. w wieku od 80 do 100 lat śmiertelność mężczyzn, zamieszkałych w Warszawie, jest dwa razy większa od śmiertelności tegoż wieku mężczyzn, zamieszkałych w miastach belgijskich.

Rozciągnąwszy otrzymane stosunki na poszczególne lata życia, czyli pomnożywszy prawdopodobieństwa zejść w ciągu roku, oznaczone z tablicy Quetelet'a dla każdego poszczególe wieku, przez odpowiednie, w ostatniej tabliczce wskazane stosunki, otrzymamy ostatecznie prawdopodobieństwa zejść dla mieszkańców Warszawy każdego poszczególe wieku, z pomocą których łatwo już da się ułożyć następująca tablica śmiertelności mieszkańców Warszawy.

Wieku lat	Mężczyzn			Kobiet		
	dożyło:	przeciętna długość życia, lat:	prawdopodobna długość życia, lat:	dożyło:	przeciętna długość życia, lat:	prawdopodobna długość życia, lat:
0	10000	25,36	5,24	10000	30,16	14.08
1	6883	35,62	36,90	7315	40.05	44.42
2	5985	39,87	42,61	6413	44,61	50,72
3	5512	42,26	45,31	5928	47,22	53.20
4	5207	43,71	46,64	5605	48,91	54.63
5	5023	44.29	46,86	5401	49.74	55,07
6	4928	44,14	46,46	5304	49,64	54,68
7	4868	43,68	45,84	5238	49,26	54,09
8	4814	43,16	45,20	5182	48,79	53,42
9	4768	42,57	44,53	5133	48,25	52,70
10	4735	41,87	43,77	5092	47,64	51,94
11	4709	41,09	42,96	5065	46,89	51,10
12	4685	40,30	42,14	5043	46,09	50,22
13	4665	39,47	41.29	5024	45.26	49,33
14	4643	38,66	40,45	5002	44,46	48,45
15	4619	37,86	39.62	4978	43,67	47,58
16	4593	37,07	38.82	4951	42,91	46,74
17	4562	36.32	38,04	4924	42,14	45,89
18	4529	35,58	37,28	4896	41,38	45.04
19	4493	34,86	36,54	4865	40,64	44,21
20	4453	34,17	35,83	4833	39,90	43,39
21	4405	33,53	35,15	4797	39,20	42,58
22	4349	32,96	34,51	4759	38.51	41,79
23	4284	32,45	33.91	4718	37,84	41,01
24	4214	31,98	33,35	4677	36,95	40,22
25	4151	31,46	32,74	4635	36,50	39,44
26	4093	30,90	32,11	4593	35,83	38,66
27	4039	30,30	31,44	4550	35,16	37.89
28	3987	29.69	30,77	4507	34,49	37,10
29	3937	29,06	30,08	4464	33,82	36,32
30	3887	28,43	29,39	4420	33,15	35,54
31	3830	27.85	28,74	4376	32,48	34,76
32	3772	27,27	28,10	4332	31.80	33,98
33	3715	26,68	27,44	4288	31,12	33,22
34	3658	26,09	26,79	4244	30,44	32,42
35	3601	25,49	26,13	4200	29.76	31,64
36	3546	24,88	25,46	4153	29.09	30,87
37	3491	24,26	24,78	4103	28,43	30,13
38	3436	23,64	24,10	4054	27,77	29,38
39	3381	23,02	23.42	4005	27,11	28,63
40	3326	22,39	22,74	3957	26,43	27,88
41	3254	21.88	22,16	3902	25.79	27,17
42	3181	21,37	21.59	3847	25,15	26,45
43	3108	20,86	21,01	3791	24.52	25,74
44	3036	20,34	20,43	3736	23,87	25,01
45	2965	19.82	19,83	3681	23,22	24.26
46	2902	19,24	19,18	3625	22,57	23,51
47	2839	18,65	18.52	3567	21,93	22.76
48	2775	18,07	17,86	3509	21,29	22,02

Wieku lat	Mężczyzn			Kobiet		
	dożyło:	przeciętna długość życia, lat:	prawdopodobna długość życia, lat:	dożyło:	przeciętna długość życia, lat:	prawdopodobna długość życia, lat:
49	2713	17,47	17,20	3450	20.64	21,31
50	2651	16,87	16,53	3391	19,99	20,60
51	2577	16,34	15,93	3324	19.39	19,92
52	2501	15,82	15,39	3256	18,78	19.27
53	2421	15,33	14,88	3187	18,18	18,63
54	2352	14,76	14,32	3117	17,57	18,00
55	2284	14,19	13,76	3047	16,97	17,36
56	2215	13,61	13,19	2977	16,35	16,72
57	2135	13,10	12,68	2911	15,71	16,06
58	2055	12,59	12,18	2845	15,07	15,37
59	1975	12,08	11,68	2778	14,42	14.68
60	1894	11,58	11,18	2706	13,79	14,02
61	1812	11,08	10,69	2627	13,19	13,37
62	1727	10,60	10,21	2541	12,62	12,76
63	1641	10,13	9,74	2452	12 06	12,16
64	1555	9,66	9,26	2360	11,51	11,58
65	1468	9,21	8,79	2264	10,97	11,01
66	1375	8,80	8,36	2164	10,46	10.47
67	1282	8.40	7,94	2064	9,94	9,92
68	1201	7,93	7,51	1967	9,41	9,40
69	1123	7,45	7,08	1870	8,87	8,89
70	1042	6,99	6,68	1757	8,41	8,45
71	962	6,53	6,25	1654	7.90	7,96
72	881	6,08	5,82	1558	7,35	7.44
73	799	5,65	5.41	1462	6.80	6,93
74	717	5,24	5.01	1355	6,30	6,28
75	636	4,85	4.69	1244	5.82	5,61
76	567	4,38	4,19	1133	5,34	4,94
77	499	3.90	3,59	1024	4.93	4,32
78	428	3,47	3,00	924	4,33	3 67
79	359	3,04	2,51	823	3,80	3,05
80	300	2,54	1,95	724	3,25	2,48
81	214	2,36	1.77	556	3,08	2,31
82	147	2,21	1,65	417	2.94	2,26
83	95	2,14	1,63	302	2,87	2,28
84	62	2,02	1,57	224	2.70	2,16
85	39	1,91	1,55	164	2,50	2,00
86	25	1,70	1,36	118	2,28	1,75
87	15	1,50	1.12	80	2,12	1.63
88	8	1,37	1,00	52	2,00	1,50
89	4	1,25	1,00	33	1.86	1,36
90	2	1.00	1,00	19	1,86	1,50
91	1	0,50	0,50	12	1,67	1.33
92	0	—	—	7	1,50	1,25
93	—	—	—	4	1,25	1,00
94	—	—	—	2	1,00	1,00
95	—	—	—	1	0,50	0,50
96	—	—	—	0	—	—

Dla objaśnienia nieświadomych, uważamy za właściwe wytłómaczyć w paru słowach, co oznacza „przeciętna i „prawdopodobna długość życia.“

Jeżeli wyobrazimy sobie pewną liczbę osób, np. 10000 nowonarodzonych aż do chwili ich wymarcia, to wszystkie te osoby, razem wzięte, przeżyły pewną sumę lat. Ta suma lat, przedzielona przez liczbę wszystkich uwzględnionych osób, jak w obecnym przykładzie przez 10000, daje liczbę, nazwaną „przeciętną długością życia“ nowonarodzonego i oznaczającą liczbę lat, po upływie których wszystkie te osoby jednocześnie umrzećby musiały, aby wypełnić tę samą sumę lat, jaką rzeczywiście przeżyły. To samo stosuje się i do każdego innego wieku.

„Prawdopodobną długością życia“ nazywamy znów taką liczbę lat, po upływie których wymiera połowa osób branych pod uwagę; tak, że każda z tych osób ma równą szansę niedożycia, jak i przeżycia téj liczby lat, którą „prawdopodobna długość życia“ wskazuje. Np. w naszéj tablicy, liczba 5,24 oznacza, że nowonarodzony chłopiec posiada taką samą szansę zejścia przed dojściem do 5,24 lat, jak i przeżycia tego wieku.

Jakkolwiek tablica załączona nie może sobie rościć pretensyi do ścisłości, bo ułożoną została tylko na podstawie jednego spisu jednodniowego, oraz na wątpliwéj wartości datach jednorocznéj tylko śmiertelności i to datach, podanych w bardzo rozluźnionych granicach wieku (szczególniéj od 80 do 100 lat); to jednak, ponieważ się opiera bądź co bądź na danych faktycznych, a nie hipotetycznych i tam, gdzie zabrakło dat własnych, opartą została na bardzo poważnéj tablicy zagranicznéj—sądzę, że nie jest ona pozbawioną pewnéj *względnéj* wartości i dla tego może być, dopóki coś lepszego się nie znajdzie (1), z nienajgorszym skutkiem użytą do różnego rodzaju badań nad ruchem ludności warszawskiéj.

Takie uwagi, podzielone zresztą przez bardzo poważną osobę, któréj za radę składam tu serdeczne podziękowanie, zachęciły mnie do zajęcia się niniejszą pracą i ośmieliły do ogłoszenia jéj drukiem.

Bolesław Danielewicz.

---

(1) Dotąd nie posiadamy jeszcze własnéj tablicy śmiertelności; tablica bowiem, ułożona przez ś. p. Józefa Słomińskiego, nie była podaną przez autora do druku, straciła więc swój rodowód i stanowi tém samém zabytek o nieznanéj wartości, zresztą posiadać może tylko specyalne znaczenie, bo, jak o tém wyczytaliśmy w „Gazecie Warszawskiéj“ (N. 47 z 1879 r.), została ułożoną na podstawie dat zebranych w b. Warszawskiéj Dyrekcyi ubezpieczeń. Tablica znów podana przez piszącego niniejsze, w „Ekonomiście“ (N. 5 z 1879 r.), jako ułożona metodą Halley'a, nie ma wartości i drukowaną była jedynie dla tego, aby wykazać na cyfrach, jak marne mają znaczenie daty statystyczne czerpane z naszych akt cywilnych.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Korzon Tadeusz. — Historya wieków średnich, wyłożona sposobem elementarnym, przez... z dołączeniem 4 map kolorowanych, 46 rysunków i tablic genealogicznych. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa 1884.

Książka pana Korzona należy do tych rzadkich publikacyj, które treścią swoją i układem powinny zwracać na siebie najżywszą uwagę wszystkich wykształconych warstw naszego społeczeństwa. Cóż żywotniejszego bowiem może być dziś dla nas nad sprawę wychowania publicznego, co bardziéj pouczającego nad obraz dziejów powszechnych, o których dokładną znajomość tak małośmy się do niedawna troszczyli.

Literatura nasza, obfitująca w dzieła najrozmaitszéj treści, jaśniejąca imionami tylu znakomitych poetów i uczonych jest dziwnie uboga w zakresie pedagogii i dydaktyki. Ogólnie pisano u nas i myślano bardzo mało o wychowaniu publiczném, a jeżeli w połowie XVIII wieku reforma Konarskiego i następujące po niéj usiłowania komisyi edukacyjnéj kwestyą tę na lepsze wprowadziły tory, to zamieszki krajowe i szczęk oręża, nieustannie przepełniający prowincye polskie aż do r. 1815 udaremniły w znacznéj części i zwichnęły najlepsze zamiary rządów krajowych i obywateli. Nastąpił nadto w skutek rozbioru Rzeczypospolitéj fatalny zwrot w dziejach wychowania publicznego. Prowincye, które w r. 1772 dostały się pod panowanie pruskie i austryackie nie mogły doznać wcale zbawiennych skutków reformy szkolnéj, przez komisyą edukacyjną wprowadzonéj. W Galicyi więc dzisiejszéj, w części Wielkopolski, w Prusiech królewskich, a niebawem i na całém zachodniém Powiślu, jak daleko sięgał wpływ rządów niemieckich, wychowanie publiczne musiało się rozwijać odtąd w kierunku niemającym nic

wspólnego z tradycyą epoki Stanisławowskiéj. A jeżeli obywatelska prawdziwie działalność ks. Adama Czartoryskiego i gorliwość Tadeusza Czackiego umiały stworzyć na Wołyniu i Litwie nowe ogniska oświaty i szkoły tamtejsze lepszym ożywić duchem, to zbawienny wpływ tych instytucyj nie sięgał bezpośrednio po za brzegi Niemna i Buga, ani też nie zdołał, uniesiony prądem wypadków, ująć wychowania publicznego w pewien, ogólnie unormowany system pedagogiczny, tém mniéj zaś stworzyć literaturę, któraby sprawę edukacyi z umiejętnego traktowała stanowiska. Gorzéj jeszcze pod tym ostatnim względem działo się w Galicyi, gdzie głównym celem edukacyi było raczéj zgermanizowanie młodego pokolenia, aniżeli wykształcenie. Kiedy więc nareszcie po licznych zmianach, w roku 1867, galicyjskie szkoły pod względem języka wykładowego stanowczo zostały zreformowane, okazała się gwałtowna potrzeba polskich książek szkolnych. Nadaremnie jednak szukano, w zasobnéj zresztą literaturze naszéj, dzieł odpowiadających potrzebom gimnazyów galicyjskich, bo albo ich nie było wcale, albo też nie mogły być łatwo zastosowane do systemu nauczania obowiązującego w całéj monarchii austryackiéj. Trzeba przeto było starać się o książki nowe zupełnie. Ale tu znowu, nieprzełamana niemal nastręczała się trudność z powodu wielkiego braku uzdolnionych pedagogów. Stan nauczycielski w Galicyi, aż do owéj reformy, nie przedstawiał żadnych widoków dla młodzieży krajowéj. Pominąwszy bowiem okoliczność, że rząd wszystkie prawie posady profesorów obsadzał Niemcami, stanowisko Polaka, jako nauczyciela gimnazyalnego było wtedy bardzo przykre i pod każdym względem upośledzone. Zawodowi nauczycielskiemu przeto poświęcali się ludzie mniéj zdolni, zwykle tacy, którzy na innéj drodze, lepszéj karyery dobić się nie mogli. A chociaż wśród tego trafiały się i wyjątki, to jednak ogólny system nauczania w języku niemieckim sprawiał, że nawet zdolniejsi nauczyciele, Polacy, nie władali do tego stopnia językiem ojczystym, aby mogli sumiennie na polu literackim pracować. Gdy przeto nie znalazł się nikt, ktoby się odważył w krótkim czasie wypracować książkę szkolną, odpowiadającą zarówno wymaganiom umiejętnym jako i dydaktycznym, chwycono się najniewłaściwszéj, naszém zdaniem, acz wówczas jedynie wiodącéj do celu drogi tłómaczenia książek szkolnych niemieckich na język polski. Tłómaczenia te dokonywane zwykle dorywczo, bez należytéj zresztą znajomości języka polskiego, musiały się przyczynić nie mało i do utrudnienia nauki i do skażenia mowy ojczystéj, którego skutki do dnia dzisiejszego jeszcze niemile uczuwać się dają. Najgorzéj jednak było z tak zwanemi „podręcznikami“ do historyi powszechnéj. Książki te, pisane

przez Niemców i dla Niemców, odznaczające się stylem suchym i częstokroć niezrozumiałym dla ucha polskiego, przelewały w umysły młodzieży naszéj pojęcia, na obcéj wypielęgnowane glebie, a przedstawiające historyą z germańskiego punktu widzenia, podług którego Niemcy były od wiek wieków ogniskiem wszelkiéj cywilizacyi i źródłem wszelkiego postępu, rozlewającém dobroczynne wpływy swoje na całą rzeszę narodów europejskich. Jeżeli wyobrażenia tego rodzaju niezupełnie dadzą się usprawiedliwić i historycznie uzasadnić, to zawierają w sobie nadto jeszcze ten błąd kardynalny, że wprowadzają do nauki dziejów powszechnych jednostronność, która z historyi stanowczo powinna być usunięta. Otóż ażeby tego dokonać, trzeba było starać się o książki oryginalne, przez Polaków pisane, któreby nie czyniąc ujmy prawdzie historycznéj, uwzględniły i właściwości stylu polskiego i zasadom gramatyki polskiéj gwałtu niezadawały i rzecz samą nareszcie przedstawiły w sposób jasny i zrozumiały. Na nieszczęście zamiary te nie ziściły się dotąd wcale, a usiłowania jednostek pożądanego nie odniosły skutku. Oprócz dwóch książek, oryginalnie napisanych, którym jednak rada szkolna galicyjska odmówiła aprobaty (1), wydawano w Galicyi same tylko tłómaczenia, które acz do dzisiejszego dnia używane, grzeszą tak rażącemi błędami przeciw językowi polskiemu, że władze szkolne polecają profesorom poprawiać zbyt jaskrawe usterki, ażeby w ten sposób przynajmniéj zapobiedz skażeniu języka i stylu u młodszego pokolenia. W obec takiego stanu rzeczy każda książka, traktująca o historyi powszechnéj, a napisana oryginalnie, budzi u nas ciekawość i pewne zadowolenie, a cóż dopiero jeżeli autorem jéj jest człowiek tego rodzaju co p. Korzon, który nietylko dowiódł, że samodzielnie na polu naukowém pracować potrafi, ale i w publikacyach popularnych umie pogodzić ścisłość umiejętnego badania z przejrzystością stylu i poprawnością języka. Nowa książka p. K., obejmująca wykład dziejów średniowiecznych, a będąca właściwie skróceniem obszerniejszéj pracy w tym rodzaju, wydanéj w r. 1872, nie zawiodła wprawdzie nadziei, jakie do téj publikacyi przywiązywaliśmy, ale wyznajemy to otwarcie, nie zadowoliła nas zupełnie. Po tém co p. K. do tego czasu napisał spodziewaliśmy się więcéj. Jego Historya wieków średnich ma wiele zalet: odznacza się stylem jasnym, gładkim i poprawnym, jest napisana ze znajomością rzeczy, uwzględnia nietylko zewnętrzną stronę dziejów, ale i rozwój kultury,

(1) Benoni Kar. Rys dziejów pow. dla użytku wyższych klas gimnazyalnych. Tom I. We Lwowie 1875; i Sokołowski August. Historya powszechna dla użytku wyższych klas gimnazyalnych. Tom I. Lwów 1878.

słowem stoi o wiele wyżéj od ³/₄ podręczników szkolnych, o których poprzednio mówiliśmy, ale obok tego znajdują się w niéj i usterki, osłabiające znacznie korzystne wrażenie, jakie czytelnik na pierwszy rzut oka odnosi. Zacznijmy od układu książki. Zaprzeczyć się nieda, że historycy niemieccy, których u nas przeważnie naśladują, starają się zwykle cały wątek dziejów powszechnych ugrupować na tle historyi narodów germańskich, dotykając pobieżnie tylko wypadków ważniejszych z świata romańskiego i słowiańskiego. Błąd ten, bardzo łatwy zresztą do wytłómaczenia, pociąga za sobą inny o wiele więcéj grzeszący przeciw równowadze dziejowéj. Powiedziawszy sobie raz, że historya Niemiec jest osią, około któréj obracają się losy całéj ludzkości, autorowie germańscy lekceważą dzieje innych narodów, traktują je pobieżnie, a nawet mimo tyle sławionéj gruntowności niemieckiéj, nie uważają za rzecz konieczną obznajomić się chociaż powierzchownie z dziejami obcemi, szczególniéj zaś, jeżeli to są dzieje Słowian lub broń Boże Polaków. Na polu historyi polskiéj panuje też w świecie uczonym niemieckim taka sama ignorancya, jak u dawniejszych Francuzów w dziedzinie geografii. Nie tak dawno wyszło w Berlinie, w *szóstém* wydaniu dzieło (1), traktujące o historyi powszechnéj, gdzie Katarzyna Jagiellonka figuruje jako córka Zygmunta Augusta (2), a Michał Korybut Wiśniowiecki, jako potomek Piastów (3). Co gorsza inny uczony niemiecki, używający zresztą bardzo słusznie rozgłośnéj sławy, Leopold Ranke twierdzi, że biskupi greccy wtedy dopiero przystąpili do unii, kiedy im zagrożono wydaleniem z senatu (!) polskiego (4), gdzie jak wiadomo nigdy krzeseł nie zajmowali. W obec takiéj nieznajomości dziejów naszych pomiędzy uczonymi Niemcami dziwić się nie można, że w podręcznikach szkolnych niemieckich historya narodów słowiańskich zazwyczaj w najszczuplejszych zamyka się ramach. Nakazuje to zarówno duma narodowa jak i niemożność rozpisywania się o tém, czego autorowie dokładnie nie znają. A jeżeli mimo to w kompendyach tego rodzaju spotyka się mniéj rażących usterek, to pochodzi to stąd, że piszący obracają się w kole najogólniejszych frazesów i powszechnie znanych faktów, gdzie nawet rzetelna ignorancya rzadko pobłądzić może. Wiedział o tém dobrze p. Korzon i postanowił dlatego wbrew zwyczajom niemieckich autorów, w swoim podręczniku rozszerzyć zakres historyi narodów słowiańskiego i romańskiego szczepu, popadł jednakże równocześnie w błąd inny, usunął bowiem dzieje państwa niemieckiego na drugi plan, przezna-

---

(1) Wernecke Geschichte der neuer. Zeit. Berlin, 1873. 2) Tenże V, 135. 3) Tamże. 4) Ranke Die Römischen Päpste etc. VII-te aufl. Leipzig 1878 p. 476.

czając im ostatnie miejsce w okresie III i IV, a wstawiając natomiast historyą angielską i francuską. Układ ten wydaje nam się zupełnie niewłaściwym, bo jakikolwiek jest sąd autora o historyi niemieckiéj, tyle zawsze przyznać musi, że od XI wieku począwszy dzieje monarchii germańskiéj mają uniwersalne znaczenie i nadają, że się tak wyrazimy, ton historyi europejskiéj

Porządek średniowieczny polegał na harmonii dwóch władz naczelnych: papieskiéj i cesarskiéj; obie szły jednak w uroszczeniach swoich za daleko: stolica apostolska, nie zadowolniając się rządem duchownym, wymagała bezwzględnéj niemal uległości władz świeckich, nawet w sprawach czysto materyalnéj natury; cesarze, chwyciwszy się oburącz tradycyi rzymskich cezarów, uzurpowali sobie rząd nad całym światem chrześciańskim, rozdawali hojną ręką kraje, które do nich nigdy nie należały, przyznawali tytuły królewskie i książęce, mięszali się do wewnętrznych rządów kościoła, uciskali wolność municypiów lombardskich, słowem cały świat chrześciański zamierzyli poddać swoim wpływom, aby był pasterz jeden i jedna owczarnia, tak jak przed wiekami w rzymskiém imperium.

Takie pojmowanie władzy z obu stron musiało wywołać starcie, które w konsekwencyi pociągnęło za sobą najpierw zamięszanie, a następnie upadek średniowiecznego porządku rzeczy. Zachwiał on się najpierw w Niemczech i we Włoszech, gdzie bezpośrednio stykali się reprezentanci władzy świeckiéj i duchownéj, a późniéj dopiero uległ przeobrażeniu w innych państwach europejskich. Wszystko to więc co się działo w Anglii, we Francyi i w Polsce, z czego się wywiązało życie parlamentarne Albionu, władza despotyczna królów francuskich i przewaga duchowieństwa polskiego w sm tnym okresie podziałów, to wzięło początek w olbrzymiéj walce papiestwa z cesarstwem, to było tylko dalszym ciągiem tego procesu, który rozkładał średniowieczny porządek społeczeństwa europejskiego na nowe wprowadzając je tory. W istocie upadła w połowie XIII wieku zasada cezaryzmu, tak jak ją pojmował Fryderyk Barbarossa, cesarze niemieccy stargali w bezowocnéj walce z kościołem siły swojego państwa, stracili dawniejsze swoje znaczenie, a z wygaśnięciem Hohensztaufów, którzy z wytrwałością, godną lepszéj sprawy, podtrzymywali walącą się budowę średniowiecznego cesarstwa, nastąpiła nowa epoka. Miejsce wszechwładzy cesarskiéj, za którą nadaremnie walczyli tak długo Salijczycy i Hohensztaufowie, zajęła polityka dynastyczna, a pierwszym jéj reprezentantem w Europie jest Rudolf z Habsburga, rozpoczynający nowy okres historyi niemieckiéj. Że ten cesarz, o którym p. K. z przekąsem wyrażać się zdaje, pojął na wstępie położenie swoje, że się zrzekł dumnéj

polityki Sztaufów i nie wahał się poświęcić Włoch dla uratowania Niemiec, to świadczy chlubnie o jego zdolnościach politycznych. Trzeźwy mąż stanu, wolał pracować nad ugruntowaniem potęgi swojego domu, niż uganiać się po polach lombardskich za złudną marą wszechwładzy cesarskiéj, która wskrzesić się już nie dała, a chociaż przytém nieszczędził słów uległości dla papieża, chociaż uronił niejedno z praw cesarskich we Włoszech, to za to zyskiwał potężne poparcie w Gwelfach niemieckich i włoskich, zyskiwał pomoc stolicy apostolskiéj a pozbywał się tego tylko, co w obec stosunków ówczesnych historyczne jedynie miało znaczenie. Nie była więc ta uległość pierwszego Habsburga względem Grzegorza X ani abdykacyą ani błędem politycznym, przeciwnie wzmacniała stanowisko cesarza w Niemczech i ułatwiała mu: ową politykę dynastyczną, która odtąd staje się hasłem nietylko królów niemieckich, ale i wszystkich potężniejszych rodzin, panujących w środkowéj Europie. Wyznają ją otwarcie i Andegaweńczycy francuscy i Plantageneci angielscy i czescy Przemyślidzi i niemieccy Luksemburgowie i wreszcie litewsko - polski szczep Jagiellonów. Jeżeli więc nowa ta era w polityce wyszła z Niemiec, w Niemczech się najpierw ustaliła, jeżeli początek swój wzięła od niemieckiego króla, téż słuszną i sprawiedliwą będzie rzeczą, gdy historyą niemiecką na czele tych epok postawimy. To co się w tym samym czasie przygotowuje zwolna na zachodzie Europy we Francyi i w Anglii: zasada absolutnéj monarchii z jednéj, a podstawy parlamentarnego życia z drugiéj strony, to są niezaprzeczenie objawy bardzo ważne, mające jednak dla historyi średniowiecznéj drugorzędne znaczenie. Dobrze i pożytecznie o nich wiedzićć, koniecznie trzeba zaznaczyć ich powstanie i wzrost, ale pamiętać oraz wypada, że panowanie ich nie jest z téj epoki, iż kiedyś dopiero po latach wielu, zawładną one całym kontynentem europejskim i staną się osią dziejowego życia cywilizowanych narodów.

Wyłuszczywszy w ten sposób przyczyny dla których rozkład historyi p. K. wydał nam się niewłaściwym, musimy przyznać, że co do traktowania przedmiotu, książka jego nie małe posiada zalety. Rozdział pierwszy, opowiadający dzieje wędrówek, należy bezwzględnie do najlepszych i chyba to mu zarzucić można, że za obszernie rzecz całą traktuje. W innych ustępach pochwalić musimy, że autor stara się uwzględnić kulturę, że przedstawia w barwnych, acz często zbyt grubo nałożonych obrazach, stan społeczeństwa w każdéj epoce, że podaje wiadomości z literatury i ruchu umysłowego i że to wszystko umié połączyć z wątkiem dziejów powszechnych, nie przerywając nagle toku opowiadania i nie tworząc odrębnych działów na końcu książki, jak to się dzieje u autorów

niemieckich podług raz przyjętego szablonu. Przytém wszystkiém jednak nie uniknął p. K. licznych usterek, których zarówno jak i zalet książki jego milczeniem pominąć nie możemy. W kwestyach zasadniczych nie zawsze zgodzilibyśmy się z autorem. Postać Grzegorza VII przedstawiona jest raczéj w sposób ujemny niż dodatni, a przecież nie godziło się zapomniéć, że człowiek ten, pracujący tak szczerze nad reformą kościoła, był oraz gorliwym patryotą włoskim, że mu chodziło nietylko o podniesienie władzy papieskiéj, lecz także i o złamanie wpływów niemieckich we Włoszech. W ogóle okazuje się p. K. mniéj wyrozumiałym dla papieży niż dla cesarzy, chociaż postacie takie jak Hildebrand, Aleksander III, Inocenty III i IV są, a przynajmniéj powinny być dla nas o wiele sympatyczniejsze niż ów cezaryzm średniowieczny, na gruncie germańskim wyrosły, a drapujący się niezgrabnie w togę imperatorów rzymskich. Ze stanowiska pedagogicznego i naukowego musimy się zastrzedz przeciw dwóm rzeczom: 1) przeciw przytaczaniu uwag takich jak na str. 284 o Bonifacym VIII, 2) przeciw wydawaniu apodyktycznych sądów tam, gdzie krytyka historyczna do pewnych rezultatów w badaniach swoich niedoszła, jak to p. K. uczynił ze Stanisławem Szczepanowskim na str. 158. Co do pierwszego punktu pamiętać trzeba, że nie wszystkie podania historyczne, chociażby najbardziéj były uzasadnione i do prawdy zbliżone, są odpowiedne dla młodych umysłów, a już najmniéj te, które mogą obrażać uczucia religijne, albo budzić wątpliwości co do powagi i posłannictwa instytucyj kościelnych. Historyk może z pewną słusznością potępić Bonifacego VIII, może nawet tak jak Długosz użyć jaskrawego porównania, aby sąd swój tém lepiéj uwydatnić, pedagog układający podręcznik dla młodzieży, winien surowości sądu, jeżeli go już przytoczyć musi, odjąć przynajmniéj, zbyteczną w tym razie, ostrość wyrażenia. Szkoła nie powinna być nigdy areną walk wyznaniowych, a podręczniki dla młodzieży przeznaczone winny unikać starannie tego, co może wywołać dysputę dogmatyczną lub wpłynąć na podrażnienie uczuć religijnych. Są wprawdzie epoki, w których kwestye wyznaniowe ominąć się nie dadzą, ale i tam przedmiotowe przedstawienie rzeczy, jako téż takt nauczyciela mogą postawić kwestyą tak, że ani prawda historyczna, ani przekonanie religijne uczniów naruszone nie będą.

Inaczéj nieco ma się rzecz z drugim wypadkiem, gdzie autor biskupa krakowskiego, Szczepanowskiego, wprost „zdrajcą i buntownikiem“ nazywa. Tu ze stanowiska naukowego musimy się oświadczyć przeciw apodyktyczności sądu. Dla nas, a zapewne także i dla p. K., nie jest jeszcze wina biskupa wyjaśniona stanowczo,

a w takich wypadkach poważni dziejopisarze (1) zalecają autorom dzieł naukowych pewną wstrzemięźliwość, którą i w podręcznikach szkolnych zachowywać wypada, tém bardziéj, gdy, jak to zgodnie instrukcye przepisują, uczeń ma znaleść w książce tylko zdarzenia krytyką historyczną dostatecznie wyjaśnione i żadnéj nie ulegające wątpliwości. Z téj saméj przyczyny uważamy wywód słowa „król" od Karola W. za zbyt hazardowny (porów. co o tém pisze Linde) a przeniesienie bitwy z Węgrami w r. 907 pod mury Pressburga (str. 105) za nieuzasadnione (porów. Büdingera I, 224). Równie niepewna jest wiadomość o służbie wojskowéj i namiestniczéj godności św. Metodego, na co słusznie zwrócił uwagę w gruntownéj swojéj rozprawie ks. Tad. Gromnicki (2). Od kwestyi zasadniczych przechodzimy do usterek innego rodzaju. Dotyczą one przedewszystkiém historyi polskiéj i austryackiéj. I tak na str. 363 powiada p. K. że Kazimierz W., „urządził we Lwowie łacińską stolicę biskupią" podczas gdy Reifenkogel (3) dowiódł, że za czasów tego króla biskupów lwowskich nie było.

Na str. 367 utrzymuje, że Kazimierz na gruntach wsi Bawół *wybudował ozdobne domy z kamienia* dla uniwersytetu. Kwestya ta sporna niegdyś, dziś przez Ekielskiego i kodex uniwersytecki rozjaśniona, przedstawia się w ten sposób, że o gmachach na Bawole mowy być nie może i że zaledwie ślady fundamentów dadzą się odszukać. Skąd wniosek naturalny, że budowa może rozpoczęta za Kazimierza W. czasów, późniéj zaniechaną została. Również mylném jest lub co najmniéj niedokładném zdanie, jakoby Żyżka (str. 354) „nie chciał żadnego króla", gdy jak wiadomo zgadzał się na powołanie Władysława Jagiełły a z Zygmuntem Korybutem w najlepszych zostawał stosunkach. Podobnych usterek dopuszcza się autor i w historyi austryackiéj. Na str. 216 czytamy: „współzawodnika zaś margrafa Austryi (*Leopolda* Babenberga) wynagrodził (Fryderyk I) wielkim przywilejem (privilegium majus) i podniesieniem Austryi do tytułu księstwa (1156)." Tymczasem Leopold nieżył już w r. 1156, a przywiléj, o którym mowa, otrzymał brat jego Henryk II Issomirgott. Zresztą dokument ten nazywa się u historyków austryackich przywilejem *mniejszym* (privilegium minus) a to aby go odróżnić od większego (*majus*), który jak to krytyka historyczna dowodnie wykazała, został podrobiony w XIV w. za czasów Rudolfa IV.

---

(1) Dr. Wilh. Maurenbrecher: Ueber die Objectivität des Historikers w Raumera Histor. Taschenb, Leipzig 1882 p. 332.

(2) Sprawozd. Akad. Umiej. Krak. t. X, str. 333.

(3) Die Gründung der röm. kath. Bisthümer in den Territorien Halicz und Wladimir. Wien 1874.

Inne mniéj ważne błędy, wyniknęły, już to z niedokładnego zrozumienia źródeł, jak zdanie o Grzegorzu turoneńskim (str. 66), już téż zbyt ogólnikowych wyrażeń, jak „w Europie nie było już pogan“ (str. 170), albo w końcu z usterek stylistycznych jak np. (6) „Longobardów, którzy długo mieszkali *na* dolnéj Elbie“... (115) „żadnéj wojny feudalnéj“... itd. usterki te i niedokładności jednak, chociaż rażą czytelnika fachowego, tak znowu nie mają znaczenia, obniżającego wartość książki. Owszém sądzimy, że praca p. K., któréj zalety poprzednio kilkakrotnie podnosiliśmy, zasługuje na uznanie ze strony pedagogów i historyków naszych, a jeżeli ma wady pewne to dadzą się one z łatwością w drugiém wydaniu usunąć. Nie małą téż zaletą książki p. K., są tablice genealogiczne, mapki i drzeworyty. Dziś gdy środki uzmysławiające nauki wszelkiego rodzaju, tak bardzo się upowszechniły i wydoskonaliły a młodzież nasza i zakłady prywatne nie są wstanie łożyć wiele na zakupno przedmiotów tego rodzaju, ba zwykle wcale ich nieposiadają, są ilustracye przy tekście umieszczone wraz z mapkami, jedyną prawie pomocą dla tych, co na własne tylko ograniczeni są siły. Pojęli to dawniéj już Niemcy i Francuzi, zaczynają pojmować teraz i Polacy, a jeżeli się niemylimy p. K. był właśnie jednym z pierwszych, który tę nowość w swojéj historyi starożytnéj zaprowadził. Wprawdzie zdarzyło nam się, w niektórych pobieżnych zresztą wzmiankach o dziejach średniowiecznych p. K., czytać ubolewanie nad nieudolném wykonaniem rycin tam umieszczonych, na zarzut ten jednak odpowiedzieć musimy zgorszonym recenzentom, że drzeworyty te w niczém nie są gorsze od illustracyj dołączonych np. do niemieckiéj książki Gindelego, a w każdym razie lepiéj że są niż gdyby ich wcale nie było.

August Sokołowski.

Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz Małachowskiego posła do Stambułu w czasie sejmu czteroletniego, jenerała wojsk polskich, senatora kasztelana królestwa polskiego itd. itd. Objaśnił i z manuskryptu wydał Wincenty hr. Łoś. Poznań, Żupański, 1885. 8-a str. 190.

Autor pamiętników, synowiec głośnego marszałka sejmu wielkiego, a ojciec znanego z rewolucyi listopadowéj Gustawa, po ukończeniu szkół akademickich w Krakowie w ośmnastym roku życia rozpoczął zawód publiczny jako członek świty starosty szczerzeckiego Potockiego, przeznaczonego w r. 1788 na posła do Turcyi. Po dwuletnim pobycie w Stambule, powróciwszy do kraju żeni się, bierze skromny udział w powstaniu Kościuszki, po ostatnim rozbiorze

Polski dostaje się pod panowanie Austryi. W r. 1812 wystawia pułk kirasyerów i przyjmuje udział w kampanii, Bije się pod Smoleńskiem i Możajskiem, w odwrocie wielkiéj armii dostaje się do niewoli i przez dwa lata przebywa w Twerze i Tambowie. Dymisyonowany w stopniu generała, po kongresie wiedeńskim zostaje senatorem kasztelanem Królestwa, na wypadki z roku 1831 patrzy z Krakowa, resztę życia w spokoju przepędza na wsi i w r. 1859 umiera.

85 lat życia, spędzonych na stanowisku członka ambasady, żołnierza, dygnitarza i ziemianina w epoce przewrotów i burz, dostarczyćby mogło do pamiętnika szczegółów obfitych i cennych, gdyby autor, uzdolniony do zrozumienia przesuwających się przed oczami jego widoków, we właściwym czasie stosowny gromadził materyał. Małachowski opisał współcześnie w formie listów do żony tylko pobyt swój w Rosyi, który żywszego interesu nie budzi; wspomnienia zaś z pierwszych ośmnastu lat życia i od 1788 do 1831 r. kreślił w 78 roku życia z pamięci. Mógł pojmować dobrze, co widział i wypadki oceniać rozsądnie, lecz do pióra, nie mając zgromadzonych poprzednio notat, wziął się zapóźno. W pamięci 78 letniego starca, z żywych i pełnych wspomnień przeszłości, blady i szczupły jedynie ocalał zarys, mnóstwo szczegółów zniknęło, wiele przedstawiło się błędnie. Nie bez interesu się czyta poświęcony osobistym i familijnym sprawom pamiętnik z pierwszych ośmnastu lat życia, z jaką jednak ostrożnością z podanych w nim szczegółów korzystać trzeba, dowodzą mylnie przytoczone zdarzenia ze sfery interesów publicznych. Mniejsza, że niemogąc sobie przypomnieć napisu na rozdawanych młodzieży szkolnéj medalach, zamiast *diligentiae* podaje *diligentibus*; mniejsza, że przed rokiem 1788 znajduje w Krakowie otwartą dopiero w r. 1817 księgarnię Grabowskiego (str. 71);—charakterystyczniejszém jest, że zatarł w sobie starzec pamięć o naturze takiego faktu, jak sejm wielki, który dla tego konfederackim nazywa „że był nadzwyczajnie zwołany i z całéj Polski“ (72); zapomniał nazwisk sekretarzy sejmowych, z Siarczyńskiego robiąc Siewczyńskiego, z Narbutta Ancutę (73). Nie ustrzegł się błędów i w bardzo pobieżnych wspomnieniach z lat następnych. Zapomniał o dacie swojego wyjazdu z Warszawy do Turcyi—raz podaje dzień 7 września 1788, na innem miejscu 9 września 1789 (str. 76, 81); wspominając znowu o medalach szkolnych, znajduje na nich napis *bene merentibus* zamiast *diligentiae* zdaje mu się, że koronacya cesarza Mikołaja poprzedziła sąd sejmowy z r. 1828 (119) itp. Do historyi wypadków, poprzedzających 29 listopada 1830 r. nic ważnego Małachowski podać nie umiał,—nieznany skądinąd fakt, że syn jego Gustaw zapobiegł wybuchowi spisku koronacyjnego (170), wymaga sprawdzenia. Wogó-

le, pod względem treści pamiętniki Małachowskiego prezentują się bardzo ubogo; lepsza zaś ich cząstka ogłoszoną już była w r. 1876 we Lwowie.

Wydawca, p. Wincenty Łoś, usiłował objaśnić pamiętniki Małachowskiego zapomocą dopisków pod tekstem, a oprócz tego skreślił „kilka słów wstępnych", zajmujących znaczną część książki (str. 1—49). Dopiski są liczne, bez jednych jednak, jako zbytecznych, możnaby się obejść zupełnie; inne znowu, jako bałamutne, szkodzą książce, nieświadomego dziejów czytelnika w błąd mogą wprowadzić. Do zbytecznych zaliczamy np. wiadomość o podróży Stanisława Augusta do Kaniowa (79), niewywołane potrzebą notatki biograficzne ludzi (Niemojewskich, Winc. Krasińskiego, Potiemkina itp.), o których w pierwszéj lepszéj encyklopedyi informacyą znaleść można dokładną; — bałamutnych znajdujemy niemało. Bezzasadnie twierdzi p. Łoś, że „aż do r. 1874 sprawa sądu sejmowego (z r. 1828) była niejasną z powodu zupełnego braku aktów urzędowych, drukiem ogłoszonych," skoro główne źródło—skarga prokuratora jeneralnego Wyczechowskiego opublikowaną została współcześnie; zna wydawca sejm 1827—29 r. (171), którego niebyło; mylnie podaje datę śmierci Juljusza Małachowskiego (173) itp. Tam, gdzie objaśnienia były konieczne, p. Łoś ich nie dał. Luźna wzmianka Małachowskiego o Wańkowiczu (121) wymaga objaśnienia, że był sędzią ziemskim mińskim i wybranym w r. 1790 na posła z województwa mińskiego; sprostować wypadało wiadomości pamiętnikarza, że „*wojska królewskie* przymusiły konfederacyą barską do ustąpienia z kraju" (54), albo, że August III „*co rok*... jeździł *na sejm* do Warszawy" (59); zwrócić należało uwagę na błędnie podaną datę wyjazdu Małachowskiego do Turcyi (76, 81). Nie godzi się wydawcy cudzéj pracy zmieniać pod względem treści, obowiązany jest przecież oczywiste błędy poprawić. Jeżeli Małachowski wyjazd swój do Turcyi oznacza raz datą 7 września 1788, drugi raz datą 9 września 1789 r.—wypadało wydawcy przynajmniéj rok 1788 jako wyraźnie błędny poprawić; nie godziło się też starosty szczerzeckiego nazywać „szczyżeckim" i „strzyżeckim" (76, 80).

W obszernym wstępie zamierzył p. Łoś podać życiorysy znakomitszych Małachowskich i ocenę pamiętników,—zadaniu jednak siły jego sprostać nie mogły. Dla przedstawienia działalności takich ludzi, jest marszałek Stanisław lub kanclerz Jacek, wypadało robić poszukiwania po archiwach, nie zaś ograniczać się na encyklopedyach i okolicznościowych artykułach czasopism. Śród chaosu wiadomości w każdym wierszu niemal podaje autor szczegół mylny lub wyrażony nieściśle. Marszałka Małachowskiego nazywa Arystotele-

sem polskim (17), chociaż był zaledwie Arystydesem; improwizuje datę wyjazdu pamiętnikarza do Turcyi (32), domyśla się, że Jan Nepomucen Małachowski dostał order św. Stanisława (23), kiedy wiadomość o tém mógł mieć dokładną (*Kalendarzyk nar. i obcy* na rok 1792, II. 407); zna istniejącą bibliotekę Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk, niebywałe za czasów księstwa warszawskiego urzędy i instytucye (24). Obok braku wiedzy historycznéj i nieudolnéj formy, zdradza wydawca pochopność do nadmiernéj w pochwałach przesady. W autorze pamiętnika posągową niemal spostrzega postać, w czém tyle jest prawdy, ile ścisłości w tytule książki, że skromny, ośmnastoletni towarzysz ambasady Potockiego był „posłem do Stambułu.“

Wł. Smoleński.

Niedola Nibelungów. Przekładał Ludomil German. (Wiślickiego Adama wydawnictwo dzieł tanich 65—70). Warszawa 1885. str. 442.

Sam już tytuł tego przekładu wskazuje, jakie stanowisko zajął p. German wobec krytyki tekstu. Nie nazwał go *pieśnią Nibelungów*, gdyż nazwa ta, jakkolwiek od stu lat już w Niemczech tak utarta, zdaniem przeważnéj części dzisiejszych uczonych nie jest pierwotną. Mimo to jednak, gdyby ktoś porównał przekład niniejszy z najważniejszym dziś dla nauki wydaniem *K. Lachmanna*: *Der Nibelunge Nôt*, przekonałby się, że nasza „Niedola Nibelungów“ jest znacznie obszerniejsza; zawiera bowiem o 61 zwrotek więcéj, niż wymieniona edycya oryginału. Z drugiéj zaś strony, gdyby kto zajrzał do tak rozpowszechnionéj dziś w Niemczech małéj edycyi *Zarncke'go*: *Das Nibelungenlied* (5 wyd. Lipsk 1884), znalazłby tam jeszcze przeszło 60 zwrotek więcéj, niż w naszym przekładzie. Jakże to wytłómaczyć?

Wiadomo, że sławna epopeja niemiecka zachowała się nam w 10 rękopismach w całości, i we fragmentach z 18 innych manuskryptów. Pochodzą one z XIII, XIV i XV stulecia i podają tekst poematu nieraz bardzo odmienny. Zdaniem Karola Bartscha, jednego z najskrzętniejszych w tym kierunku badaczy, cieszącego się dziś wielkiém uznaniem, nie mamy rękopismu, któryby zawierał pierwotną postać epopei niemieckiéj. Powstała ona zapewne w dzisiejszéj Austryi wyższéj około połowy XII stulecia, że jednak w drugiéj połowie tegoż wieku forma jéj obfitująca w asonancye nie odpowiadała już ówczesnemu smakowi, wzięli się do niéj dwaj poeci i przerobili na epopeję rymowaną. Jeden z nich uczynił to również

w Austryi około r. 1170; drugi zaś nie wiedząc nic o jego pracy, dokonał tego samego gdzieś nad Renem w kilkanaście lat późniéj. W ten sposób zyskała epopeja nową formę w dwu odrębnych niezależnych od siebie przeróbkach. Lecz i te przeróbki nie zachowały się nam w pierwotnych rękopismach. Wszystkie bowiem rękopismy, jakie dotychczas znamy, są tylko późniejszemi, mniéj lub więcéj dokładnemi odpisami lub téż nawet przeróbkami tych dwu redakcyj. Wobec tego więc nie można prawie marzyć o odtworzeniu pierwotnego tekstu, zwłaszcza że już obie pierwotne przeróbki dość znacznie musiały od siebie się różnić. Podczas gdy jeden z najważniejszych rękopismów pierwszéj redakcyi, oznaczany przez *A.*, ma tylko 2316 zwrotek,—to najważniejszy manuskrypt drugiéj przeróbki, oznaczany literą *C*, ma ich 2440, tj. 124 strofek więcéj. Otóż na rękopiśmie *A.* oparł wydanie swe Lachmann, manuskrypt *C* zaś jest podstawą edycyj Zarnckego i Holtzmanna. Prof. *Zarncke* uważa najdłuższą formę epopei za najpierwotniejszą, odwrotnie zaś *Lachmann* sądzi, że najkrótsza forma poematu jest najbardziéj zbliżona do pierwotnéj jego postaci. Różnica ta zdań jest w związku z teoryą o powstaniu takich dzieł epicznych, jak Iliada i Odysseja, Nibelungi, itp. Jedni widzą w takiéj epopei jednolitość planu i kompozycyi, uważają ją więc za dzieło *jednego* poety (Zarncke, Bartsch); inni zaś sądzą, że jest to zbiór oddzielnych pieśni ludowych, więc dzieło *wielu* mistrzów. Otóż zdaniem *Lachmanna* składa się epopeja niemiecka z 20 pieśni ludowych, zestawionych wedle porządku wydarzeń i powiązanych z sobą pewną ilością zwrotek późniejszych. Stąd téż nawet najkrótszy rękopism *A.* zawiera już mnóstwo interpolacyj, które K. Lachmann stara się wydzielić, odznaczając je w drugiéj i trzeciéj edycyi (Berlin 1841, 1851) pismem odmiennem. Że co do szczegółów nawet pomiędzy zwolennikami jego nie zawsze jest zgoda, najlepiéj widzimy z tego, że profesor berliński *Max Roediger* w ostatniéj swéj pracy (*Kritische Bemerkungen zu den Nibelungen*, Berlin 1884) uważa za interpolacye jeszcze 55 innych strof, zatrzymanych przez Lachmanna, broni zaś odrzuconych przez niego trzech zwrotek.

P. German nie poszedł w swym przekładzie ani za Lachmannem ani za Zarnckem, lecz wybrał słusznie drogę pośrednią. Najbardziéj, jak widać, przypadło mu do smaku zdanie Bartscha, który broniąc jednolitości poematu nie oparł się, jak Zarncke, na najdłuższéj jego postaci *C.*, lecz przyjął za podstawę rękopismy płynące z tego samego źródła, co *A.* Rękopismy te uważa on za odpisy *pierwszéj* przeróbki pierwotnego poematu, a ponieważ zawierają one przeszło 60 zwrotek więcéj niż *A.*, sądzi, że zwrotki te zostały w *A*

wypuszczone. Stąd téż wydanie jego krytyczne zawiera 2379 zwrotek i nosi tytuł *Der Nibelunge Nôt* (Lipsk 1870—80). Do tego tekstu najbardziéj jest zbliżony przekład p. Germana; brak w nim tylko dwu zwrotek Bartscha, 1769 i 1872. Nie mamy wszystkich wydań pod ręką, by skontrolować, dlaczego, p. G. wypuścił te właśnie dwie zwrotki, które się znajdują tak w najkrótszych jak i w najdłuższych tekstach. Nawet Lachmann uważa tylko pierwszą z nich za interpolowaną, druga zaś ma u Zarnckego i Holtzmanna tylko nieco odmienną formę. Przekład pana G. podzielony jest, jak rękopismy pierwszéj redakcyi, na 39 rozdziałów; gdy odpisy drugiéj przeróbki, a z nimi i wydania Zarnckego i Holtzmanna, mają ich tyko 38. Poeta bowiem nadreński połączył króciutki rozdział 34 z 33 w jednę całość, a nadto zmienił tytuł poematu *der Nibelunge Nôt* na *der Nibelunge Liet* (słowa kończące ostatnią zwrotkę). W nadpisie każdego rozdziału podana jest treść jego; niepewna jednak, czy te nadpisy były już w pierwotnym poemacie; niektóre bowiem ważne rękopismy pierwszéj redakcyi nie posiadają ich wcale. Wszystkie manuskrypta drugiéj przeróbki zawierają nadto w nadpisach wyraz *aventiure*, powtarzany zwykle w edycyach niemieckich, jakkolwiek wiele rękopismów pierwszéj redakcyi nie ma go wcale; słusznie więc p. German nie używa go w swym przekładzie.

Co do szczegółów, słusznie p. G. nazywa swą piękną pracę „pierwszym wiernym przekładem polskim“ (1). Wedle słów własnych tłómacza, nie szło mu tyle „o wierność słów, ile o wierność myśli i kolorytu“, co mu się zdaniem naszém wcale dobrze udało. Sądzimy jednakże, że wierność myśli i kolorytu nie byłaby na tém straciła, gdyby i o wierność słów było większe nieco staranie. Pierwsza np. zwrotka brzmi w oryginale:

> Uns *i*st in *a*lten m*ae*ren—w*u*nders v*i*l ges*e*it
> von h*e*lden l*o*beb*ae*ren,—von gr*ô*zer *a*reb*e*it;
> von fr*ô*uden, h*ô*chgez*î*ten,—von w*e*inen *u*nde kl*a*gen,
> von k*üe*ner r*e*cken str*î*ten—muget *i*r nu w*u*nder h*oe*ren s*a*gen.

W przekładzie p. Germana:

> Prawią nam stare pieśni o przeszłości cudach:
> O bohaterach słynnych, o znojach, o trudach,
> O godach i rozkoszy, o łzach i boleści,
> O bojach i zapasach! Słuchajcie powieści!

---

(1) W r. 1881 wyszło już w Warszawie tłómaczenie „Pieśni o Nibelungach“ dokonane przez Antoniego J. Szabrańskiego“ jako część składowa „Biblioteki Najcel. Utworów Lit. Europ.“ (P. R.).

Jak widać, obrał p. G. wiersz trzynastozgłoskowy, a rymy męskie oryginału zastąpił żeńskiemi, co wszystko można tylko pochwalić. Nie zmieniając więc w niczém formy, możnaby przez użycie dokładniejszych wyrażeń przekład ten zrobić jeszcze wierniejszym, a więc np.

Prawią nam stare baśni o rozlicznych cudach,
O słynnych bohaterach i o wielkich trudach;
O godach i uciechach, o łzach i boleści,
O walkach też śmiałków słuchajcie powieści.

Interpunkcya przez nas przyjęta zmienia nawet myśl trochę; sądzimy, że nie na niekorzyść. Większéj nieco zmiany dopuścilibyśmy się zaraz w drugiéj zwrotce i w wielu a wielu innych, wprzód jednakże musielibyśmy stoczyć walkę z p. G. o kwestye krytyczne, a następnie o odpowiednie wyrażenia i zwroty polskie.

Język przekładu jest w ogóle gładki i potoczysty; w doborze wyrazów posługuje się p. Dr. G. często archaizmami, np. błamy 59, bułaty 406, gzła 976, rubieże 67, 72, woje 66, 376, brona (Thor) 582, świetlica 225 itp. Obok wyrazu *tarcz*, mamy tu często równoznaczny wyraz staropolski *szczyt*, w zwrotce zaś 766, są nawet oba te słowa razem użyte: „Przygotowano *tarcze* i stalowe *szczyty*". Nie wiemy, jaką lekcyą przyjął w tym miejscu p. German; w tekstach jednakże, które mamy pod ręką, czytamy: „Sätile unde schilde (lub: Die setel zuo den schilden) bereiten man began", co znaczy: „Siodła i tarcze przygotowywać poczęto". Lubuje się też tłómacz w wyrazach niepolskich, jak *witeź* 90, 104, 463, *wraża* posoka (krew) 203, 205, *glejty* (Geleite) 164, *tum* (tuom, Dom), itp. Przymiotnik *wraży* brzmi dziś po polsku *wrogi*; w obu jednakże przytoczonych miejscach niepotrzebny on wcale, tekst bowiem oryginału nie wymaga takiego określenia. Wyraz *witeź* brzmiał-by po polsku *wiciądz* (por. *zwycięzca* = z-wicięz-ca), stsłow. bowiem jego forma jest *vitęzь* (1); por. (w) rzeciądz = stsł. retęzь; pieniądz = pěnęzь; ksiądz = kъnęzь. Wyrazów *staroniemieckich* mamy i dziś jeszcze w naszym języku nie mało; sądzilibyśmy więc, że w używaniu ich należałoby się nam o ile możności ograniczać. Któż dziś np. zrozumie, że w zwrotach: Mieli dostatek *spiży* 380, dość *spiży* gotowéj 917, jest mowa o *jadle* (spîse, Speise)? Znacznie rzadziéj używa p. G. starszych form językowych, np. cnego *krolewica* 302, prawdziwa forma polska, wcale zgrabnie użyta w rymie do: dziewica. Mielibyśmy może pretensyą do tłómacza, że sławny *pierścień*, który stał się w znakomitéj trylogii *Wagnera* (Der Ring des Nibelungen) niejako ogniwem, łączącym powieści o Wölsungach i Nibelungach, nie jest dość dokładnie określony.

(1) Serb. chorw. i słow. *vitez*, czes. *viter*. górno-łuż. *vičaz*, ros. *vitjazь*.

Wprawdzie i w epopei niemieckiéj nie gra on tak bardzo ważnéj roli, zawsze jednakże oznaczony jest jako „ein guldîn vingerlîn", „ein vingerlîn von golde", lub też „gold"; tymczasem p. G. zowie go po prostu *obrączką* 679, lub *pierścieniem* 847. Wprawdzie możemy się domyśléć, że pierścień był *złoty*; nigdy jednakże możebyśmy nie wpadli na myśl, że to złoto Renu i najważniejsza część skarbu Nibelungów, jak go przedstawia nam sławny kompozytor i poeta niemiecki. Za błędy drukarskie zapewne należy uważać: poznał 129, zamiast *pozna* (jak wymaga myśl), ani 137, zam. *ni* (jak wymaga rytm); zresztą aina 965 zam. wina, itp.

Lecz dajmy już pokój szczegółom wobec faktu, że całość przedstawia się szczęśliwie. Krótki wstęp na pierwszych 16 stronicach podaje najkonieczniejsze informacye historyczno-literackie. Pozwolimy tu sobie jeszcze zwrócić uwagę na błąd w notatce metrycznéj na str. 6. Nie *cztéry* akcentowane zgłoski ma pierwsza połowa każdego wiersza w strofie Nibelungów, lecz tylko *trzy*, jak to uwidoczniliśmy w umieszczonéj już wyżéj pierwszéj zwrotce poematu.

Sądzimy, że cała nasza czytająca i zajmująca się literaturą powszechną publiczność prawdziwie wdzięczna będzie panu G. za to, że jéj ułatwił dokładniejsze zapoznanie się z treścią i formą prastaréj epopei niemieckiéj. *Jan Hanusz.*

Odpowiedź p. Władysławowi Puchewiczowi na jego artykuł o książce: Arytmetyka przez M. A. Baranieckiego, 1884.

Badającego historyą nauczania arytmetyki w Polsce zwrócić muszą uwagę dwa wybitne, a zupełnie analogiczne fakty. Mianowicie oba dzieła, tak *Arithmetica integrorum* Brożka (r. 1620), jak i wydana przez Komisyą Edukacyjną *Arytmetyka dla szkół narodowych* Lhuilier'go (wyd. pierw. r. 1778), którymi słusznie chlubić się może nasza literatura naukowa, chociaż przez pewien przeciąg czasu poważnie uwzględniane w nauczaniu (1), nie wywarły wpływu na późniéj układane podręczniki, a tymsamym i na późniejszą naukę tego przedmiotu w szkołach. Objaw ten co do *Aryt. dla sz. nar.* tak Trybulski objaśnia: „autor jéj, niewykazawszy błędów dawnéj metody i nie potępiwszy jéj ani jednym słówkiem, tymsamym pozwolił rutynistom ignorować ją i pogrążyć się napowrót w błogim spoczynku bezczynności." Nie było „żywéj wymiany myśli, gorącego starcia się dwu przeciwnych obozów" (*Enc. wych.*, t. I, str. 396). Godząc się

---

(1) Co do podręcznika Brożka, por. w dziele prof. J. N. Frankego *Jan Brożek*...., str. 207.

najzupełniéj na ten pogląd, doznawałem niemiłego uczucia, że rok już ubiegał od ogłoszenia mojéj *Aytmetyki*, a nie pojawiał się artykuł, wyrażający niezadowolenie z pracy mojéj. A przecież w niéj w wielu miejscach potępiałem tradycyjnie zachowywane przez wielu uczących niedbałe objaśnianie postępowań arytmetycznych, postawiwszy natomiast wskazówki dostatecznie szczegółowe, jak w szkole średniéj ogólnéj (tj. przygotowywującéj do wyższych studyów specyalnych) nauczanie arytmetyki uczynić środkiem kształcącym stopniowo ścisłe myślenie, jak powolnie rozwijać to, by uczeń zdawał sobie sprawę z każdego kroku, iżby, prócz osiągnięcia bezpośredniéj korzyści, przygotował się należycie do wymagań pedantycznéj ścisłości przy nauce algiebry i gieometryi. Książka więc moja, tuszę sobie, przedstawiała materyał do „żywéj wymiany myśli.“ Taką dla mnie pożądaną sposobność przedstawia poświęcony méj pracy artykuł p. Puchewicza, nauczyciela szkoły realnéj w Warszawie, ogłoszony na str. 174—186 bieżącego tomu *Ateneum*.

Aby ograniczyć rozmiary mojéj odpowiedzi, rozważę tylko te *wszystkie* zarzuty (1) p. Puchewicza, odnoszące się do *treści* mego dzieła, które są jakkolwiek sformułowane i poparte wskazówką tego, czego stawiający je zdaje się pragnąć.

Co do metody wykładu.—P. Puchewicz jakby aprobował (str. 176) to, że trzymam się metody indukcyjnéj. A jednak zaraz potym powiada, że przy powtórzeniu kursu „nie podobna“ wymagać od ucznia, „aby szczegółowo sobie przypominał, jaką drogą do nich (do nabytych pojęć) dochodził.“ Podobnie daléj, mówiąc o liczeniu (str. 178), p. Puchewicz robi mi zarzut, iż dopiero z porównania z sobą kilku napisanych liczb „wyciągam zasadę pisania liczb, zamiast postawić ją o trzy stronnice wcześniéj przed pisaniem 56“ (pierwszéj z napisanych liczb). Gdybym postąpił tak, jak mi radzi p. Puchewicz, to czyżby wtedy właśnie nie miał do mnie słusznéj pretensyi, że nie trzymam się metody indukcyjnéj?

Co do przeznaczenia dzieła.—P. Puchewicz się waha, czy na moję książkę można się zapatrywać „jako na przewodnik dla nauczyciela, czy jako na książkę dla ucznia.“ Z przedmowy jednak mo-

---

(1) W ustępie, w którym mówi o planie *Bibl. mat. fiz.*, p. Puchewicz wypowiada swój pogląd, że „arytmetyka dla (?) klas niższych gimnazyalnych“ powinna „być taką“, jakiéj wymaga „zakres wyższych szkół miejskich, zakładów naukowych żeńskich“. Nie licowałoby to choćby z zasadą jednostopniowości w nauczaniu w naszych gimnazyach męzkich i szkołach realnych—że już się powstrzymam od innych uwag co do takiego poglądu.—W tymże ustępie p. Puchewicz zaznacza zawód, jaki go spotyka, iż w *Bibl.* nie będzie arytmetyki „przechodzącéj zakres gimnazyów i szkół realnych“.

jéj widział, że chcę „naprzód dostarczyć uczącym szczegółowego materyału do zajęć teoretycznych w czasie lekcyj arytmetyki w szkole średniéj ogólnéj“ (str. IX). Łatwo, zdaje mi się zrozumiéć, że w obecnych warunkach to właśnie mogło być głównym moim celem. Bardzo bowiem wielu uczących matematyki nie korzysta z tego kształcącego materyału, jakiego dostarcza sumienne traktowanie (zaraz od początku kursu w klasie I) teoretycznéj części nauki arytmetyki, chociaż obowiązujące rozkłady lekcyj aż nadto pozostawiają na to czasu. Słusznie p. Puchewicz mówi, że „nie opowiadam jak postępować z uczniami, ale traktuję sam przedmiot“; dlaczego jednak nie zwrócił uwagi na wyraźnie wypowiedzianą przezemnie przyczynę tego: „różne bowiem bywają grupy uczniów, których przygotowanie należy odpowiednio uwzględniać“?—Dość, zdaje mi się, dobitnie się wyraziłem, mówiąc, że gdy się odda w szkole średniéj ogólnéj „stanowczą przewagę metodzie indukcyjnéj“, to „nie może być mowy o tym, aby książka, podręcznik arytmetyki, była w ręku ucznia wcześniéj, niż przy pierwszym powtarzaniu całego już kursu“ (wszystko powyższe na str. VI). Nie wiem zatym, na jakiéj podstawie p. Puchewicz mniema, iż „zawahać się można, z jakiego stanowiska na nią (moję książkę) się zapatrywać“; nie wiem również, jakim sposobem doszedł do przekonania, iż „wypadnie zapatrywać się na nią, jako na kurs, który uczeń *przy pierwszym powtarzaniu* odczytywać powinien“ (str. 170). Widzimy tu nadto, że bardzo dla siebie wygodnie p. Puchewicz, przytoczywszy i podkreśliwszy moje słowa: przy pierwszym powtarzaniu, opuszcza dalsze: *całego już kursu*; czy godzi się jednak na takim *dowolnym* wypaczeniu pojęcia o przeznaczeniu książki opierać budowę swych wniosków?

Co do rozmiarów.—Skutkiem właśnie takiego niespodziewanego zapatrywania się na moję książkę, p. Puchewicz dużo mówi: o jéj zbytniéj obszerności, o rozwlekłości, wodnistości oszałamiającego wykładu itp. i wylicza, ile to stron poświęcam na każde z czterech działań. W powodzi tego rodzaju ogólników, p. Puchewicz raz tylko uzasadnić usiłuje zbyteczność jakiegoś ustępu, mianowicie zbyteczność (nawet drobnym drukiem) szczegółowego objaśnienia własności, iż suma nie zależy od porządku składników. Zupełnie jednak analogiczne objaśnienie własności, iż iloczyn nie zależy od porządku czynników, nie razi go. Dlaczego? Czyżby tylko dlatego, że podobne rozumowanie o iloczynie jest w książkach profesorów Bertrand'a i Serret'a? Jeżeli bowiem potrzeba tak dowieść własności iloczynu, to z tychże powodów trzeba równie pedantycznie dowieść i owéj własności sumy, choćby inni jéj nie dowodzili. Jeżeliby sposób przez

rozmaite grupowanie jedności, według zdania p. Puchewicza, był na to wystarczający, to, konsekwentnie, grzeszyłbym w dobrym towarzystwie Bertrand'a, Serret'a i innych, gdyż i własności iloczynu możnaby dowodzić wprost przez rozmaite grupowanie składników. Ponieważ jednak takie postępowanie co do iloczynu byłoby co najmniéj niezręczne, zatym i dowodzenie p. Puchewicza co do sumy ostać się nie może. Nadto, znającemu elementy matematyki wyższéj, wobec szeregów t. z. warunkowo zbieżnych (tj. gdy suma szeregu zależy od porządku wyrazów-składników), nie powinno się wydawać zbytecznym dodatkowe, bo drobnym drukiem, ścisłe uzasadnienie w arytmetyce owéj własności sumy skończonéj ilości składników.—Wracając do ogólnego zarzutu zbytniéj obszerności, zaznaczam, że nigdzie z rozmiarów mojego dzieła *nie chwalę się*. Owszem, wolałbym, by książka moja była mniéj gruba, a tymsamym tańsza. Niesłusznie więc p. Puchewicz zwraca do mnie to, co niegdyś powiedziałem o *Algiebrze* Niewęgłowskiego, który w przedmowie wyraźnie zaleca czytelnikowi baczność na „rozmiary“ swéj książki, napisanéj dla „początkujących“ (wyraźnie w przedmowie). Nadto w mojéj ocenie *dowiodłem* błędów i niesystematyczności owéj pracy Niewęgłowskiego, nie wypaczając tego, co on mówił, i nie pozwalając sobie niczym nie popartych wyrzeczeń... P. Puchewicza tak dalece unosi chęć przedstawienia w dowolnym świetle méj książki, iż, nie zaznaczając ani jednem słowem mego wstępu historycznego i przypisków innych autorów, przedstawia rzecz tak, jakby arytmetyka obejmowała „przeszło 400 stron“ (str. 175), gdy tymczasem na nią przypada ich 366. I to nie mało—prawda. Ale dlaczego nawet w takim drobiazgu p. Puchewicz jest nieścisły?

Co do zakresu.—P. Puchewicz znajduje, iż moje określenie arytmetyki jest dobre. Obejmuje zaś ono (por. str. 4, 5, 196, 331) tylko liczby całkowite i ułamkowe. Robi mi jednak zarzut, iż „nie mówię o podnoszeniu do potęg, o wyciąganiu pierwiastków.“ Przecież nauka o wyciąganiu pierwiastka nie może się obyć bez wprowadzenia pojęcia o liczbach, które nie są ani całkowite, ani też ułamkowe (np. pierwiastek kwadratowy z 3). Nie rozumiem więc, czego chce p. Puchewicz. Gdy zaś nie mogło być mowy o wyciąganiu pierwiastka, to z jakiéj racyi mówić o przygotowaniu do tego: o podnoszeniu metodycznym liczb wielocyfrowych do potęg?—P. Puchewicz tu dodaje, że „nawet rzecz o działaniach skróconych traktuję niewyczerpująco“. Ale, podobnie jak w wielu innych miejscach, nic więcéj dla uzasadnienia swego sądu nie mówi, z czegobym się mógł dowiedzieć, co przez to wyrzeczenie rozumie, tj. czego brak znajduje. Nawet domyśléć się nie mogę.

Przechodząc do zarzutów szczegółowych, zaznaczyć naprzód muszę, że p. Puchewicz wciąż zmienia stanowisko, z którego patrzy na książkę—jak mu dogodniéj. To pragnie, by rozdział I „był przez małych uczniów czytany“ (str. 177), lub jest przedmiotem jego troskliwości (str. 179) „uczeń, nie umiejący dodawać“ (czyż takich przyjmują do klasy I gimn?), to znowu ma pretensyą, iż niektóre ustępy są tak napisane, iż „prędzejby uszły w podręczniku dla samouczków“ (str. 178, 180).

Co do dodawania.—Naturalnie, w początkowych rozdziałach książki musiałem wskazać, jak zachować stopniowanie przy nauczaniu, oraz szczegółowo rozwinąć zaniedbywane dotąd uzasadnianie postępowania przy t. z. czterech działaniach. Nie było to zadanie łatwe, a sposób, w jaki to przeprowadziłem, zadawala tych pracowitych nauczycieli, którzy go stosują.—Z przykładów, na których uzasadniam stopniowo możność uskuteczniania dodawania liczb wielocyfrowych zapomocą dodawań częściowych (... setek, dziesiątków, jedności), p. Puchewicz wypisuje najwięcéj złożony, nie wspomniawszy, że łatwiejsze go poprzedzają. Z tego zaś udowodnienia jest niekontent, nie mówiąc dlaczego, a tylko woła ogólnikowo: „czy to w ten sposób kształci się ścisłe myślenie?“ Odpowiem krótko zapytaniem: jak p. Puchewicz udowodni inaczéj, niż ja to robię, to ważne postępowanie? Czyż objaśnieniem prostszych kwestyj nie należy ucznia przygotować do trudniejszych? Bardzo łatwo zganić, ale proszę coś na to miejsce postawić.

Co do odejmowania. — P. Puchewicz gani wyrażenia: aby dane dwie liczby odjąć od siebie, lub podzielić przez siebie. Śmiem zwrócić uwagę, że i wyrażenia: aby jednę z dwu danych liczb odjąć od drugiéj, lub podzielić przez drugą (choć, przyznaję, nieco zręczniejsze (1) — z innego względu), również nie wskazują wyraźnie, którą z dwu danych liczb rozumiemy przez wyraz: jednę; czy tak, czy inaczéj, nie może być dokładnie to oddane, czego zdaje się chcieć p. Puchewicz—bo, według swego zwyczaju, tego wyraźnie nie wypowiada. Zupełnie podobnie rzecz się ma z wyrażeniem: dwie liczby przez siebie pomnożyć, przeciwko któremu nic nie mówi. Zwrócić jeszcze należy uwagę, że co do odejmowania w całéj arytmetyce, a co do dzielenia w tych rozdziałach o liczbach całkowitych nie może być wątpliwości żadnéj, która z danych dwu liczb jest odpowiednio odjemną lub dzielną. Niesłusznie więc p. Puchewicz chwali „starannego nauczyciela, który takie (rzeczy) poprawia“; ja zaś tu

(1) Mianowicie z uwagi, że gdy np. mówimy: dodać do siebie liczby 5 i 7, to możnaby mniemać, że mamy do 5 dodać 5, a do 7 dodać 7.

bynajmniéj nie „pozwalam sobie najgrubszych nieścisłości" (aż tak!).—P. Puchewicz jest niekontent z wyrażenia „jeżeli do odjemnéj dodajemy pewną liczbę, to wypadnie do reszty dodać" i słusznie— tylko, że ja tego nie powiedziałem (1).

Co do mnożenia.—Wskazuję jak *objaśniać* postępowanie przy mnożeniu liczby wielocyfrowéj przez jednocyfrową i podaję dwa na to sposoby, a drugi nie dla tego, abym „wątpił, czy czytelnik dobrze pojął" pierwszy, boć, jak mógł łatwo zauważyć p. Puchewicz, ów drugi sposób jest trudniejszy, a ma swą racyą bytu ze względu na metodę.—Czyżby naprawdę wypisanie rozkładu

$$30568 = 3 \times 10 \times 10 \times 10 \times 10 + 5 \times 10 \times 10 + 6 \times 10 + 8 \times 1,$$

zaznaczającego piśmiennie dziesiątkowość naszego systemu liczenia, miało być zbyteczne lub rażące, tym więcéj, że z tego robię późniéj użytek na str. 247?—Gdyby nie było ustępu o kwadratach i sześcianach, o których wiadomości nie są wymagane od ucznia, wstępującego do klasy I, to jakże mógłbym uzasadniać tak metodyczne, jak w méj książce podałem, obliczanie, ile np. stopa kwadratowa ma cali kwadratowych, lub sześcienna sześciennych? O cóż więc idzie? Czy właściwie i pożytecznie byłoby tu odsyłać czytelnika do tomu seryi I *Bibl.*, który, wdodatku, jeszcze się nie pojawił?—Rzecz o tym, jak liczbę, wypisaną w systemacie np. szóstkowym, wyrazić w dziesiątkowym, lub odwrotnie, nie powinna być traktowana w rozdziale o liczeniu piśmiennym, bo tak nigdy nie pisano, a tam się mówi o różnych istotnie używanych sposobach pisania liczb. Poważni autorowie, np. Bertrand, Serret nie robią téż tego, a tworzą (zawsze już po dzieleniu) osobne rozdziały. Moim zdaniem właściwe na to miejsce jest przy mnożeniu i dzieleniu, bo zapomocą tych właśnie działań owe zadania się rozwiązują.—W ust. 27-ym nie wprowadzam żadnéj nowości: tak właśnie postępuje się w praktyce w odpowiednim przypadku.

Co do dzielenia. — P. Puchewicz jest zdania, że istniéć może jakieś dzielenie, które w swéj istocie nie jest działaniem odwrotnym mnożeniu. Na to nie znajduję żadnéj odpowiedzi, którąbym mógł wypisać, nie zmieniając tonu mego artykułu. Dostatecznie w méj książce *pozytywnie* dowiodłem, że wymysł niemiecki jakiegoś osobnego działania: „mieszczenia się" jest bałamuctwem, nie uchodzącym w nauczaniu poważnym. Wyłożyłem w książce aż nadto dro-

(1) Moje *nieskażone* wyrażenie jest takie: „jeżeli do odjemnéj dodajemy lub od niéj odejmujemy pewną liczbę, *nie zmieniając odjemnika*, to wypadnie odpowiednio do reszty dodać lub od niéj odjąć tę samę liczbę" (str. 45).

biazgowo, jak, zgodnie z naukowym poglądem na łączność działań, odpowiednie objaśnienia dawać należy, i znajduję, że zrobiłem w téj kwestyi wszystko, co do mnie należało. — P. Puchewicz robi mi zarzut, że „ani na jednym przykładzie nie objaśniłem dzielenia w sposób naturalny (?), t. j. ten, w którym nazywa się rząd kolejno dzielonych jednostek, które potém w reszcie zamienia się na jednostki rzędu niższego". Nie popełniłem tego błędu dlatego, że proponowany przez p. Puchewicza sposób niewiele wart, choćby z tego względu, że nie może być zastosowany w przypadku dzielnika większego, np. 672. Ten zaś sposób, który szczegółowo (bo szło o rzecz ważną) wyłożyłem naprzód na łatwiejszym przykładzie, jest ogólny i choć nie sądzę, aby miał być aż „klasycznym", to jednak muszę go uważać za jedynie dobry, dopóki ktoś lepszego nie postawi. Proszę dać inne, lepsze objaśnienie postępowania w dzieleniu, ścisłe, wysnute z określenia dzielenia, a stosowne do różnych przypadków.

Co do próby dzielenia przez dzielenie. — P. Puchewicz mówi: „...uważniejsze zbadanie tych przypadków uchroniłoby go zapewne od ważnego opuszczenia, które już *na błąd zakrawa* (tak): w ustępie 21, mówiąc o próbie dzielenia przez dzielenie, stosuje to i do dzieleń niezupełnych bez żadnych zastrzeżeń. Ładnie wypadła autorowi próba, gdy ilorazem było 25, a resztą 14,—ale co by było w wypadku odwrotnym?" Za pozwoleniem! Dlaczego p. Puchewicz pomija to, że w tymże ustępie 21-ym (str. 115, wiersz 13 od dołu) odejmuję resztę od dzielnéj:

$$„7500339 - 14 = 300013 \times 25"$$

i mówię zaraz: „przyjmując więc liczbę (7500339—14) jako dzielną". Niechaj czytelnik sam nazwie odpowiednio to przeoczenie p. Puchewicza i jego śmiałe powiedzenie: „na błąd zakrawa".

Od téj kwestyi poczynając, p. Puchewicz już „jest o ile możności zwięzły". Wskutek tego niczym nie popiera swych w ostatniéj instancyi ferowanych wyrzeczeń, a prócz ustępu o miarach wszystko już mu się nie podoba (1). Nie mogąc nic na to poradzić, a w dotychczasowéj odpowiedzi czerpiąc otuchę do spokojnego pogodzenia się z losem, muszę zaprotestować przeciwko popełnionym przez p. Puchewicza nieścisłościom, co jest moim obowiązkiem, gdyż wywołane było przez moję książkę.

Poszukiwanie zapomocą wzoru, podanego na str. 170, cech podzielności przez 6 i 12, jest według p. Puchewicza *daremne* (jego

(1) Nie twierdzę, aby moja książka, jak każda, nie miała stron słabych. Dotąd zauważyłem niedokładność wyrażenia na str. 175 w 3-im wierszu od dołu, oraz możność korzystnéj zmiany redakcyi paru ustępów, nie wskazanych jednak przez p. Puchewicza.

kursywa). Gdyby jednak zwrócił uwagę na odsyłacz podany w tym miejscu: „patrz niżéj w § 14, us. 18“, to by znalazł to, o co mu idzie, szczegółowo rozwinięte na str. 180. Co więc warte jego upewnienie, że owo poszukiwanie jest „daremne“?

Sposoby, najczęściéj przeprowadzane, objaśniania dzielenia ułamków na str. 232 — 4, nie są „czysto mechaniczne“, gdyż się opierają na zmianie wartości ułamka wskutek powiększenia licznika lub mianownika, czym się także tłómaczy np. skracanie ułamków lub sprowadzanie ich do spólnego mianownika; czy i to tłómaczenie ma być „czysto mechaniczne“?

Co do dzielenia skróconego, p. Puchewicz mówi: „autor wyłożony przez siebie sposób dzielenia niesłusznie nazywa sposobem Guy'ego“ (str. 184; nb. nie dodaje dlaczego „niesłusznie“). Niema co: śmiało powiedziane. Czy można jednak prosić p. Puchewicza, by zechciał zajrzéć do tomu XX *Comptes rendus* paryskiéj akademii nauk za r. 1845? Tam znajdzie raport Cauchy'ego o dzieleniu, które podał Guy. Cauchy je opisuje na str. 68 tego tomu, a na następnéj tak kończy: „en traçant avec sagacité la marche que l'on doit suivre dans la division approximative, pour obtenir le quotient de deux nombres avec un degré d'approximation déterminé, (l'auteur) a ainsi apporté un perfectionnement utile à une opération usuelle de l'arithmétique“. Dopóki p. Puchewicz nie dowiedzie, że Cauchy „niesłusznie“ ten raport ułożył, sądzę, że „słusznie“ ów sposób nazywam sposobem Guy'ego.

W ustępie o regule łańcuchowéj p. Puchewicz znajduje, iż „główna jéj cecha polega na tym, że ilość szukana zależy spółcześnie od innych“. Sądzę, iż ta „cecha“ (!) służy także np. znanemu zadaniu o robotnikach, kopiących rów długi, szeroki etc. To jedno. Powtóre, we *wszystkich* arytmetykach w ustępie, zatytułowanym: reguła łańcuchowa, wprost rozwiązywane bywają odpowiednie zadania, a w *żadnéj* dotąd nie podano określenia téj reguły. A więc podane w méj książce jest *pierwszym*, dotąd jedynym, określeniem reguły łańcuchowéj. Nakoniec, w naszym języku jest przykry zbieg zakończeń w wyrazach: wielkość (Grösse, grandeur), ilość (Anzahl, quantité), wartość (Werth, valeur), których unikać nie podobna. W określeniu matematycznym nie można nadto omawiać powtarzających się wyrazów, choćby wypaść miało coś tak niedźwięcznego, jak zdania, przytoczone przez Chirurga filozofii w jednéj z jego *Ramot*. Przemilczał p. Puchewicz o tym, że przed tym niedźwięcznym określeniem jest w książce odpowiednie przygotowanie na starannie dobranym zadaniu. Z praktyki mojéj pedagogicznéj pozwolę sobie zaznaczyć, że przy wyprowadzaniu tego określenia z zadania nie

spotyka się żadnéj trudności. Gdy p. Puchewicz tak się na to moje określenie oburza, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyczekiwać na jego określenie reguły łańcuchowéj, na które tyle pokoleń nauczycieli, tyle setek książek dotąd się zdobyć nie mogło. Gdy je poda, a będzie ono przystępniejsze od mego, wprowadzę je z wdzięcznością do dalszych wydań méj książki.

P. Puchewicz znajduje, że „§ poświęcony regule fałszywego założenia jest prawie dosłownym przekładem z Serret'a, z opuszczeniem kilku charakterystycznych bardzo wyrazów". Na to mam jedyną odpowiedź: p. Puchewicz myli się. Przypuścić muszę, że chyba nie czytał odpowiedniego ustępu w dziele Serret'a, albo przynajmniéj tak dawno, że go zapomniał (1). Przed napisaniem owych słów należało porównać. Tak się zawsze w podobnych razach robi.

Tego, co p. Puchewicz mówi w dwu ostatnich ustępach swego artykułu poprostu nie rozumiem. Jakie to były „okoliczności, towarzyszące wydaniu téj książki"? Jaką to „redakcyą przedstawicieli nauki matematycznéj" możnaby mieć na myśli, kiedy od samego początku *Bibl.* jedynym jestem jéj redaktorem? Jakim sposobem ta książka jest moją „nieudatną próbą literacką", kiedy moje próby mają już po kilkanaście lat wieku? Dlaczego ja mam dopiero „wykazać swoje zalety jako autor wstępu do analizy", jeżeli ich już niema być w *Arytmetyce*, jakby p. Puchewiczowi nie było wiadomo, że *Arytm.* nie jest moją pierwszą pracą ogłoszoną?

Na zakończenie, uważam za właściwe zaznaczyć, iż p. Puchewicz w swym artykule, którego ani recenzyą, ani też krytyką nazwać nie mogę, używa o mnie lub o mojéj pracy takich wyrażeń: autor zabawia nas, najgrubsze nieścisłości, oszołamiający wykład, sztuki łamane, na błąd zakrawa, wygląda trochę śmiesznie, ironia losu, nieudatna próba literacka i t. d. Mniemam, iż z niniejszéj mojéj odpowiedzi wynika bezpośrednio, że p. Puchewicz nie obliczył się z siłą swych argumentów, które miały go upoważniać do przybrania takiego tonu.

Dr. M. A. Baraniecki.

---

(1) Niéma również całkiem w Serret'a książce (przynajmniéj w wyd. VI, z roku 1875) owych „kilku charakterystycznych bardzo wyrazów, w których Serret notuje, że te zadanie rozwiązywać można wprost, nie uciekając się do téj metody", bo to się z samo przez się z natury tych zadań rozumie. Że nie zalecałbym stosowania téj metody, wynika wprost z tego, że po téj regule nie odsyłam czytelnika do *Zadań arytmetycznych*, gdy po każdéj z innych reguł to czynię. Ze sposobu, w jaki traktuję regułę fałszywego założenia, wprost wynika, że przyznaję jéj drugorzędne, prawie tylko historyczne znaczenie, mniéj silnie ją akcentuję, niż to Serret czyni.

= Wyszedł niedawno w Paryżu **Czwarty tom Korespondencyi** *Adama Mickiewicza* (str. 400 i 4 karty nlb.). W publikacyi téj oprócz listów, które się mieściły dawniéj w drugim tomie „korespondencyi“ pierwszego wydania, znajduje się wiele dokumentów i listów zupełnie nowych a pracowicie przez syna wielkiego poety zebranych i na jaw wydobytych. Na czele mieści się list Ignacego Domejki do ks. Jana Siemieńskiego pracującego nad obszernym życiorysem naszego wieszcza, pisany w r. 1880 z Santiago, a zawierający kilka ciekawych szczegółów wraz z ogólnym rzutem oka na te lata życia Mickiewicza, których świadkiem bezpośrednim lub pośrednim był sam Domejko. Potém idzie „Ustęp z Pamiętników Mikołaja Malinowskiego“ znany już wprawdzie w głównych punktach z „Kroniki Rodzinnéj“, ale w zupełności tu dopiero pojawiający się. Ważne są dla biografów następujące w nim „Dokumenta odnoszące się do Mickiewicza“, po większéj części teraz dopiero z archiwów wydobyte. Znajdujem tu drukowany już przed laty w „Gazecie Warszawskiéj“ Dowód Szlacheckiéj Rodowitości Mickiewiczów, a daléj po raz pierwszy w druku pojawiające się: „Wywód Familii Urodzonych Mickiewiczów herbu Poraj“ wraz z tablicą gienealogiczną, „Kopie Metryk Urodzenia i Pogrzebów Mickiewiczów z ksiąg kościoła nowogrodzkiego“, kopie sprawozdań z posiedzeń uniwersyteckich, na których Adam Mickiewicz w r. 1819 zdawał egzamin (rzecz ta była znana poprzednio ze streszczenia przez Michała Żmigrodzkiego), „Wiadomość o uczniach seminaryum nauczycielskiego w r. 1818/19“, kopia raportów o niestawieniu się Adama Mickiewicza na czas oznaczony w Kownie r. 1820, prostująca mętne o tém ustne podania, wiele dokumentów odnoszących się do sprawy filaretów w r. 1823/4; kopia aktu, którym Adam Mickiewicz i dwaj jego bracia Aleksander i Jerzy dają pełnomocnictwo bratu Franciszkowi w rzeczach majątkowych. Trzeci dział w IV tomie „Korespondencyi“ stanowią „wyjątki z listów o Adamie Mickiewiczu a między niemi list Domejki do Maryi Puttkamerowéj, list Niemcewicza do Witwickiego, list Grotkowskiego, który pierwszy raz był na lekcyi Adama w kolegium francuskiém. Czwarty dział wypełniony jest nowo odszukanemi listami samego wieszcza i wiele z nich znaliśmy już z czasopism; tu się znajdują w skupieniu; ciągną się one od str. 77 do 148. Ostatni wreszcie, piąty dział mieści „Listy do Adama Mickiewicza“ od r. 1839 do zgonu poety, znacznie w stosunku do pierwszych wydań pomnożone. Ten suchy spis wystarczy do zainteresowania szerokiego ogółu, który niewątpliwie pośpieszy dopełnić zbiór korespondencyi Mickiewicza tym nowo ogłoszonym tomem.

SPROSTOWANIE.

Szanowny Panie Redaktorze! W ostatnim zeszycie Ateneum w rozbiorze Studyów Nehringa (str. 563) Szan. Pan przyznając słuszność krytycznym postrzeżeniom autora „co do sprzeczności, niejasności, zagadkowości w Grażynie“, dodaje nieco niżéj, że Grażynę „dotychczas tradycyjnie przeceniano“ i że dopiero „w ostatnich czasach po odczycie prof. Tarnowskiego, który wszystkie dawniejsze pochwały zebrał i podniósł do wyższéj jeszcze potęgi, nastąpiła reakcya przeciw temu poglądowi, a wśród niéj głos prof. Nehringa był *pierwszym* (r. 1882); *równocześnie* dał poznać swe zdanie p. Tretiak (1883).“

Z zestawienia dat powyższych *równoczesność* mego zdania okazuje się dość wątpliwą i sądzę, że czytelnik nie może jéj inaczéj zrozumiéć, jak tylko w ten sposób, że oto ja w ocenie Grażyny poszedłem za zdaniem prof. Nehringa. Pójść za tak poważnym głosem— nic by w tém naturalnie nie było złego, ale mógłby mię spotkać zarzut od ludzi znających moję książkę o Mickiewiczu, że drukując w r. 1883 ocenę Grażyny: 1) albo nie znałem wcześniejszéj o rok pracy w tym przedmiocie prof. Nehringa, 2) albo nie uwydatniłem tego, że ją znałem. Otóż od tego zarzutu jestem wolny, a to dlatego że głos prof. Nehringa o Grażynie nie tylko nie jest o rok wcześniejszym od mego, ale i owszem jest o rok późniejszym. Wprawdzie w Studyach literackich szanownego profesora wrocławskiego (wydanych 1884) pod tytułem rozdziału: „Grażyna i Konrad Wallenrod,“ znajduje się odsyłacz: „Obacz Biblioteka Warsz. 1882, II, 341“, ale odsyłacz ten odnosi się zapewne do Wallenroda, nie zaś do Grażyny, téj bowiem rozbiór w Studyach od str. 240 do 249 jest późniejszą wstawką, nie istniejącą w Bibliotece Warszawskiéj. W Bibliotece z r. 1882 w artykule „O nowszych kierunkach literatury polskiéj,“ do którego właśnie prof. Nehring odsyła czytelnika, jest tylko krótka wzmianka o Grażynie, dotycząca niemal wyłącznie stosunku, jaki zachodzi pomiędzy tym poematem a recenzyą Jagiellonidy i Żymiłą.

Z prawdziwem poważaniem.
Józef Tretiak.

Przyp. Red. Ażeby sprostowanie to uczynić pełniejszém, dodać wypada, że już w r. 1882 w N. 25 „Prawdy“ p. A. G. Bem poczynił Grażynie bardzo ważne zarzuty. Niebawem pomieścimy w piśmie naszém rozprawę p. Chlebowskiego poruszającą kwestyą źródeł Grażyny z innego punktu niż to dotychczas robiono.

† **Stanisław Egbert Koźmian**, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu zmarł 23 kwietnia r. b. Był on rówieśnikiem Zygmunta Krasińskiego i jego towarzyszem uniwersyteckim. Urodzony we Wronowie w Lubelskiém 21 kwietnia r. 1811, pobierał nauki gimnazyalne w Warszawie i tamże wszedł do uniwersytetu, zawiązując stosunki koleżeństwa i przyjaźni z kilku młodzieńcami, którzy następnie z różnym stopniem talentu działalność swą na polu literackiém rozwinęli. Oprócz Krasińskiego poznał tu Konstantego Gaszyńskiego, Dominika Magnuszewskiego, Leona Ulrycha. Jak ta młodzież, tak i Koźmian wziął bardzo wcześnie udział w pracach piśmienniczych. Czasopisma nasze z r. 1830 zawierają niejedną jego poezyą z podpisem S. K., lub S. E. K. (wiersz do Henryety Sontagowéj wyszedł wtedy osobno). W roku następnym, wraz z wielu innymi, czynnym był na innéj Marsowéj arenie. Emigrował następnie do Anglii, gdzie pod przewodnictwem Dudley - Stewarta zaznajomił się z ówczesnemi znakomitościami politycznemi i literackiemi. Nauczywszy się gruntownie jezyka angielskiego, zajął się przekładem Szekspira. W r. 1846 ogłosił piękny wiersz „do mistrzów słowa", który Zygmuntowi Krasińskiemu przyznawano. W r. 1848, gdy dla niektórych części dawnéj Rzeczypospolitéj szczęśliwszy zdawał się otwierać okres, przeniósł się do Berlina, a choć ten okres zamknął się prędko, nie opuścił już kraju i osiadł w W. ks. Poznańskiém, gdzie brat jego, ksiądz Jan, już od połowy r. 1845 zaczął wydawać miesięcznik, przeniknięty duchem ściśle zachowawczo - katolickim, p. p. „Przegląd Poznański". Stanisław Koźmian, który od samego założenia czasopisma tego był najpłodniejszym jego spółpracownikiem, podając szczegółowe sprawozdania z ruchu naukowo - literackiego, stał się odtąd spółredaktorem bardzo gorliwym, aż do roku 1865", w którym „Przegląd Poznański" wychodzić przestał. Równocześnie pisywał rozbiory literackie do „Gazety Wielkiego księstwa Poznańskiego," która od r. 1846 przeszła była pod redakcyą Napoleona Kamieńskiego, a ustała z końcem czerwca r. 1865. Rozbiory te w formie feljetonowéj były pisane jako „Listy z nad Lutyni". W roku 1862 ogłosił zbiór swoich studyów angielskich w dziele p. n. „Anglia i Polska" (2 tomy, Poznań). W roku 1866—69 wydrukował dwa tomy „Dzieł Dramatycznych" Szekspira, podając przekład pięciu utworów (Sen Nocy Letniéj, Król Lir, Dwaj panowie z Werony, Król Jan, Król Ryszard drugi). Od roku 1868 stale osiadł w Poznaniu i jako członek Towarzystwa przyjaciół Nauk uczestniczył w jego pracach, miewając odczyty treści naukowo - literackiéj. Jeden z takich odczytów, odnoszący się do osobistości, która nie tylko w niemieckiéj literaturze, ale i w naszéj odegrała pewną rolę, wy-

szedł osobno w r. 1869 p. n. „Konrad Celtes". W r. 1870-72 wydrukował w dwu tomach swoje „Pisma wierszem i prozą". Po śmierci Karola Libelta w r. 1875 został obrany prezesem Towarzystwa przyjaciół Nauk i godność tę piastował aż do zgonu. Ostatnia jego praca większych rozmiarów wyszła r. 1877 w Poznaniu p. n. „Podróż nad Renem i w Szwajcaryi w r. 1846 odbyta". Talent - to był niepowszedni. Lubo wykształcony w okresie najgorętszego rozwoju romantyzmu, nie uległ całkowicie jego prądowi; ceniąc w klasykach jasność myśli i wyrażenia, poprawność kompozycyi, starał się i w swoich pismach te przymioty zachować, a brak w obcych gorliwie i surowo wytykał. Jako gorliwy obywatel dobro kraju zawsze miał na uwadze, widząc je w stałém trzymaniu się kierunku zachowawczego z silném zabarwieniem katolickiém.

† **Ludwik Wolski** zmarł 26 kwietnia. Urodzony w r. 1819 w Radomiu, ukończywszy szkoły miejscowe, został urzędnikiem w b. Komisyi rządowéj spraw wewnętrznych, gdzie doszedł w końcu stopnia naczelnika oddziału statystycznego. Zajmował się gorliwie statystyką i gieografią królestwa polskiego, a prace swoje w tym kierunku pomieszczał w pismach peryodycznych. Główniejsze z nich są: Rzeki, kanały spławne i handel drogą wodną" i „Opis jezior w królestwie polskiém", „Wykaz statystyczny miast królestwa polskiego z r. 1856"; „Wiadomości statystyczne o przemyśle fabrycznym, rzemiosłach i handlu w królestwie polskiém", „O ludności i jéj ruchu"; „O włościanach". Te i tym podobne rozprawy mieściły się kolejno to w „Bibliotece Warszawskiéj" od r. 1849, to w „Kalendarzu wydawanym przez obserwatoryum astronomiczne Warszawskie" (od r. 1857—60), to w „Dzienniku Powszechnym" za czasów Wielopolskiego.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Kwietnia 1885 r.

---

1. **Th. Ribot. Dziedziczność psychologiczna**. Tłomaczenie z drugiego wydania francuzkiego St. Bartoszewicza kand. nauk przyrodn. (Wydawnictwo imienia T. T. Jeża, tom III). Warszawa, 1885, 8-o, str. III. III i 340. Cena rs. 1 k. 80.
2. **Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności**. Tom XII z 10 tablicami litografowanemi. Kraków, 1884, 8-o, kar. nieliczb. 4 str. 336 i XXXIX.
3. **Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie**. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Tom IX, z 2 litografowanemi tablicami Kraków 1884, 4-o, str. 218.
4. **Zabytki przedhistoryczne ziem polskich**, wydawane staraniem komisyi archeologicznej Akademii umiejętności w Krakowie. Serya I. Prusy Królewskie badał i opisał *Godfryd Ossowski.* Zeszyt 3, tekstu polskiego i francuzkiego str. 65—112, kart 7 i tablic 12. Kraków, 1885, 4-o.
5. **Sprawozdania komisyi językowej Akademii Umiejętności**. Tom III. Kraków 1884, 8-o. str. 448.
6. **Rozprawy wydziału filologicznego Akademii Umiejętności**, Tom X. Kraków 1884, 8-o, str. 485 i XXIV.
7. **Jan Brożek** (J. Broscius), akademik krakowski 1585—1652. Jego życie i dzieła, ze szczególnem uwzględnieniem prac matematycznych. Ze źródeł rękopiśmiennych opracował *Jan Nep. Frenke.* Wydanie Akademii Umiejętności. Z wizerunkiem Jana Brożka. Kraków 1884. 8-o, str. IX i 303.
8. **Słownik synominów polskich** przez biskupa *Adama Stanisława Krasińskiego*, doktora teologii. Wydanie Akademii Umiejętności Tom I i II. Kraków, 1885, 8-o, str. XXIII i 642.
9. **Nowe fotografie społeczne** zebrane przez autora **Kłopotów starego komendanta**. Tomów 2. Lwów 1885 nakład Gumbrynowicza i Schmidta.
10. **Józef Bliziński. Nowe humoreski**. Lwów 1885 nakład Gumbrynowicza i Schmidta.
11. **Drugi tom**. Powieść podał do druku autor „Plotek i prawd“ Kraków 1885, nakład „Nowej Reformy“.
12. **Pacowie** (Senatorowie i kniaziowie litewscy) materyały historyczno-genealogiczne, ułożone i wydane przez *Józefa Wolffa.* Petersburg 1885. (8-o str. X i 337).
13. **Senatorowie i Dygnitarze Wielkiego Księstwa Litewskiego** 1386—1735 przez *Józefa Wolffa.* Kraków 1885, (str. VII i 354).
14. **Kartezyusz.** Rozmyślania nad zasadami filozofii z łacińskiego przełożył *Ign. Kar. Dworzaczek* pod redakcyją *Henryka Struvego.* Warszawa. 1885. (8-o str. XX i 110).
15. **Polska poezya kościelna** od najdawniejszych czasów aż do wieku XVI napisał dr. *Mikołaj Bobowski* (odbitka z przeglądu katolickiego). Warszawa 1885. (8-o str. 138).

Дозволено Цензурою. Варшава. 29 Апрѣля 1885 г.